

GRAHAM MASTERTON

zemsta
manitou



GRAHAM MASTERTON

zemsta manitou

Z angielskiego przełożył
WIESŁAW MARCYSIAK

Spis treści

Strona tytułowa
O autorze
Strona redakcyjna
Cytat

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9

GRAHAM MASTERTON

Popularny pisarz angielski. Urodził się w 1946 w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. *Mayfair* i angielskim oddziale *Penthouse'a*. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów, poradników seksuologicznych. Zdobywca Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i nominacji do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 horrorem *Manitou* (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawianych tytułów *Magia seksu* i *Potęga seksu*. W ostatnim czasie ukazały się *Upadłe anioły*, *Czerwony Hotel*, *Ogród zła* i *Community*. Wkrótce premiery kolejnych powieści Mastertona – *Drought* i *Scarlet Widow*.

Tytuł oryginału:

REVENGE OF THE MANITOU

Copyright © Graham Masterton 1979

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012

Polish translation copyright © Wiesław Marcysiak 2012

Redakcja: Joanna Morawska

Ilustracja na okładce: dundanim/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-119-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Mędrzec Wampanaugów, Misquamacus, potwierdził, że Demona owego Imię brzmi Ossadagwah, co znaczy dziecię Sadogwah, ten sam jest Przeróżającym Duchem, co zstąpił z Gwiazd, jak powiadają starcy. Wampanaugowie, Nanseci i Nahriganseci wiedzieli, jak sprowadzić Go z Niebios, nigdy wszakże tego nie czynili, a to dla Jego wielkiej Złości.

H.P. Lovecraft

ROZDZIAŁ 1

Obudził się w środku nocy, pewien, że ktoś jest w pokoju.

Zamarł. Nie śmiał nawet odetchnąć. Jego palce podciągnęły pod sam nos kołdrę w pastelowe pasy. W ciemności wyteżał wzrok i słuch, czekając na najlżejsze choćby poruszenie, najcichsze skrzyknięcie desek podłogi. Serce biło mu szybko i cicho rytmem chłopięcego przerażenia, płynącego każdą tętnicą i żyłą ośmioletniego ciała.

— Tatusiu — powiedział, lecz tak cicho, że nikt nie mógł go usłyszeć. Rodzice spali na drugim końcu korytarza. Oznaczało to, że od bezpieczeństwa dzieli go dwoje drzwi i dziesięć metrów mrocznego podestu, gdzie tykał stary zegar dziadka i gdzie nawet w dzień odczuwało się niezwykłą samotność i bezruch zatykający dech w piersi.

Był pewien, że słyszy czyjś oddech — ciche, stłumione westchnienia, świadczące o smutku lub bólu. Może był to tylko szelest zasłon, poruszanych wiatrem wpadającym przez uchylone okno. A może szept fal oceanu, obmywających ciemną plażę ledwie kilkaset metrów stąd.

Czekał i czekał, ale nic się nie działo. Minęło pięć minut. Dziesięć. Uniósł z poduszki swoją jasnowłosą głowę i rozejrzał się rozszerzonymi przez strach oczyma. Spojrzał na rzeźbioną sosnową deskę na końcu łóżka. Spojrzał na szafę z orzecha. Spojrzał na skrzynkę z zabawkami, nie domkniętą, gdyż zawsze przeszkadzały w tym modele czołgów i dźwigów oraz baseballowe rękawice.

Zobaczył też swoje ubranie, dżinsy i koszulkę, wiszące na oparciu krzesła.

Czekał jeszcze chwilę. Potem ostrożnie wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz, pod szarzejącą pokrywą poszarpanych chmur krzyknął jakiś nocny ptak, a drewniane drzwi szopy stukały poruszane wiatrem. Spojrzał w dół, na nie posprzątane podwórze i przekrzywiony płot, oddzielający dom Fen-nerów od porośniętych trawą wydm wybrzeża Sonomy. Nikogo tam nie było.

Wrócił do łóżka i naciągnął kołdrę na głowę. Wiedział, że to głupie, bo tatuś mu powiedział, że to głupie. Dzisiejsza noc różniła się jednak od wszystkich innych, kiedy

po prostu bał się cieni albo nie mógł zasnąć, obejrzawszy film o latających talerzach. Dzisiaj ktoś tu był. Ktoś, kto westchnął.

Leżał w napięciu prawie dwadzieścia minut. Drewniane drzwi stukały z bezduszną regularnością, nie słyszał jednak nic więcej. Po pewnym czasie oczy zaczęły mu się zamykać. Raz jeszcze przebudził się i otrząsnął, lecz zaraz powieki opadły mu znowu i zasnął.

To był najgorszy koszmar, jaki pamiętał. Zdawało się, że wcale nie śni. Wstał z łóżka i dziwnie sztywnym krokiem podszedł do szafy. Słoje orzechowego drzewa na drzwiach zawsze trochę go niepokoiły, ponieważ układały się w kształty lisich twarzy. Teraz budziły lęk. Miał wrażenie, że ktoś tam jest, pod powierzchnią drewna. Ktoś, kto go woła i rozpaczliwie próbuje mu coś przekazać. Ktoś uwięziony i straszny.

Słyszał jego głos jakby zza grubej szyby. — Allen... Allen... miłość boską, Allen... pomóżmi, na miłość boską... Allen... — szeptał głos.

Chłopiec zbliżył się do szafy wyciągając przed siebie rękę, jakby chciał dotknąć drewna i sprawdzić, skąd wydobywa się dźwięk. Niewyraźnie dostrzegał szarą twarz, widoczną jedynie jako słaba poświata w politurze — twarz, której usta poruszały się błagając o litość, pomoc, o wskazanie drogi wyjścia z jakiegoś niewyobrażalnego piekła.

— Allen... — powtarzał monotennie głos. — Allen... na miłość boską...

— Kto to jest Allen? — szepnął chłopiec. — Ja mam na imię Toby. Toby Fenner. Kto to jest Allen?

Widział, jak twarz znika. Ale przez jedną chwilę czuł lodowaty strach, jak gdyby owiał go zimny wiatr sprzed wielu, wielu lat. To było wrażenie innego miejsca, znanego i znajomego, a przecież przerażająco obcego. Wrażenie to pojawiło się i umknęło tak szybko, że nie zdążył go rozpoznać.

Stukał pięściami w drzwi szafy powtarzając:

— Kto to jest Allen? Kto to jest Allen?

Był coraz bardziej przestraszony i krzyczał całą mocą swego dziecięco piskliwego głosu:

— Kto to jest Allen? Kto to jest Allen? Kto to jest Allen? Drzwi sypialni

odskoczyły z trzaskiem i jego tatuś zawołał:

— Toby? Toby, co się z tobą dzieje?

Przy śniadaniu złożonym z sadzonych jajek i placuszków, podanych na kuchennym stole z sosnowych desek, tatuś popijał kawę i wpatrywał się w niego z niepokojem. Złożony „San Francisco Examiner” leżał zapomniany przy jego łokciu. Toby, ubrany już do szkoły, w jasnoniebieską letnią koszulę i dzinsy, skupił uwagę na swoich placuszkach. Dzisiaj były to pełne skarbów wyspy na morzu soku, rozkopywane stopniowo ogromnym widelcem.

Przy zlewie mama zmywała naczynia. Miała na sobie fartuch w różową kratkę, a jasne włosy związała w koński ogon. Była szczupłą, młodą, i przysmażała bekon dokładnie tak, jak Toby lubił. Tatuś miał ciemne włosy, był spokojniejszy i mówił wolniej, lecz panowała między nimi głęboka przyjaźń; nie potrzebowali rozmów. Mogli przez całe niedzielne popołudnie puszczać latawce na brzegu albo łowić ryby z łódki, przez cały czas od lunchu do zmroku zamieniając nie więcej niż pięć słów.

Przez okno widać było błękitne niebo z białymi plamami chmur. Na północnym wybrzeżu Kalifornii panował wrzesień, ciepły i wietrzny — czas, gdy piasek przesypuje się pomiędzy źdźbłami trawy, a pranie łopocze na sznurze.

— Jeszcze kawy? — spytała Susan Fenner. — Póki świeża. Neil Fenner podniósł swój kubek, cały czas wpatrzony w syna.

— Jasne. Chętnie się napiję.

Susan nalała mu kawy i rzuciła okiem na chłopca.

— Masz zamiar zjeść dziś te placki?—odezwała się odrobinę bardziej ostro.

Toby podniósł głowę.

— Zjadaj szybko — powiedziała.

Posłuchał. Wyspy skarbów zostały wyrwane z morza przez gigantyczny widelec i wsunięte do potwornego młyna.

— Piszą coś ciekawego w gazecie? — spytała Susan. Neil spojrzął tylko, kręcąc głową.

— Nie będziesz czytał? — Susan przysunęła sobie stołek i usiadła, trzymając w

dłoni swój kubek kawy. Nigdy nie jadła śniadania, nie chciała jednak wypuszczać z domu ani Toby'ego, ani Neila bez porządnego, ciepłego posiłku. Wiedziała, że mąż zwykle zapomina o przerwie na lunch, a syn wymienia swoje bułeczki z masłem orzechowym na plastikowe żołnierzyki i gumę do żucia.

— Nie — odparł Neil i podsunął jej gazetę. Susan otworzyła ją na dziale gospodarstwa domowego.

— No popatrz — powiedziała. — Piszą tutaj, że gotowanie w stylu cuisinart wychodzi z mody. A ja nawet nie mam książki kucharskiej cuisinart.

— W takim razie zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy — stwierdził Neil, ale nie wyglądał na zainteresowanego. Susan przyjrzała mu się, marszcząc brwi.

— Źle się czujesz? — spytała.

Potrząsnął głową. A potem, nagle, wyciągnął rękę i chwycił Toby'ego za nadgarstek tak, że widelec z kolejną porcją placka znieruchomiał nad talerzem.

— Co? — odezwał się chłopiec. Neil przyjrzał się synowi uważnie.

— Toby, czy wiesz, kto to jest Allen? — zapytał schrypniętym głosem.

Toby spojrzał na ojca zdziwiony.

— Allen, tato?

— Zgadza się. Powtarzałeś to imię w nocy, kiedy coś ci się śniło. Mówiłeś: „Nie jestem Allen. Jestem Toby”.

Toby zamrugał. W świetle dnia niezbyt dobrze pamiętał nocny koszmar. Miał wrażenie, że chodziło o drzwi szafy, ale nie bardzo wiedział, co się z nimi działo. Pamiętał uczucie strachu. Pamiętał, jak tatuś kładł go do łóżka i przykrywał starannie kołdrą. Jednak imienia „Allen” nie mógł sobie przypomnieć.

— Tak mówił? — zdziwiła się Susan. — „Nie jestem Allen, jestem Toby”?

Neil kiwnął głową.

— Dzieci wygadują przez sen różne rzeczy — stwierdziła. — Moja młodsza siostra recytowała wyliczanki.

— To co innego — oświadczył Neil. Susan spojrzała na syna, potem na męża.

— Nie wiem, o co ci chodzi — rzekła cicho.

Neil puścił rękę Toby'ego i spuszcżając oczy wpatrzył się w swój wyczyszczony

talerz.

— Mój brat miał na imię Alłen. Wszyscy mówili do niego Jim, bo tak miał na drugie: James. Ale naprawdę nazywał się Allen.

— Przecież Toby nie miał o tym pojęcia.

— Wiem. Zapadła cisza.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — odezwała się po chwili Susan. — Że Toby'emu śnią się koszmary o twoim bracie?

— Sam nie wiem, co chcę powiedzieć. Jestem wstrząśnięty, to wszystko. Pokój Toby'ego należał kiedyś do Allena. To znaczy Jima.

Susan odstawiła kubek z kawą. Widziała wyraźnie, że Neil nie próbuje z niej żartować. Czasem to robił, z sympatycznym, choć nieco ciężkim poczuciem humoru, odziedziczonym po matce Polce. Dobre, stare, środkowoeuropejskie dowcipy. Dziś jednak był niespokojny i nerwowy, jakby przeczuwał nadchodzące nieszczęście.

— Myślisz, że to duch albo coś w tym rodzaju?

Neil spoważniał na chwilę, po czym uśmiechnął się bezradnie.

— Duch? Nie wiem. Nie wierzę w duchy. To znaczy, nie wierzę w duchy, które straszą po nocach.

— A czy duchy istnieją, tatusiu? — pisnął Toby. — Prawdziwe duchy?

— Nie, Toby — odparł Neil. — Nie ma niczego takiego. Duchy są tylko w książkach.

— W nocy słyszałem jakieś głosy — oznajmił Toby. — Czy to był duch?

— A co mówiłeś o Allenie?

Chłopiec spuścił głowę. Susan wzięła syna za rękę.

— Tatuś mówił tylko, że musiałeś mieć bardzo niezwykły sen — powiedziała miękko. — Nie ma się czego bać. A teraz kończ już śniadanie. Pora do szkoły.

Neil podwiózł Toby'ego swoją furgonetką Chevy prawie do Bodega Bay i wysadził tuż przed szkołą. Dzwonek dzwonił płaczkliwie, większość dzieci była już wewnątrz budynku. Toby wysiadł, lecz zamiast pobiec do szkoły, zatrzymał się przy samochodzie, spoglądając na ojca. Wiatr od Pacyfiku burzył jego jasne włosy.

— Tatusiu — zaczął niepewnie.

— O co chodzi?

— Nie chciałem was zdenerwować — powiedział Toby. — I w ogóle...

— Zdenerwować? — roześmiał się Neil. — Wcale mnie nie zdenerwowałeś.

— Tak mi się wydawało. Mama zabroniła rozmawiać z tobą o Jimie.

Neil milczał. Wciąż jeszcze trudno mu było myśleć o bracie. Przed oczami nie pojawiały się już wprawdzie tamte straszliwie wyraźne obrazy — z czasem osiągnął tyle, że stały się zamglone, nie do rozpoznania. Wciąż jednak czuł w sobie to wrażenie zapierającego dech bólu, jakby w grudniowy dzień wskoczył do oceanu. Wciąż pozostawała ta sama bezradność, ta sama rozpacz.

— Lepiej biegnij do szkoły — powiedział. — Nauczycielka będzie się martwić, co się z tobą dzieje.

Toby zawahał się.

— No, biegnij — powtórzył Neil. Toby wiedział, że tatuś mówi poważnie. Zarzucił na ramię tornister oraz pudełko z drugim śniadaniem i poszedł wolno przez szare, zakurzone podwórze. Neil odprowadził go wzrokiem aż do odrapanych, niebieskich drzwi. Potem drzwi się zamknęły. Neil westchnął.

Wiedział, że powinien być z synem szczerzy i wyjaśnić sprawę Jima. Coś go jednak powstrzymywało. Nie mógł tego zrobić, przynajmniej dopóki sam nie pogodzi się z tą historią. Już kilka razy zaczynał Toby'emu opowiadać, co się stało, lecz słowa zawsze okazywały się niewłaściwe. Zresztą, jakie słowa mogą oddać tamto przeżycie, obraz własnego brata miażdżonego wolno przez samochód? Jakie słowa pozwoliłyby pomieścić w sobie świadomość, że to jego wina, że to on przypadkiem zluzował podnośnik?

Do dzisiaj widział, jak Jim wyciąga do niego rękę błagając o pomoc; widział jego nabrzmiałą twarz i krew płynącą z nosa i ust. Jak opowiedzieć o tym ośmioletniemu chłopcu?

Podjechał do Bodega Bay i zostawił wóz na parkingu obok restauracji „Przypływ”. Potem przeszedł szarym, drewnianym pomostem do „Białej Gołębiczy”, żaglówki, którą się zajmował na zlecenie klienta. Mewy trzepotały skrzydłami na wietrze,

skrzypiał i pobrzękiwał takielunek stojących w zatoce łodzi.

Bodega Bay była niewielką, płytką zatoczką, zamkniętą pasmem stałego lądu, odstającym od brzegu niby zakrzywiony palec. Szarą plażę dookoła niej zaśmiecały kawałki nadpalonego drewna i puszki po piwie. Dalej jednak brzegi były zielone, pełne łagodnych wzgórz i cichych farm. Turyści wyjechali już do domu. Wybrzeże zalegała lekka mgiełka i cisza, jeśli nie liczyć krzyku mew i plusku fal na palach kei. Neil wszedł na skrzący się od soli pokład „Białej Gołębiczy” i przeszedł na dziób. Właściciel korzystał z łodzi przez całe lato, potrzebowała więc czyszczenia, konserwacji oraz malowania. Neil spojrzął na maszt i zanotował w pamięci przetarte, luźne liny.

Miał właśnie zejść pod pokład, by sprawdzić, jakich napraw potrzebuje niewielka kabina, gdy wydało mu się, że słyszy czyjś głos. Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł nikogo prócz starego Doughty’ego, nieodłącznej postaci przystani w Bodega Bay. Siedział na koszu na homary, jakieś dziesięć czy piętnaście metrów od niego.

Przez kilka sekund Neil stał nieruchomo, potem uznał, że mu się zdawało, i schylił głowę, by zejść pod pokład. — Allen — szepnął czyjś głos.

Neil zamarł. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłby określić, ogarnął go lęk, jakiego nie czuł jeszcze nigdy w życiu. Nie mógł się ruszyć, jak gdyby ten szept pozbawił go całej energii. Dopiero po chwili zdołał się obejrzeć. Twarz miał bladą, oczy rozszerzone strachem.

Zobaczył jedynie zatokę okrytą mgłą, szare wody Pacyfiku i nurkujące mewy. Słyszał tylko trzeszczenie lin oraz klepek poszycia, gdy „Biała Gołębica” unosiła się i opadała na falach Bodega Bay.

Odetchnął głęboko, po czym zszedł do kabiny. Były w niej trzy wąskie koje, wciąż pokryte zmiętą pościelą i kocami. Na samym środku stał lakierowany stolik, zastawiony plastikowymi kubkami i butelkami po bourbonie, poprzypalany papierosami. Neil czuł niesmak na myśl, że ludzie w ten sposób traktują swoje łodzie. Nawet najprostsza żaglówka była wytworem pracy artysty, dającym ludziom ochronę przed żywiołem morza. Uważał, że do każdej, choćby najbardziej prymitywnej łodzi należy odnosić się z troską i szacunkiem.

Rozejrzawszy się szybko, zawrócił w stronę schodków, gdy usłyszał szept:

— Allen, pomóż... Proszę cię, Allen, pomóż mi...

Obejrzał się przerażony. Przez krótką chwilę był pewien, że widzi, jak ktoś zagląda przez przedni bulaj. Zaraz jednak rysunek twarzy przekształcił się w plątaninę szekli i zwiniętych lin.

Wstrząśnięty wspiął się z powrotem na pokład. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, czego się spodziewać. Być może sen Toby'ego pobudził jego własną wyobraźnię. Może był przepracowany. Kilka razy odetchnął głęboko, wreszcie ruszył do trapu, by zebrać z pomostu narzędzia i puszki lakieru.

Promienie słońca wpadały ukośnie przez okna klasy. Pani Novato, młoda, ciemnowłosa, z pieprzykiem na policzku i upodobaniem do luźnych, indiańskich sukni, zapowiedziała wycieczkę. Odbędzie się za tydzień. Będzie kosztować jednego dolara trzydzieści pięć centów i każdy z uczniów ma przynieść prowiant. Pojadą nad jezioro Beryessa w górach Vaca, żeby oglądać przyrodę, a przy okazji może trochę popływać.

Toby siedział obok Petry Delgady, poważnej dziewczynki, która nigdy nie mówiła zbyt wiele i zawsze chodziła w niedzielę do kościoła. Pani Novato posadziła go tutaj, bo ze swoim najlepszym kolegą, miedzianowłosym Linusetn Hop-landem, rozmawiali bez przerwy i chichotali. Linus siedział teraz w pierwszej ławce, a jego włosy błyszcząły w słońcu jak latarnia morska na przyładku Arena.

— Pojedziesz nad jezioro? — szepnął Toby do Petry. — Puszczą cię?

Petra wzruszyła ramionami, po czym ściągnęła z powagą wargi.

— Nie wiem. Od czterech dni źle się czuję. Mama może mi nie pozwolić.

— Rzygałaś?

— Nie należy mówić „rzygać”. To brzydko.

Toby zaczerwienił się lekko. Nie chciał, by Petra uważała, że nie jest dość dorosły i obyty. W końcu miała już prawie dziewięć lat i była murowaną kandydatką na przewodniczącą klasy.

— Więc co ci było? — zapytał. — Miałaś odrę?

— Cierpiałam na bezsenność — wyjaśniła Petra.

— Czy to zaraźliwe?

— Coś ty, głuptas jesteś. Bezsenność jest wtedy, kiedy nie możesz spać. Nie widzisz, jakie mam podkrążone oczy? Mama mówi, że to napięcie związane z dojrzewaniem.

Toby zmarszczył czoło. Nie chciał się przyznać, że nie ma najmniejszego pojęcia, o czymmowi Petra. Słyszał coś niecoś o „dojrzewaniu” i wiedział, że ma jakiś związek z włosami rosnącymi na siusiaku — tak nazywał to tatuś. Na tym jednak jego wiedza się kończyła. Jak większość dzieci, dla których najważniejszymi sprawami w życiu były deskorolki, Aniołki Charliego i Kosmiczny Kapitan, szybko zapominał, o czym mu mówiono.

— A co robisz przez całą noc, jeśli nie śpisz? Spacerujesz, czy co?

— No, trochę śpię - wyjaśniła dziewczynka. — Chodzi o to, że mam straszne sny. Budzę się wtedy i długo nie mogę znowu zasnąć.

— Straszne sny? Ja też miałem dzisiaj taki sen.

— Jestem pewna, że twój straszny sen nie był tak straszny jak moje straszne sny — oświadczyła Petra. — Moje straszne sny są po prostu okropne.

— Śniło mi się, że ktoś jest w mojej szafie — powiedział Toby. W zalanej słońcem klasie nie wydawało się to przerażające. Chłodny lęk, jaki odczuwał widząc szarą twarz na drewnianych drzwiach, ulotnił się w ciepłe dnia.

Petra zadarła nosek do góry.

— To głupstwo. Mnie się śni krew. Śnią mi się jacyś ludzie, cali zalani krwią.

Toby był wstrząśnięty.

— To naprawdę straszne — przyznał. — Ludzie zalani krwią... okropne.

— Mama mówi, że to lęki okresu dojrzewania — rzuciła niedbale Petra. — Mówi, że kobieta boi się swych naturalnych funkcji, ponieważ mężczyźni nie rozumieją, czym jest naprawdę.

— Petro! — zawołała pani Novato. — Ty rozmawiasz! Nie poznaję cię!

Petra obrzuciła Toby'ego niechętnym spojrzeniem.

— Przepraszam — powiedziała. — Chciałam tylko wytłumaczyć coś Toby'emu.

Dwadzieścioro chłopców i dziewcząt w klasie, wszyscy pomiędzy ósmym a dziewiątym rokiem życia, obejrzało się równocześnie.

— Jeśli czegoś nie rozumiesz, Toby, zawsze możesz zapytać mnie — oznajmiła pani Novato. — Na pewno ci wytłumaczę. Za to mi płacą. Poza tym, o większości spraw wiem nieco więcej niż Petra.

Linus Hopland szczyrzył zęby i robił głupie miny. Toby nie mógł powstrzymać uśmiechu, musiał przygryzać wargi, by nie roześmiać się głośno.

— Wstań, Toby — powiedziała pani Novato. — Jeśli masz jakieś pytanie, jeśli czegoś nie rozumiesz, podziel się z nami. Po to właśnie jest klasa, by wspólnie rozwiązywać problemy.

Chłopiec podniósł się niechętnie ze wzrokiem wbitym w blat swojej ławki.

— Więc? — spytała pani Novato. — Czego chciałbyś się dowiedzieć?

Toby milczał.

— To było tak ważne, że musiałeś rozmawiać o tym z Petrą w czasie lekcji przyrody, a teraz nie możesz mi powiedzieć

— Chodziło o sny Petry, proszę pani — wyjaśnił cicho Toby.

— Powiedz głośniej — nalegała nauczycielka. — Wcale cię nie słyszę.

— Chodziło o sny Petry. Ona ma straszne sny i ja też. Pani Novato otworzyła szeroko oczy.

— Straszne sny? Jakie straszne sny?

— Mnie się śnił jakiś człowiek w mojej szafie, który prosił o pomoc, a Petrze ludzie zalani krwią.

Pani Novato przeszła wolno między ławkami. Spojrzała uważnie najpierw na Toby'ego, potem na Petrę. Za nią, na tablicy, można było przeczytać: „Drzewa w Skamieniałym Lesie zostały zmienione w kamień przez minerały”.

— Czy mówiliście o tych snach rodzicom? — spytała nauczycielka.

— Ta, proszę pani — dzieci zgodnie kiwnęły głowami. Pani Novato uśmiechnęła się.

— W takim razie jestem pewna, że wkrótce poczujecie się lepiej. Jedzcie trochę mniej na kolację, a sny same znikną. A teraz zapomnijmy o wszystkim, co dzieje się w

snach, i zajmijmy się czymś rzeczywistym: drzewami w Skamieniałym Lesie.

Toby usiadł. Petra, zła, że pani Novato musiała jej zwrócić uwagę, z całej siły uszczypnęła go w nogę.

W czasie długiej przerwy Toby siedział na drewnianej ławce na gorącym, zakurzonym szkolnym podwórku, otoczonym łańcuchem. Jadł swoje bułeczki z masłem orzechowym i galaretką. Był głodny, więc mimo propozycji Bena Nicheliniego, by wymienić drugie śniadanie na żywą jaszczurkę na sznurku, zjadł wszystko, co dała mu matka. Batonik Baby Ruth zachował przewidująco na sam koniec.

Andy Beaver, któremu zazdrościła cała klasa, bo wujek zabrał go do kina na „Gwiezdne wojny”, dość sprawnie naśladował właśnie R2D2, a Karen Doughty dyszała głośno powtarzając: „Jestem Darth Vader! Jestem Darth Vader”.

Daniel Soscol, jeden z najmłodszych chłopców w klasie, przeszedł przez podwórze, usiadł obok Toby’ego i w milczeniu obserwował, jak ten zjada śniadanie. Daniel nie cieszył się sympatią w klasie, bo był bardzo mały i spokojny. Miał chude ręce i nogi oraz duże, ciemne oczy. Jego ojciec był hydraulikiem w Valley Ford, a mama umarła w maju.

Toby zjadł wszystko, po czym wytarł usta serwetką, którą mama włożyła pod kanapki.

— Słyszałem, co mówiłeś o tych snach — odezwał się Daniel.

Toby spojrzał na niego.

— No to co?

Zachowywał się trochę nieuprzejmie, gdyż Daniel był klasową ofermą. Nie chciałby, żeby Andy Beaver zauważył, że jest dla niego miły. Mógłby wtedy zacząć jego, Toby’ego, traktować tak, jak Daniela: podkładać mu pinezki na krzesło, chować książki i w ogóle.

— Ja też miałem straszne sny — oznajmił Daniel. — Naprawdę straszne. Śniło mi się, że idę przez las i nagle jakieś stwory zaczynają spadać z gałęzi.

— Co w tym takiego straszego?

— A co jest strasznego w człowieku w szafie?

— No, w nocy naprawdę się przestraszyłem — przyznał Toby.

— Ja też.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Toby odpakował swój baby ruth i odgryzł kawałek. Chłodna bryza dmuchnęła od zachodu, podnosząc kłęby kurzu. Gdzieś daleko zapiał kogut.

— To nie tylko my — oznajmił Daniel. — Ben Nichelini też miał straszny sen. Śniło mu się, że ucieka, a jacyś źli ludzie chcą go złapać.

— Wszyscy mają takie sny — stwierdził Toby.

— Zgadza się — przyznał Daniel. — Ale to dziwne, że mamy je wszyscy naraz.

Zbliżył się Andy Beaver, bulgocąc i gwizdząc jak R2D2. Daniel wolał nie pozostawać w pobliżu. Kiedy Andy był w nastroju do zabawy, oznaczało to zwykle, że Daniel zostanie szarpnięty za włosy albo ktoś ściągnie mu spodenki. Rzucił więc tylko Toby'emu „na razie” i pobiegł do klasy.

— Rozmawiałeś z tym pieszczoшкой? — zapytał Andy. Był jasnowłosy i skłonny do bójek. Większą część życia miał prawdopodobnie spędzić oglądając mecze baseballowe oraz popijając whisky Old Milwaukee.

Toby osłonił oczy przed słońcem.

— A jeśli tak, to co?

— Nie rozmawia się z pieszczoшкой pani, i tyle. To ciapa.

— Jego mama niedawno umarła. Może też byłbyś taki ciapowaty, gdyby to twoja mama umarła.

— Nigdy nie byłem ciapą. O czym mówiliście?

Toby zjadł ostatni kawałek batonika i zmiął opakowanie.

— A bo co?

Andy Beaver chwycił go za rękę, wyginając mu palce do tyłu. Toby jęknął z bólu, ale Andy był o wiele silniejszy od niego, więc nie mógł się uwolnić. Podbiegło kilkoro dzieci z okrzykami: „Biją się! Biją się!” Toby i Andy przewrócili się na ziemię. Tarzali się, okładając pięściami, kopiąc i stękając z wysiłku.

Wreszcie Andy przycisnął Toby'ego do ziemi, przytrzymując mu ręce kolanami.

Obaj byli zaczerwienieni, brudni i mieli łzy w oczach.

— No dobra — rzekł Andy. — O czym rozmawialiście? Chcę wiedzieć!

Toby zakaszłał.

— Mówiliśmy o tych strasznych snach. Nic więcej. Nic, co mógłbyś zrozumieć.

— Ach, tak?

Toby zepchnął go z siebie i podniósł się wolno. Miał rozerwane spodnie, a koszula wyszła mu na wierzch na plecach. Wyjął chusteczkę i otarł twarz.

— Taki jesteś chytrus? Myślisz, że tylko ty miałeś straszne sny? — spytał Andy.

— A kiedy ty miałeś ostatnio taki sen? Założę się, że wtedy, kiedy twoja mama zrobiła spaghetti na kolację.

— Nieprawda! — zaperzył się Andy. — Dziś w nocy miałem straszny sen. I wczoraj też.

— Miałeś straszny sen? — zapytał ironicznie Toby.

— Pewnie. Koszmar.

— Nie powinieneś oglądać „Gwiezdných wojen” — wtrącił Ben Nichelini. — Jesteś jeszcze za mały, żeby to wytrzymać.

— Może się zamkniesz — zaproponował groźnie Andy. — Śnili mi się ludzie, którym wrywano wszystkie włosy z głowy. Całe dziesiątki tych ludzi. Wszyscy wrzeszczeli przeraźliwie, bo ktoś wrywał im włosy z głowy.

— O rany, to naprawdę straszne — włączyła się do dyskusji Debbie Spurr, chuda, myszowata dziewczynka w bawełnianej sukience w kratkę. — Straszniejsze niż w moim śnie.

— Co jest? — zaprotestował Andy. — Wystarczy, że Toby, Petra i ja mieliśmy straszne sny, a już wszyscy mówią, że oni też.

— Daniel też miał — zauważył Toby. — To już czworo.

— I ja—upierała się Debbie. — Myślałam, że się obudziłam, ale nie. I słyszałam, jak ktoś woła. To było przerażające. Jakaś kobieta wołała i wołała, a ja nie wiedziałam, co mam robić. Chyba okropnie się czegoś bała.

Toby i Andy spojrzeli na siebie. Po raz pierwszy w życiu zobaczyli dorosłych ludzi, nie dzieci czy kolegów z klasy. Ich młode twarze były poważne, skupione,

jakby obaj jednocześnie odkryli, że to, co im się zdarzyło, jest niezwykle i niebezpieczne. Zaraz jednak Andy zniszczył ten nastrój. Uśmiechnął się pogardliwie.

— To nic w porównaniu z moim snem — oświadczył. — Jakaś kobieta, co krzyczy? Zaraz podłożę pinezkę na krzesło pani Novato i usłyszycie krzyzącą kobietę.

W tej właśnie chwili pani Novato stanęła w drzwiach i dmuchnęła w gwizdek, oznajmiając koniec dużej przerwy. Rozmowa o strasznych snach urwała się. Wszyscy ruszyli do klasy, a Andy Beaver znowu zaczął udawać R2D2, zderzając się z dziewczętami i wydając bulgocące dźwięki. Toby samotnie szedł w stronę drzwi. Dotarł do nich jako ostatni. Coś kazało mu się zatrzymać na progu i obejrzeć na otaczający podwórze łańcuch.

W jasnym słońcu, niecałe dwa metry za bramą, stał wysoki mężczyzna. Miał na sobie znoszone, zakurzone ubranie; szeroki, zakurzony kapelusz osłaniał mu oczy. Zdawało się, że porusza wargami. Toby był pewien, że słyszy jego szept:

— Allen...

Patrzył przerażony, jak mężczyzna zaczyna się rozwiewać w południowym słońcu i blaknąć niby stara fotografia. Po chwili przed bramą widać było tylko łagodne pagórki Bodega oraz rozgrzaną, asfaltową szosę, biegnącą na zachód, do zatoki.

Coś zaszurało z tyłu, Toby podskoczył. Obejrzał się i zobaczył panią Novato.

— Czy zaszczyci nas pan swoją obecnością, panie Fenner? — odezwała się z demonstracyjną uprzejmością. — Czy raczej woli pan przez resztę dnia podziwiać krajobraz?

Toby był blady, a jego twarz ociekała potem. Nauczycielka natychmiast pożałowała swego sarkazmu.

— Toby, dobrze się czujesz? — spytała zaniepokojona. Toby miał wrażenie, że ktoś przyciska mu do twarzy poduszkę, że brakuje mu powietrza i coś zatyka usta. Nogi mu zmiękły, a ciemność uniosła się, ogarniając umysł. Pani Novato chwyciła go na rękę, gdy padał zemdlony.

Wieczorem, kiedy leżał skulony w łóżku, matka przysłała do pokoju z talerzem

zupy filadelfijskiej i tacą krakersów. Czuł się już dużo lepiej, ale doktor Crowder uznał, że musi odpocząć. Zdążył dokończyć układankę z „Monitorem” oraz „Merrimakiem”, złożył i rozłożył składany model cadillaca eldorado, a teraz czytał komiks o Doktorze Strange’u.

Matka postawiła zupę i krakersy na stoliku, po czym usiadła na brzegu łóżka. Za oknem zbliżał się zmrok, pachniały eukaliptusy, oddzielające ich działkę od terenu Mac-Deanów tuż obok.

— Jak się czujesz, tygrysie? — spytała Susan Fenner.

— Chyba już dobrze — uśmiechnął się Toby.

— Możemy porozmawiać? Doktorowi nie chciałeś nic powiedzieć.

Chłopiec odwrócił głowę. Doskonale wiedział, co nastąpi, gdy opowie im o tym człowieku za płotem. Powiedzą, że dostał udaru słonecznego albo że zjadł za dużo kanapek. Odnosił wrażenie, że każdą niezwykłą rzecz, jaka się wydarzała, dorośli uznawali za rezultat przejedzenia. Mama czekała cierpliwie, aż na nią popatrzy, choć wolałby, żeby przestała. Naprawdę nie miał ochoty o tym mówić.

W końcu wzięła go za rękę.

— Myślisz, że ci nie uwierzę?—spytała cicho.—Prawda? Nadal na nią nie patrzył, ale przełknął ślinę i odpowiedział:

— Trochę tak.

— Nie musisz nic mówić — zapewniła łagodnie. — Masz prawo zachować w tajemnicy wszystko, co tylko zechcesz. Ale dziś w szkole naprawdę źle się poczułeś, a ponieważ cię kocham i ponieważ martwię się o ciebie, chciałabym wiedzieć, co się stało.

Toby przygryzł wargi. Potem spojrzał na mamę, a jego twarz była tak pełna smutku i udręki, że Susan poczuła cisnące się do oczu łzy. Przytuliła go do siebie, pogłaskała, oboje trochę popłakali, aż przynajmniej on poczuł się lepiej. Usiadł na łóżku i uśmiechnął się. Łzy pozostawiły dwie lśniące kreski na jego policzkach.

— Jesteś kochany głuptas — ofuknęła go. — Wiesz przecież, że możesz opowiedzieć mi o wszystkim. Bez wyjątku.

To by przełknął ślinę, kiwając głową.

— Wracalem do szkoly po duzej przerwie — zaczął. — Obejrzałem się i zobaczyłem człowieka. Stał zaraz za ogrodzeniem.

Susan zmarszczyła brwi.

— Człowieka? Co on tam robił?

— Nic nie robił. Po prostu stał. Delikatnie odsunęła mu z czoła splątane włosy.

— Jesteś pewien? — spytała. — To znaczy, że nie był... no, rozebrany albo coś?

Toby potrząsnął głową. Susan milczała, gładząc jego włosy i zastanawiając się, co mogło go aż tak przerazić.

— Jak on wyglądał, ten człowiek? — spytała w końcu. — Był okropny?

Toby podniósł oczy w górę i zamyślił się. Potem odpowiedział powoli, bardzo ostrożnie:

— Nie był okropny tak, jak potwór czy coś w tym rodzaju. Nie miał zamiaru mnie gonić. Chciał, żebym mu pomógł. Chciał, żebym mu pomógł, a ja nie wiedziałem jak.

— Nie rozumiem. Jakiej pomocy mógł oczekiwać? Toby spojrział na nią z niepokojem.

— Nie mogłem mu pomóc — powtórzył cicho. — Nie wiedziałem, co mam robić.

— Ale, Toby, jakiej pomocy chciał od ciebie? Co miałeś dla niego zrobić?

Chłopiec milczał przez chwilę, po czym powiedział niemal szeptem:

— Nie wiem.

Susan ścisnęła go za rękę. Może Toby przechodził właśnie taki okres, że fantazja nabierała cech rzeczywistości. Może to wina tych wszystkich bzdur, na które patrzył w telewizji i o których czytał w komiksach. Wiedziała, że niektóre matki zabraniają dzieciom oglądać pewne rzeczy. Neil jednak zawsze powtarzał, że jemu nie zaszkodziło dzieciństwo z Supermanem oraz Kapitanem Marvelem. Pozwalali więc Toby'emu czytać wszystko, na co miał ochotę. Okazało się zresztą, że zwykle wybiera dobre książki i mądre programy. Może jednak Doktor Strange i Niewiarygodny Hulk zakłócili działanie jego ośmioletniego umysłu...

— On nie był żywy — odezwał się Toby.

— Co? — mruknęła pogrążona we własnych myślach Susan.

— Ten człowiek, którego widziałem. On nie żył.

— Toby, sam przecież mówiłeś, że stał za ogrodzeniem. Jak mógł stać, skoro nie żył?

Chłopiec spuścił wzrok.

— Nie wiem. Ale on nie był żywy. Susan podała mu talerz zupy.

— Posłuchaj — powiedziała zdecydowanym tonem. — Zapomnij o tym, co dziś widziałeś. Nie musisz się tym martwić. Zjedz zupę i krakersy, a za chwilę przyjdzie tatuś i poczyta ci na dobranoc. Wyśpisz się dobrze, a rano nie będziesz już o tym myślał.

Zostawiła drzwi sypialni otwarte na oścież i zeszła na dół. Neil wrócił pół godziny temu, a teraz siedział przy kuchennym stole, popijał piwo Lite i czytał gazetę. Podniósł głowę, gdy weszła.

— Jak się czuje? — zapytał.

Podeszła do kuchenki i zamieszała jarzynową zupę w dużym, czarnym, żelaznym garnku. Po kuchni rozszedł się zapach świeżo ugotowanych marchewek oraz porów.

— Trochę lepiej — powiedziała. — Ale mówi, że przestraszył go jakiś człowiek.

Neil odłożył gazetę.

— Człowiek? Jaki człowiek?

— Nie wie. Ale to nie był żaden czyn lubieżny ani nic w tym rodzaju. On po prostu stał za szkolnym ogrodzeniem i Toby mówi, że się go przestraszył. Ten człowiek chciał pomocy, a Toby nie wiedział, jak mu pomóc.

— Pomocy? Jakiej pomocy? Susan potrząsnęła głową.

— Nie mam pojęcia. I to mnie martwi. Mam nadzieję, że się niczym nie zaraził. Wiesz, mówi, jakby miał gorączkę.

— Czy doktor Crowder mierzył mu temperaturę?

— Pewnie. Jest prawidłowa. Powiedział, że nic mu nie dolega.

Neil potarł dłonią podbródek. Nie wiedział czemu, ale nie mógł zapomnieć tej chwili na „Białej Gołębicy”, kiedy ktoś wyszeptał imię „Allen”. Wstał i podszedł do okna. Było już ciemno, widział swoje niewyraźne odbicie, patrzące na niego z widmowej kuchni.

— Upiera się, że on nie żył — mówiła dalej Susan.

— Kto?

— Ten człowiek przy ogrodzeniu. Toby twierdzi, że nie był żywy.

Neil odwrócił się.

— Czy wyjaśnił, co przez to rozumie? Wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że chodzi mu o ducha. Neil westchnął z rezygnacją.-

— O ducha... Zatem to moja wina. Niepotrzebnie mówiliśmy o duchach przy śniadaniu.

— Możliwe — przyznała Susan. — Ale nie sądzisz, że należałoby zatelefonować do pani Novato i spytać, czy koło szkoły nie łążą jacyś włóczędzy?

— Najpierw porozmawiam z Tobym.

Wspiął się po wąskich schodach na piętro, po czym przeszedł wyłożonym boazerią korytarzykiem do pokoju syna. Chłopiec kończył jeść. Był już mniej blady niż poprzednio. Neil przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem.

— Cześć — powiedział.

— Cześć.

— Smakowała ci zupa?

Toby odstawił pusty talerz na stół.

— Bardzo dobra. Czuję się dużo lepiej. Może mógłbym zejść na dół obejrzeć latającego robota?

— A może mógłbyś poleżeć w łóżku i trochę odpocząć?

— Nie jestem chory, tato. Naprawdę. Tylko trochę zemdlałem.

— Jedno małe zemdlenie to wcale nie taki drobiazg — uśmiechnął się Neil.

Toby pokazał mu składanego cadillaca.

— Niezły, co? Wcale nie trzeba kleju. Po prostu się składa.

Neil obejrzał zabawkę z podziwem.

— Kiedy ja byłem chłopcem — powiedział — musiałem sam wycinać części. Z drzewa balsa. Potem wygładzałem je papierem ściernym i sklejałem.

— Ciężka robota — przyznał współczująco Toby. Neil uśmiechnął się.

— Toby — zapytał po chwili. — Ten człowiek, którego widziałeś... możesz mi

powiedzieć, jak wyglądał?

Chłopiec spuścił oczy.

— To bardzo ważne — dodał Neil. — Chodzi o to, że jeśli on tam naprawdę był, jeśli włóczył się koło szkoły, powinniśmy zawiadomić policję.

Toby nie odpowiadał. Neil wziął go za rękę.

— Proszę cię, żebyś mi powiedział, jak wyglądał ten człowiek. To nie zabawa. Chodzi o poważne sprawy.

Chłopiec przełknął ślinę.

— Był wysoki — zaczął bardzo cicho. — Miał kowbojski kapelusz i taki długi, biały płaszcz, jak zawsze nosili kowboje.

— Prochowiec? Toby skinął głową.

— I chyba miał brodę, taką jasną. To wszystko.

— Mama mówiła, że myślisz, że on nie był żywy.

— Nie był.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo nie był. Wiem, że nie.

— Czy to był duch?

Toby znowu odwrócił wzrok. Zaczął przebierać palcami i trochę się zarumienił. Nie odpowiadał, ale zwyczajnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Człowiek pod szkołą nie był takim duchem, jak wyobraża je sobie większość ludzi. Nie jestem Allen, jestem Toby. Nie mogę ci pomóc. Nie jestem Allenem.

— Allen, pomóż... — nalegała szara twarz.

— Nie mogę — zaszlochał Toby. — Nie wiem, czego chcesz. Nie potrafię.

— Allen... — jęknął głos. — Na miłość boską, Allen... ściągnij ich na szczyt... jeśli ich nie sprowadzisz, jesteśmy zgubieni...

— Nie mogę! — krzyknął Toby. — Nie mogę! Nie wiem, czego chcesz!

Wtedy wydało mu się, że twarz otworzyła oczy naprawdę. Spojrzała na Toby'ego. Pod wpływem tego spojrzenia chłopiec poczuł podmuch wiatru z dalekich, dawnych miejsc, poczuł, że stoi gdzieś na otwartym terenie pod niebem sprzed setek lat. Miał

dziwne, straszne odczucie, że twarz w drzwiach szafy jest realna i że szafa wcale nie jest szafą. Słyszał, jak ktoś krzyczy z lewej strony, ale z jakiegoś powodu nie mógł odwrócić głowy. Szara, brodata twarz unieruchamiała go swym wzrokiem.

— Allen — powiedziała głosem, który wydawał się normalny i bardzo bliski. — Bez ciebie nie dam rady ich powstrzymać.

Toby stwierdził, że odpowiada coś niewyraźnie. Własny głos zdawał się odbijać echem w jego głowie, jak gdyby mówił do siebie z innego pokoju.

— Zrobię, co się da — powiedział wolno. — Trzymaj się, jak długo potrafisz, a ja zrobię, co się da.

Spojrzał w lewo. Wiedział, że jest tam dolina i pomoc, jeśli tylko zdąży dotrzeć na czas. Zostały jeszcze trzy godziny, zanim słońce schowa się za szczyty dalekich gór. Nie był pewien, czy to wystarczy. Uznał, że najlepiej zrobi jadąc wzdłuż wąwozu, choć nawet tam mogą się trafić paskudne niespodzianki.

— Daj mi czas do zachodu — powiedział. — Zrobię, ile będzie można.

Neil szedł korytarzem, zawiązując po drodze szlafrok. Zdawało mu się, że słyszał wołanie Toby'ego, choć teraz panowała cisza. Miał za sobą ciężki dzień na „Białej Gołębicy”, gdzie przypalał i zdrapywał stary lakier oraz politurę. Spał mocno, głęboko. Co do Susan, to można było tańczyć rumbę na jej łóżku, a też by się nie obudziła.

Przechodząc koło dziadkowego zegara, tykającego wolno w swej ciemnej trumnie, usłyszał głosy. Grube, męskie głosy, mówiące z dziwnym akcentem. Zatrzymał się nasłuchując, po czym na palcach podszedł do uchylonych drzwi sypialni syna.

Zajrzał przez szparę do środka, ale niczego nie zauważył. Znowu usłyszał jeden z tych grubych głosów, mówiący:

— Zrobię, co się da. Trzymaj się, jak długo potrafisz, a ja zrobię, co się da.

Neil zawahał się. Co tam się dzieje, do diabła? Pchnął drzwi i zobaczył Toby'ego w pasiastej piżamie klęczącego na kołdrze. W pokoju było dziwnie zimno i wietrznie. Neil zadrzał.

— Toby — zawołał. Chłopiec odwrócił się.

Minęło kilka straszliwych sekund, nim Neil zdał sobie sprawę, na co patrzy. Zamiast okrągłej, dziecinnej twarzyczki syna widział ogorzałą, pomarszczoną twarz dorosłego mężczyzny o oczach zawziętych, zimnych i obojętnych jak oczy węża.

Wstrząsnął się mimowolnie. Potem jednak spojrzął w tę groteskową twarz swojego ośmioletniego syna i szepnął:

— Kim jesteś? Co się stało z moim dzieckiem? Gdzie jest Toby?

Przybysz kiwnął głową, jakby go nie słyszał. Odwrócił się znowu.

— Daj mi czas do zachodu — powiedział. — Zrobię, ile będzie można.

ROZDZIAŁ 2

Neil potrzasał Tobym mocno, coraz mocniej, jak gdyby chciał strącić z jego ramion tę straszną głowę. I wtedy, poprzez swój strach i niepokój, dosłyszał krzyk syna:

— Tato! Tatusiu!

Znieruchomiał, patrząc w oszołomieniu na chłopca.

Twarz, tamta twarz, zniknęła. Toby znowu był Tobym i miał łyzy w oczach po tak brutalnym potraktowaniu. Neil nie potrafił wykrztusić ani słowa, przytulił tylko mocno syna, głaskał jego włosy i kołysał lekko, by go uspokoić.

Weszła Susan, zaspana i półprzytomna.

— Neil... co się tu dzieje?

Łzy oraz lęk tamowały słowa. Potrzęsnała tylko głową, przytulając mocniej syna.

— Słyszałam jakiś krzyk — mówiła dalej Susan. — To nie był twój głos. Neil, o co chodzi? Co się stało?

Neil odetchnął głęboko.

— Nie wiem. To szaleństwo.

— Ale co?

Mężczyzna przesunął palcami po włosach Toby'ego, po czym usadził go prosto, tak by móc mu się przyjrzeć. Chłopiec był zmęczony, blady, pod oczami miał fioletowe kręgi, ale poza tym wyglądał normalnie. Zniknęły wszelkie ślady pomarszczonej, ogorzałej twarzy.

— Dzieje się coś niedobrego, Susan — orzekł Neil. — Nie wiem co, ale na pewno coś więcej niż tylko zły sen albo dziecięca wyobraźnia.

— Co to znaczy „coś”? Jakie „coś”?

— Nie mam pojęcia. Usłyszałem w tym pokoju jakieś głosy i kiedy przyszedłem, Toby był inny.

— Inny?

— Sam nie wiem. Wyglądało to tak, jakby włożył jakąś maskę, tylko że to wcale nie była maska. Miał twarz starego człowieka.

— Starego człowieka? Żartujesz sobie ze mnie.

Neil znowu przycisnął Toby'ego do siebie. Czuł trzepot chłopięcego serca na swej piersi.

— Nie żartowałbym w ten sposób, Susan — oznajmił Sucho. — Wszedłem tu, a Toby klęczał tyłem do mnie. Potem się odwrócił i zobaczyłem tę pomarszczoną, starą twarz.

— Nic nie rozumiem. Jak to: pomarszczoną, starą twarz?

— Na rany Chrystusa, Susan, ja sam nic nie rozumiem. Ale tak to właśnie było. Wyglądał jak starzec.

Susan pochyliła się i pogładziła miękki, blady policzek syna.

— Dzwonię po doktora Crowdera — oświadczyła. — Coś tu jest nie w porządku i chcę się dowiedzieć co.

— Nic mi nie jest, tatusiu — odezwał się Toby. — Naprawdę, nic mi nie jest.

Susan wzięła go z kolan Neila i przytuliła. W swojej pasiastej piżamie wydawał się tak chudy, kruchy i wrażliwy.

— Czy to znowu ten sen, kochanie? — szepnęła mu do ucha. — O to chodzi?

Chłopiec kiwnął głową.

— Znowu słyszałem, jak ktoś mówił: Allen. Widziałem twarz na drzwiach szafy. To ten sam człowiek, który stał koło płotu przed szkołą.

— Chcesz powiedzieć, że przyśnił ci się ten sam człowiek, którego widziałeś koło szkoły? — zapytał Neil.

— Tak — mruknął Toby. Był senny i kleiły mu się powieki.

— Miał brodę i kapelusz?

Chłopiec zamknął oczy i oparł głowę na ramieniu matki. Po emocjach wywołanych nocnym koszmarem szukał ucieczki w głębokim śnie.

— Toby! — zawołał Neil. — Toby, nie zasypiaj!

Ale Susan uciszyła go gestem. Delikatnie ułożyła chłopca w łóżku, okrywając go kołdrą.

Neil patrzył przez chwilę na syna, po czym podszedł do szafy i ostrożnie dotknął gładkiej powierzchni.

— Zupełnie nie wiem, co się tu dzieje — powiedział. — Może to jakaś głupia histeria. Może przejmuję coś od Toby’ego. Ale coś ci powiem, Susan: widziałem tę twarz. Naprawdę ją widziałem.

— Czy przypomina twarz kogoś, kogo znasz? Pokręcił głową.

— Nigdy w życiu nie widziałem nikogo podobnego.

Zgasili lampę, pozostawiając jednak otwarte drzwi i zapalone światło w korytarzu. Potem zeszli na dół. Neil nalał po kieliszku czerwonego wina. Nie mieli w domu innego alkoholu.

— Martwię się — zaczęła Susan. — To się chyba pogarsza. I wcale nie wygląda na normalne koszmary. Wiesz, widział przecież tego mężczyznę w dzień.

Neil wypił duży łyk wina. Skrzywił się.

— Moim zdaniem to upiór. Albo poltergeist. Czy jak się tam nazywają te złośliwe duchy.

— Nie mówisz poważnie.

— Sam nie wiem, co mówię, do diabła. Ale wiem, że wszedłem tam i zobaczyłem twarz starego człowieka na ramionach Toby’ego. Miała zmarszczki koło oczu, mały czarny wąsik i takie jakby poorane policzki, jakie mają niektórzy starcy. Widziałem ją wyraźnie. Gdybym znowu spotkał tego faceta, poznałbym go od razu.

Susan łyknęła trochę wina.

— Sama nie wiem, co powiedzieć — westchnęła. — Wierzę ci i wierzę Toby’emu. Może jednak jest niezupełnie tak, jak się wydaje.

— Więc jak?

— Nie wiem. Ale uważam, że rano powinniśmy zatelefonować do doktora Crowdera. I pani Novato.

Neil przysiadł na brzegu stołu. Ujął jej rękę.

— W tej chwili wydaje mi się, że należałoby raczej wezwać psychiatrę.

Susan gładziła jego palce. Dotknęła lekko porysowanej złotej obrączki.

— Nie potrzebujesz psychiatry. Moim zdaniem Toby przeżywa powtarzający się

koszmar, a ponieważ tak bardzo go kochasz, identyfikujesz się z nim, chcesz go chronić, więc bierzesz na siebie jego lęki.

— Sam nie wiem. Jest jeszcze trochę wina w tej butelce? Wypili do końca pinot noir i wrócili do łóżka. Zbliżał się świt, była już piąta rano. Neil nie mógł zasnąć. Leżał tylko, wpatrując się w sufit. Wiatr od Pacyfiku stawał się cieplejszy, firanki poruszały się, rzucając na pokój cienie w kształcie kwiatów. Czy to rzeczywiście prawda — że bierze na siebie koszmary syna? Czy może jednak było coś w drzwiach szafy, a twarz tego starego nałożyła się na buzię Toby'ego?

O szóstej zasnął na chwilę, lecz zaraz przebudził się, zszedł na dół, zrobił sobie kubek mocnej kawy i wypił ją patrząc na porośniętą trawą pustkowie, za którym była szkoła i ocean.

Rankiem zaparkował furgonetkę przed szkolną bramą i odprowadził Toby'ego do klasy. Pani Novato uśmiechnęła się na jego widok, wyciągając rękę.

— Dzień dobry, panie Fenner — powiedziała.

— Dzień dobry. Pomyślałem, że wpadnę i upewnię się, czy z Tobym wszystko w porządku.

Toby zobaczył Linusa, wyrwał dłoń z ręki ojca i podbiegł do kolegi. Pani Novato spojrziała za nim z pobłażaniem.

— Trzeba uważać na tę parkę, kiedy są razem. Neil uśmiechnął się niepewnie.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — dodała nauczycielka. — Wolę energicznych chłopców. Tacy zawsze najlepiej sobie radzą. Wie pan, że senator Openhauer chodził do naszej szkoły? Podobno był jednym z najbardziej nieposłusznych uczniów, jakich mieliśmy. Tak przynajmniej twierdzi dyrektor.

— Proszę pani — wtrącił Neil zmieszany. — Trochę się martwię o Toby'ego. Mówi, że widział tu wczoraj mężczyznę, tuż za ogrodzeniem. Ktokolwiek by to był, przestraszył go śmiertelnie.

— Widział mężczyznę? Tutaj?

— Tuż przed omdleniem. Tak nam powiedział. Jakiś człowiek z brodą, w długim, białym, staromodnym prochowcu, w kapeluszu z szerokim rondem.

Pani Novato zmarszczyła czoło. Za nią, w klasie, dzieci goniły się i rzucały kulkami papieru. Odwróciła się na chwilę, by zawołać:

— Moi drodzy! Czy moglibyście zachowywać się ciszej?

Dzieci ucichły natychmiast. Pani Novato nigdy nie żartowała i nieposłuszni musieli potem przepisywać dziesięć razy Deklarację Wierności.

— Wiem, że Toby jest prawdziwym chłopcem, panie Fenner — zwróciła się znowu do Neila. — Nigdy nie zauważyłam, żeby kłamał. Ale byłam przy nim, gdy zemdłał, i nikogo nie zauważyłam.

— Może uciekł?

Nauczycielka wyciągnęła rękę w stronę ogrodzenia.

— Niech pan sam popatrzy. Na sto metrów dookoła nie ma się gdzie schować. Gdyby ktoś tam był, na pewno bym go zobaczyła.

Neil potarł dłonią kark.

— Sam nie wiem. Nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby Toby to wymyślił. Był przekonany, że widział tego człowieka i śnił o nim tej nocy.

Pani Novato pocieszająco ścisnęła go za ramię.

— Na pańskim miejscu nie przejmowałabym się za bardzo. Ostatnio sporo uczniów miało straszne sny. Moim zdaniem cała klasa zwariowała na punkcie nocnych koszmarów.

— Dzieci są bardzo podatne na sugestie i sądzę, że wprowadziły się w stan, powiedzmy, bardzo łagodnej hysterii.

Neil spojrział w stronę klasy. Dzieci wydały mu się zupełnie normalne. Chichotały i bawiły się jak zwykle, a już z pewnością nie sprawiały wrażenia, jakby doznały wspólnie jakiegoś nerwowego załamania.

— Rozmawiała pani o tym ze szkolnym lekarzem? — zapytał. — Wie pani, jeśli idzie o Toby'ego, to nie chciałbym, żeby mu się pogorszyło.

— Mogę z nim porozmawiać, jeśli panu zależy — zgodziła się pani Novato. — Myślę jednak, że tylko potwierdzi moją opinię. To coś w rodzaju mody.

W klasie dzieci bawiły się w Indian i kowbojów udając, że strzelają do siebie z wyciągniętych palców. Neil uśmiechnął się.

— Nie będę się martwił — powiedział. — Na oko są wszystkie zupełnie zdrowe. Nawiasem mówiąc, nie wiem, jak pani daje sobie z nimi radę.

— To kwestia praktyki — zaśmiała się pani Novato. — I żelaznej dyscypliny.

— Rozumiem. Gdyby jednak zechciała pani uważać na Toby'ego, byłbym wdzięczny.

— Naturalnie.

Odwrócił się właśnie, by odejść, gdy usłyszał czyjś głos wzbijający się ponad klasowy gwar. Wysoki, piskliwy głos, słyszalny przez krzyki, śmiechy i „strzelaninę”. To nie był Toby. To jakiś inny chłopiec: niewysoki, ciemnowłosy, w zielonej koszulce.

Chłopiec krzyczał:

— Gdzie jest Allen? Gdzie Allen? Czy Allen pojechał po pomoc?

Neil poczuł chłód i mrowienie u nasady włosów oraz w nadgarstkach, jakby nagle kurczyły mu się nerwy. Odwrócił się znowu i krzyknął:

— Proszę pani! Pani Novato! Nauczycielka spojrzała na niego zdziwiona.

— Słucham, panie Fenner? Czy jeszcze coś?

Neil nie mógł znaleźć słów. Oddychał szybko, z wysiłkiem; zdawało mu się, że coś go przygniata do ziemi. Zbyt wielka grawitacja, za gęste powietrze. I przez cały czas, przekrzykując hałas, chłopiec krzyczał:

— Czy ktoś widział, gdzie pojechał Allen? Na miłość boską, gdzie Allen?

— Pani Novato — wykrztusił wreszcie Neil. — Czy mógłbym kilka minut porozmawiać z pani uczniami?

Wyraz twarzy nauczycielki stał się odrobinę ostrzejszy i mniej uprzejmy.

— Obawiam się, że za chwilę powinnam zacząć lekcję. Naprawdę nie mogę.

— To powinno im pomóc. Myślę, że jest w tej sprawie coś więcej niż tylko histeria. Myślę, że powinienem z nimi porozmawiać. Tylko chwilę.

Uśmiech nauczycielki rozwiązał się całkowicie. Stała w drzwiach klasy trzymając rękę na klamce i Neil widział, że jest gotowa zamknąć mu te drzwi przed nosem, gdyby stał się zbyt natarczywy.

— Naprawdę uważam, że powinien pan poprosić dyrektora, pana Groha. Sama nie

mam uprawnień, by pozwolić na zwracanie się do klasy komuś, kto nie jest wykwalifikowanym wykładowcą albo nauczycielem.

— Allen! — wołał chłopiec. — Gdzie jest Allen? Neilowi drżały ręce. Kropelki potu pojawiły się na jego

górną wardze. Wytarł je rękawem.

— Tylko minutę, nie więcej — zapewnił panią Nova-to. — Obiecuję. I może mnie pani wyrzucić, gdybym zaczął mówić coś, co się pani nie spodoba.

Nauczycielka wyglądała raczej na zdziwioną niż oburzoną.

— Proszę — powtórzył Neil.

Wreszcie kiwnęła głową wzdychając, jakby wyrażała zgodę wbrew swemu najgłębszemu przekonaniu i jakby się dziwiła, dlaczego wszystkie skomplikowane sprawy muszą się zdarzać właśnie jej.

Zaprowadziła go na małą katedrę i podniosła obie ręce do f góry nakazując ciszę. Widząc wpatrzone w siebie, zaciekawione dziecięce twarze, Neil poczuł się nagle zakłopotany. Poszukał wzrokiem Toby'ego i dostrzegł go, siedzącego obok bladej, ciemnowłosej dziewczynki. Chłopiec był wyraźnie zadowolony, że jego tatuś stoi właśnie przed klasą. Zdziwiony także. Siedzący przed nim kolega pytał go chyba, zasłaniając usta dłonią, czego chce jego tata, który czeka tam przed grupą ośmiolatków ze szkoły w Bodega, zdenerwowany, z umysłem pełnym lęków i planów. Neil sam chciałby znać odpowiedź na to pytanie. Pani Novato uderzyła linijką o biurko.

— Moi drodzy — powiedziała. — Proszę was o chwilę uwagi. Pan Fenner, ojciec Toby'ego, chce wam powiedzieć coś ważnego. Chodzi o te straszne sny, które miewają niektórzy z was. Sądzę więc, że powinniście słuchać uważnie.

Neil chrząknął i poczuł, że się rumieni.

— Dziękuję. To miło, że pozwoliła mi pani z nimi porozmawiać. Chciałem tylko powiedzieć, że Toby miał ostatnio serię bardzo nieprzyjemnych snów. Wiem od pani Novato, że niektórzy z was także. Czy ci, którym śnią się koszmary, zechcieliby podnieść ręce?

Zapadła cisza. Dzieci obojętnie mierzyły Neila wzrokiem. Pani Novato

uśmiechnęła się kwaśno.

— No dalej, dzieciaki — powiedziała. — Wiem, że jedno czy dwoje z was miewa koszmary. Petra, co z tobą?

Petra, dziewczynka siedząca z Tobym, podniosła rękę. Potem Toby. Potem, jedno po drugim, pozostali: Ben Nichelini, Andy Beaver, Debbie Spurr, Linus Hopland, Daniel Soscol. Cała klasa, dwudziestu jeden uczniów.

Pani Novato spojrzała na Neila zaskoczona.

— Nie miałam pojęcia, że wszystkie...

Neil spojrzał na dzieci. Dwadzieścia jeden młodych, poważnych twarzy. Zapewne zupełnie zwyczajne, zdrowe, wesołe dzieciaki. I nie nabierały go. Nie słyszał żadnych śmiechów ani szeptów. Siedziały wszystkie z podniesionymi rękami i żadne się nawet nie uśmiechało.

— Dziękuję — powiedział zachrypłym głosem. — Możecie opuścić ręce.

— To niesamowite, panie Fenner — odezwała się pani Novato. — Nie wiem, o co tu może chodzić...

— Dlatego właśnie chciałem z nimi porozmawiać. Wierzę, że idzie tu o coś więcej niż tylko straszne sny.

Odwrócił się do klasy.

— Nie chcę zajmować wam zbyt wiele czasu — starał się mówić jak najpewniej i jak najspokojniej. — Pomyślcie o tych snach jako o czymś w rodzaju pracy domowej. Im więcej się o nich dowiemy, tym łatwiej będzie nam się zorientować, dlaczego się wam śnią i czym są. Proszę, żebyście poświęcili dziś kilka minut i narysowali to, co widzieliście w swoich snach. Zastanówcie się dobrze i narysujcie wszystko, co pamiętacie. Jeżeli w snach słyszeliście jakieś imiona, napiszcie je także. To, co piszecie czy rysujecie, nie musi być sensowne. Po prostu namalujcie wszystko, co sobie przypomnicie.

— Nie jestem pewna, czy pan Groh będzie z tego zadowolony — wtrąciła pani Novato.

— Dlaczego?

— Nie chce wpadać w konflikty z rodzicami. Niektórzy z nich są bardzo niechętni

wszelkim nietypowym zajęciom.

Neil szerokim gestem wskazał siedzących w ławkach uczniów.

— Proszę pani, widziała pani, ile z nich podniosło rękę? Dwadzieścia jeden na dwadzieścia jeden. Nie sądzi pani, że powinniśmy zrobić choćby niewielki wysiłek, by się dowiedzieć, co się tu dzieje?

W klasie panowała cisza, od czasu do czasu zakłócana jedynie czymś kasznięciem albo szuraniem tenisówek.

— No dobrze, panie Fenner — zgodziła się w końcu nauczycielka. — Możemy raz spróbować. Ale nie sądzę, żeby dzieci musiały to robić w domu. Niech narysują sny tutaj, w szkole, w trakcie lekcji rusynków. Zresztą w ten sposób wyniki będą lepsze. Nie wszyscy mają w domu kredki i papier.

Szybko klasnęła w dłonie.

— A teraz, dzieci — powiedziała — powiedzcie „do widzenia” panu Fennerowi, a potem otwórzcie książki do geografii tam, gdzie jest duża, kolorowa mapa Kalifornii, czyli na stronie dwudziestej piątej.

— Do widzenia panu — zawołały chórem dzieci. Neil podziękował nauczycielce i wychodząc mrugnął porozumiewawczo do Toby’ego.

Na zewnątrz panował coraz większy upał. Pogoda była jak na wrzesień wyjątkowo dobra, temperatura sięgała dwudziestu pięciu stopni. Mrużąc oczy Neil spojrzał w stronę ogrodu, gdzie Toby widział wczoraj mężczyznę w długim, białym płaszczu. Nie dostrzegł jednak nikogo. Rozumiał teraz, czemu pani Novato nie uwierzyła, że ktokolwiek tam stał. Teren był całkowicie otwarty na setki metrów dookoła, najbliższą możliwą kryjówkę stanowiła niewielka kępa ciemnych krzaków, oddalona o trzy minuty szybkiego biegu.

Podszedł do ogrodu i dokładnie obejrzał grunt. Na twardej glinie nie pozostały żadne ślady. Wierzył, że nauczycielka nikogo nie zauważyła, lecz wierzył także, że Toby mówił prawdę. Zdrowi chłopcy nie mdleją bez powodu. Zresztą, pozbawieni wyobraźni ojcowie także nie widują widmowych twarzy starców.

Wrócił do samochodu. Przez chwilę siedział nieruchomo za kierownicą. Miał przeczucie, że coś jest nie w porządku — takie samo, jakie nawiedza człowieka w

pogodny dzień, gdy zanosi się na burzę. Parę razy spojrzął w lusterko, jakby oczekując, że zobaczy stojącego przy ogrodzeniu mężczyznę w białym prochowcu. Nic się jednak nie wydarzyło.

Po kilku minutach bezowocnych rozmyślań przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał w stronę zatoki. Czekał go kolejny dzień pracy.

W dolinach było ciepło i czysto, lecz nad zatoką unosiła się mgła. Neil włożył więc wiatrówkę. Kończył malowanie rufy i drzwi kabiny „Białej Gołębicy”. Stary Doughty siedział w pobliżu, obserwując spod swej marynarskiej czapeczki kufry straży przybrzeżnej oraz japońską wycieczkę, która zebrała się przy sklepie z pamiątkami, dumnie pozując do zdjęć na tle mocno postarzałej kolekcji wielorybich szczęk i zębów rekinów.

Neil wykonywał ostatnie pociągnięcia pędzlem, kiedy Doughty wstał i wolno ruszył wzdłuż kei. Zatrzymał się przy „Białej Gołębicy”. Przez chwilę przyglądał się Neilowi, wypuszczając z fajki kłęby dymu.

— Widzę, że będziesz miał dobre parę godzin roboty przy tej poharatanej łajbie — zauważył. — Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak traktował łódź jak ten Collings. Cholernie dziwne, że się nie utopił.

Neil wzruszył ramionami.

— To jego sprawa — mruknął obojętnie.

Doughty burknął coś niezrozumiale. Miał prawie osiemdziesiąt lat. Jego szeroka twarz była tak poorana zmarszczkami i ogorzała, że nabrała ciemnoczerwonej barwy. Nosił wysokie, rybackie buty oraz tę samą granatową marynarską kurtkę, którą miał na sobie dwadzieścia lat temu, kiedy ojciec pierwszy raz przyprowadził Neila do przystani. Dysponował kiedyś własną flotyllą rybacką, lecz było to tak dawno, że większość ludzi zdążyła już o tym zapomnieć.

— Nie wiem, po co się męczysz, żeby odpicować tę łódkę — oświadczył. — Wiesz przecież, że latem ten facet załatwi ją tak samo jak teraz.

— Robię to, bo mi płaci — wyjaśnił Neil.

— Wcale nie jesteś podobny do ojca — westchnął Doughty. — Zresztą do dziadka

też nie.

— Nie twierdzę, że jestem. Z tego, co słyszałem o dziadku, wypijał dziennie butelkę rumu, a przed śniadaniem wypalał pięć cygar.

— A co w tym złego? — zdziwił się Doughty.

Neil roześmiał się. Pociągnął farbą dolną listwę drzwi, po czym odłożył pędzel.

— Kiedyś nad tą zatoką opowiadało się historie o rodzinie Fennerów — powiedział Doughty. — Pamiętam, kiedy miałem jakieś dziesięć lat, tata pokazał mi twojego pradziadka, Jacka Fennera, i kazał być dla niego grzecznym. A to dlatego, że kiedyś wrzucił do wody trzech rybaków, bo proponowali mu za małe homary.

— Słyszałem te historyjki — odparł Neil, porządkując puszki z farbą. — Przyznaję, że jestem najmniej interesującym ze wszystkich Fennerów, jacy kiedykolwiek chodzili po świecie.

— Ale nie najgorszym — pocieszył go Doughty, stukając cybuchem fajki o drewniany pal. — Więc masz za co dziękować opatrności.

— Tak? A kto był pana zdaniem najgorszy?

Stary sięgnął do kieszeni i wyjął dwa zmoczone słoną wodą irysy. Jeden rzucił Neilowi, drugi odpakował dla siebie.

— Muszę je ssać bardzo powoli — oznajmił. — Wiesz, inaczej pchają mi się w protezy.

Neil wspiał się na keję.

— Nie powiedział mi pan, kto był najgorszym z Fennerów. Założę się, że nie był tak zły jak najgorszy z Dough-tych.

— Jasne, że był — pokręcił głową Doughty. — Dough-ty'owie byli kiedyś pastorami, z Plymouth w Anglii. Spokojni ludzie. A Fennerowie to twardzi farmerzy, twardzi osadnicy i rozrabiaki. Więcej zrobili dla zasiedlenia Napa Valley niż sam George Yount, a mówią, że George Yount to ojciec Napa Valley.

Obaj mężczyźni przeszli na parking. Neil otworzył klapę furgonetki i wyjął trzy zwoje nowej liny.

— Najgorszego Fennera nazywali Krwawym Fennerem. Dziwię się, że tata nigdy ci o nim nie opowiadał — rzekł Doughty.

— Chyba opowiadał, kiedy byłem mały. Walczył z Indianami, prawda, gdzieś w tysiąc osiemset trzydziestym roku? Nazywano go „Krwawym” Fennerem, bo zbierał skalpy i uszy.

— Zgadza się — pokiwał głową Doughty. — Ale ponoć robił też gorsze rzeczy. Kiedy biali walczyli w górach z Wapposami, on stawał albo po jednej stronie, albo po drugiej, jak mu się akurat spodobało. Kiedy Wapposowie obiecali mu kawał dobrej ziemi, zastawiał pułapki na białych. A kiedy biali zapłacili mu więcej, tłukł Wapposów. Jasne, nikt nigdy niczego nie udowodnił, więc nigdy nie stanął przed sądem, ale przez długie lata ludzie powtarzali, że Krwawy Fenner był odpowiedzialny za najgorsze indiańskie masakry. Dobre parę lat trwało, zanim miejscowi przestali się boczyć na Fennerów.

Neil przeniósł liny na keję i wrzucił na pokład „Białej Gołębicy”.

— O tym na pewno nikt mi nie opowiadał — stwierdził. — Przypuszczam, że cała rodzina wolą nie pamiętać o Krwawym Fennerze.

Doughty wsunął do ust mały palec, by odkleić lepkiego irysa od podniebienia.

— Jeśli rzeczywiście chcesz się czegoś dowiedzieć o dawnych czasach, powinieneś się wybrać do Calistogi i pogadać z Billym Ritchie. O ile jeszcze żyje, ale nie słyszałem, żeby umarł. Dziadek Billy’ego był przyjacielem Roberta Louisa Stevensona i kupa ludzi uważa go za pierwowzór Israela Handsa z „Wyspy skarbów”. Wtedy żyło wielu twardych ludzi, ale powiadają, że Krwawy Fenner był z nich najtwardszy.

Neil zeskoczył na pokład i zaczął rozwijać zwój liny. Zrobiło się cieplej, ale mgła jeszcze zgęstniała i nie widział nawet wejścia do portu. W pobliżu przepłynęła łódź rybacka niby szare widmo.

— Może zamówiłby pan parę głębszych w barze — sięgnął do kieszeni i podał Doughty’emu piątkę. — Jak tylko skończę, dołączę do pana.

To był sposób, by delikatnie postawić staremu drinka. Niepisany kodeks przystani Bodega nakazywał, by przez pewien czas pozwolić mu opowiadać swoje historie, a potem wsunąć jakieś drobne, by uczynić jego życie odrobinę łatwiejszym.

— Tylko przyjdź — powiedział Doughty. — Zamówię ci coś, co się tu kiedyś

pijało.

Dotknął palcem swej marynarskiej czapki i ruszył pomostem kołysząc się, jakby kroczył po pokładzie dawnego klipra.

Neil uśmiechnął się w duchu, zajęty swoimi farbami. Wprawdzie „Biała Gołębica” była pozornie mocno zniszczona, lecz nie wymagała poważniejszych robót. Doprowadzenie jej do porządku nie powinno zająć zbyt wiele czasu. Chyba skończy pracę pod koniec tygodnia. Potem będzie mógł wrócić do swojej małej stoczni i zająć się łodzią, którą miał remontować.

Była już prawie jedenasta i mgła wydawała się jeszcze gęściejsza. Słońce stało się bladożółtym dyskiem, a wiatr ucichł niemal zupełnie. Neil zauważył, że poci się mocno, sortując i układając liny. Zdarzały się chwile, kiedy z trudem łapał oddech.

Spojrzał na zatokę i zmarszczył brwi. Zdawało mu się, że widzi coś unoszącego się na wodzie. Zmrużył oczy, osłaniając je przed rozproszonym światłem. Stał zbyt daleko, by móc rozpoznać, czym jest ten jasny, wysoki pionowy przedmiot. Przypominał dryfującą boję albo żagiel weekendowej łódki.

Dopiero kiedy mgła rozviała się nieco, zaczął rozumieć. Ogarnęło go przytłaczające poczucie lęku. Ten przedmiot nie był boją ani żaglem. To był człowiek — mężczyzna w długim, białym płaszczu, stojący w milczeniu, bez żadnej podpory, na samym środku zatoki.

Neil wyprostował się, przygryzając nerwowo wargi. Przed tajemniczą postacią przepływały co chwila kłęby mgły, lecz nie mogło być najmniejszych wątpliwości. To był człowiek, albo raczej duch, ubrany w kapelusz z szerokim rondem i prochowiec. Stał na wodzie, jakby to był twardy grunt.

— Hej! Ty! — krzyknął Neil, lecz jego głos zabrzmiał we mgle słabo, ledwie słyszalnie. Mężczyzna nie zwrócił na niego żadnej uwagi.

Ogarnięty paniką Neil odwrócił się w stronę przystani.

— Doughty! Doughty! — zawołał. — Chodź, popatrz na to! Na rany Chrystusa, chodź tu!

— Allen... Proszę cię, Allen... — szepnął jakiś głos.

— Doughty! — wrzasnął Neil.

Otworzyły się drzwi baru i wyszedł Dave Conway, właściciel sklepu z rybami, wysoki, rudobrody mężczyzna znany ze swego zamiłowania do żartów.

— Coś nie w porządku, Neil? — zawołał.

— Dave, zobacz! Widzisz coś na zatoce, czy to ja zwariowałem? — krzyknął Neil.

Dave spojrzał na kłęby mgły. Była tak gęsta, że widmo mężczyzny zniknęło niemal całkowicie. Pozostał jedynie ledwie widoczny ślad białego płaszcza.

— Pewno, że coś widzę — rzekł Dave. — Jednak nie zwariowałeś.

— Powiedz, co to jest?

— No, wiesz — odparł Dave. — Głowy nie dam, ale moim zdaniem to mgła.

Neil odetchnął głośno.

— Coś źle powiedziałem? — chciał wiedzieć Dave. — To nie mgła? Więc co? Szara wełna? Może wata cukrowa?

Neil potrząsnął głową.

— Nie mówmy o tym. To tylko złudzenie. Dave podszedł bliżej.

— Naprawdę ci się zdawało, że coś tam widzisz? Co to było, twoim zdaniem?

— Sam nie wiem. Wyglądało tak dziwnie, że wolałem poprosić kogoś o opinię.

— Możesz mi śmiało powiedzieć — zachęcił go Dave. — Nie będę się z ciebie nabijał dłużej niż pół godziny.

Neil odwrócił się zniechęcony.

— To tylko wyobraźnia. Zapomnij o tym.

— Nie powiedziałeś mi, co to było, więc jak mogę zapomnieć?

Neil odłożył zwój liny.

— No dobra — mruknął. — Zdawało mi się, że widzę człowieka, stojącego tam, w zatoce.

— Stojącego?

— Zgadza się. Stał na wodzie, tak samo jak ty stoisz na kei.

Dave zrobił poważną minę.

— Wiesz, powiedziałeś, że to wariactwo. Miałeś rację. Jesteś pewien, że nie czytałeś ostatnio Biblii?

— Dave — rzekł Neil. — Czy nie możesz po prostu zapomnieć o całej sprawie? To było złudzenie optyczne.

— Może pływał na surfie i we mgle nie zauważyłeś deski — zasugerował Dave. — A może stał na kiosku łodzi podwodnej?

— Dave, proszę cię, nie wracajmy już do tego. Nie jestem w nastroju do żartów.

— Też bym nie był, gdybym zobaczył faceta stojącego na wodzie w środku zatoki — zapewnił z udawanym współczuciem Dave. — Też bym nie był.

Tego popołudnia Toby przyniósł ze szkoły dużą, szarą kopertę oraz kartkę od pani Novato. Kiedy poszedł się bawić spychaczem, Neil zabrał pakunek do salonu i usiadł przy swoim starym biurku z żaluzjowym zamknięciem. Susan, w kapciach i w fartuchu, wyjrzała z kuchni.

— Co to jest? — spytała.

— Można powiedzieć, że eksperyment — odparł Neil, uśmiechając się niepewnie.

Susan wytarła w fartuch białe od mąki ręce. Piekła ciastka z jabłkami i pachniała świeżymi owocami oraz topionym masłem.

— Eksperyment? — zdziwiła się. — Czy ma coś wspólnego ze szkołą?

Przytaknął.

— Pamiętasz, jak Toby stale wspominał Allena ze swego snu? No więc rano, kiedy go odwozłem, usłyszałem, że jakiś chłopiec też mówi o Allenie. Poprosiłem panią Novato, żeby mi pozwoliła porozmawiać chwilę z klasą. Spytałem, czy któreś z nich nie miało ostatnio takich snów jak Toby.

— I co? Mieli?

Neil otworzył kopertę.

— Kochanie, z dwudziestu jeden dzieci w klasie wszystkie podniosły ręce, żeby powiedzieć: tak.

Susan wyglądała na zaskoczoną.

— Chcesz powiedzieć, że wszystkie miały takie same koszmary? Na pewno chciały cię tylko nabrać, jak to dzieci.

— Nie wiem, jakie miały koszmary. Ale poprosiłem, żeby namalowały to, co

widzą w snach. Pani Novato zgodziła się, miały to zrobić na lekcji rysunków. Tu jest liścik od niej.

Susan wzięła kartkę i przeczytała ją szybko. Pani Novato pisała:

Szanowny Panie Fenner.

Przesyłam Panu rysunki dzieci w nadziei, że przestanie się Pan denerwować. Jak się zdaje, moja hipoteza o łagodnej, zbiorowej hysterii, była słuszna. Jestem przekonana, że te koszmary znikną, gdy tylko pojawi się nowa moda. Widać już znaki, że górę biorą Trzaskające Cukierki. Przy okazji: gdyby Toby chciał w środę jechać z nami wszystkimi na wycieczkę nad jezioro Beryessa, niech jutro przyniesie \$ 1,35.

Z poważaniem Nora Novato

Neil potarł dłonią policzek.

— No cóż — mruknął. — Nie brzmi to zbyt obiecująco.

— Moim zdaniem brzmi doskonale — oświadczyła Susan. — Im szybciej Toby przestanie śnić o tych okropnych rzeczach, tym lepiej.

— Susan, to nie tylko sny. To się zdarza także na jawie. Co z tą twarzą starego człowieka, którą widziałem w nocy zamiast buzi Toby'ego? Co z tym mężczyzną w białym płaszczu, którego widział Toby? Co z tym facetem stojącym na środku zatoki?

Susan popatrzyła na niego zaskoczona.

— Jakim facetem stojącym na środku jakiej zatoki? O czym ty mówisz?

Popatrzył na nią krótko i spuścił wzrok.

— Przepraszam. Chciałem ci o tym powiedzieć, ale nie ; bardzo wiedziałem, jak zacząć. Chodzi o coś, co zdarzyło się dzisiaj. Czy raczej zdawało mi się, że się zdarzyło. Susan pochyliła się, obejmując go ramieniem.

— Nie wiedziałeś, jak mi o tym powiedzieć? Ależ kochanie, martwię się tym wszystkim tak samo jak ty! Jestem twoją żoną. Po to się pobraliśmy, żebyśmy zawsze mogli sobie ufać.

— Oczywiście, skarbie — zgodził się niepewnie. — Po prostu trochę głupio się przyznać przed sobą, że widzę zjawy albo dostałem jakiejś dziecięcej hysterii.

— Nie bądź śmieszny! Jeśli mówisz, że coś widziałeś, to znaczy, że widziałeś. Może istnieje jakieś proste wyjaśnienie.

Może to coś w rodzaju mirażu. Ale widziałeś to i koniec. Wierzę ci. Wzruszył ramionami.

— Cieszę się, że masz do mnie zaufanie. Nie wiem tylko, czy sam sobie ufam.

Susan pocałowała jego włosy.

— Kocham cię — powiedziała z prostotą. — Jeśli coś cię martwi, to mnie martwi także. Pamiętaj o tym.

Neil sięgnął do koperty, wyjmując plik kolorowych rysunków. Susan przysunęła sobie krzesło i zaczęli je przeglądać, jeden po drugim.

Rysunki, choć różniące się stylem i kolorami, były jednak dziwnie podobne. Ukazywały drzewa, góry oraz walczące ze sobą postacie. Niektóre przedstawiały dwudziestu, czasem trzydziestu zbudowanych z kresek ludzików, wznoszących ręce do góry, z plamami czerwieni dookoła. Na innych widać było tylko jednego lub dwóch, leżących na plecach wśród zieleni. Na tuzinie obrazków narysowano latające wszędzie strzały, na innych ludzi ze strzelbami.

Tylko ośmioro czy dziewięcioro dzieci umieściło obok rysunków jakieś imiona albo słowa. Toby napisał „Allen, pomóż”, Daniel Soscol „Alun”, które potem przekreślił, Debbie Spurr „Allen, Allen nie wrócił”.

Zdarzały się także dość niezwykłe imiona. Na jednym obrazku autor dopisał grubą, zieloną kredką „Ta-La-Ha-Lu-Si”, na innym znalazło się słowo „Kaimus”, na jeszcze innym „Oweaoo” i „Sokwet”.

Neil i Susan oglądali rysunki przez dwadzieścia minut, aż wreszcie odłożyli je na biurko i spojrzeli na siebie zdziwieni.

— Do diabła, nie wiem, co to może znaczyć — wyznał Neil. — Po prostu nie widzę w nich żadnego sensu.

— To jednak dziwne, że wszyscy narysowali mniej więcej to samo — zauważyła Susan. — Pomyśl, jak często można znaleźć grupę dwudziestu jeden osób, którym śni się ten sam koszmar? Popatrz tutaj, to rysunek Toby’ego. Prawie nie różni się od pozostałych.

Neil odsunął krzesło i wstał. Przez cienkie firanki widział, jak Toby bawi się na podwórzu swoim spychaczem Tonka. Nagle poczuł ogarniającą go falę ciepła i troski o syna, tak silną, że aż w oczach stanęły mu łzy. W co on się wplątał, na Boga? Czy to naprawdę były tylko straszne sny, czy może coś tajemniczego i groźnego?

— Może powinniśmy porozmawiać z doktorem Crowderem — odezwała się Susan. — Niewykluczone, że to jakieś zaburzenia psychiczne.

— Toby jest zdrowy, tak samo jak reszta dzieci — pokręcił głową Neil. — I ja też, jeśli już o tym mowa. Wyczuwam, że to raczej coś z zewnątrz, coś, co próbuje się przedostać i wykorzystuje nas wszystkich.

— Coś takiego jak podczas seansu spirytystycznego? Jak duch, który szuka kontaktu?

— Tak, coś takiego. Mam wrażenie nacisku. Coś napiera na nas ze wszystkich stron. Czuję ten nacisk bez przerwy, dniem i nocą.

— Neil... — zaczęła ostrożnie Susan. Odwrócił się od okna.

— Wiem. Mówię, jakbym zaczynał wariować. Ale czuję się tak samo jak tydzień temu. Jeżeli tracę rozum, to tracą go też wszystkie dzieci, a w to nie wierzę.

Podniósł jeden z rysunków, przedstawiający zażartą walkę pomiędzy ludźmi w wielkich kapeluszach a ludźmi z długimi, czarnymi włosami. W tle widać było zielono-szare góry, a w powietrzu było gęsto od strzał. Wszystkie miały groty starannie i dokładnie wyrysowane czarną kredką.

— Jak myślisz, co to przedstawia? — spytał, pokazując obrazek Susan.

Przyjrzała się uważnie rysunkowi.

— To dość oczywiste: walkę między kowbojami i Indianami.

— Kto wygrywa?

— Kowboje.

— Dlaczego tak sądzisz? Susan spojrzała raz jeszcze.

— Popatrz, tu w środku jest jeden kowboj. Stoi, strzela i, jak się zdaje, bardzo mu się to podoba.

— To fakt — przyznał Neil. — Ale przyjrzyj się pozostałym. Większość wygląda dość marnie. Sporo ich leży i sterczą z nich strzały. To samo jest na następnym

obrazku i jeszcze na tym. Indianom idzie chyba w tej bitwie zdecydowanie lepiej.

Susan przerzuciła jeszcze dziewięć czy dziesięć rysunków, po czym kiwnęła głową.

— Chyba masz rację — stwierdziła. — Ale co z tego wynika?

— Nie wiem. Może tylko to, że wszystkie dzieci w klasie czytały o tej samej bitwie albo oglądały ten sam film. Przypomnij sobie, czy Toby mógł ostatnio oglądać w telewizji albo w kinie taką bitwę?

Przesunęła dłonią po luźno spiętych jasnych włosach.

— Jakiś miesiąc temu nadawali film o Custerze.

— Więc może to jest rozwiązanie. Ten zadowolony kowboj to pewnie generał Custer, a rysunki przedstawiają Little Big Horn.

— Tyle że nie ma tu rzeki — zauważyła Susan. — Bitwa nad Little Big Horna nie toczyła się w górach, a góry widać na każdym rysunku. Moim zdaniem, wygląda to jak miejsce w pobliżu Sonomy albo w górach Vaca.

— Możliwe — zgodził się Neil.

Ostatni raz przejrzał rysunki i już miał je wsunąć z powrotem do koperty, gdy coś zwróciło jego uwagę. Przypatrzył się bliżej obrazkowi Bena Nicheliniego. Tuż za grupą zalanych krwią kowbojów dostrzegł coś, co wyglądało jak dziecięcy wizerunek brodatego mężczyzny w białym prochowcu i kapeluszu z szerokim rondem. Z jego pleców sterczała długa strzała.

Przeszedł do okna i otworzył je.

— Toby! Przyjdź tu na chwilę, dobrze?

— O co chodzi? — zdziwiła się Susan. — Co zobaczyłeś?

— To tylko domysły — odparł Neil. — Poczekaj, zobaczymy, co powie Toby.

Chłopiec wbiegł przez drzwi do kuchni, wciąż trzymając w ręku spychacz.

— Co chciałeś, tato?

Neil podniósł plik rysunków.

— Wiesz, co to jest?

— Pewnie. To te sny, które chciałeś, żebyśmy namalowali. Ten jest Bena Nicheliniego, prawda?

— Zgadza się. Widziałeś go wcześniej?

— Nie. Pani Novato powiedziała, żebyśmy nie podglądali. Mieliśmy rysować z pamięci, a nie ściągać od siebie.

Neil podał mu kartkę.

— Przyjrzyj się dobrze, Toby — powiedział miękko. — Zastanów się, czy nie widzisz czegoś, co wydaje ci się znajome. Czegoś lub kogoś, kogo już kiedyś widziałeś.

Toby oglądał rysunek, marszcząc czoło w skupieniu. Neil spojrział na Susan i ostrzegawczo podniósł palec na znak, że później jej wszystko wytłumaczy. Susan patrzyła z troską na syna. Białe od mąki ręce złożyła na kolanach.

Wreszcie Toby oddał ojcu kartkę.

— Tam jest jeden człowiek i wygląda tak jak ten, którego widziałem koło szkoły — powiedział niepewnie.

— Czy to on? — zapytał Neil.

— Tak — potwierdził Toby. — Ale na tym obrazku czegoś brakuje.

— Brakuje? — zdziwiła się Susan. — Czego, kochanie?

— Nie ma Allena — wyjaśnił chłopiec. — Powinien być, a go nie ma.

— Allena? To znaczy, że ten w białym płaszczu to nie Allen?

— Nie. To jest Allen.

Toby przerzucił plik rysunków i odnalazł ten, na którym przedstawiono uśmiechniętego kowboja z pistoletem — tego, który stał prosto i wyglądał na zadowolonego, podczas gdy inni kowboje padali wokół niego przeszyty indyjskimi strzałami.

— To jest Allen? — upewnił się Neil. — Skąd wiesz?

— Wiem i już. Właśnie tak wygląda.

— Przecież go nie znasz. Widziałeś go kiedyś? Toby pokręcił głową.

— Nie, tato.

— Więc czemu akurat ten ma być Allenem? Skąd wiesz, że nie ten albo ten w białym płaszczu?

— Ten w białym płaszczu ciągle prosi Allena o pomoc — wyjaśnił poważnie Toby. — Więc nie może sam być Allenem. Zresztą, Allen to Allen. Żaden z tych innych nim nie jest.

Susan i Neil patrzyli na siebie przez chwilę.

— Zabrnęliśmy w ślepy zaułek — stwierdziła Susan. — Co teraz?

— Nie wiem — odparł Neil. — To wszystko zupełnie nie ma sensu.

Susan odczekała jeszcze chwilę, ale na dworze zaczynało już zmierzchać. Po kilku minutach uścisnęła dłoń męża i wróciła do kuchni. Toby zabrał spychacz na górę, do sypialni i Neil słyszał, jak nim warczy, jeżdżąc po całym pokoju. Słodki zapach ciasteczek z jabłkami przypomniał mu, że nie jadł jeszcze kolacji i że jest głodny.

Może dziś wreszcie nastąpi noc bez koszmarów. Może człowiek w długim, białym płaszczu zniknie, by nigdy się już nie pojawić. Przeczował jednak, że wszyscy zostali wmieszani w coś dziwnego i tajemniczego, nad czym nie mieli żadnej kontroli. Czuł, że nadchodzą kłopoty i że nie uda mu się ich uniknąć. Bębniąc palcami po biurku zastanawiał się, co mogą oznaczać te wszystkie znaki, rysunki i sny.

Pomyślał, że warto może posłuchać rady Doughty'ego, wybrać się do Calistogi i znaleźć Billy'ego Ritchie. Jeśli Billy znał się na dawnych dziejach Napa i Sonoma, to może imię Allen coś mu powie. Może słyszał opowieści o kimś znanym, kto chodził w białym prochowcu. Niewykluczone, że wyjaśni też, co znaczy „Ta-La-Ha-Lu-Si” i „Kaimus”.

— Chcesz spróbować gorącego ciasteczka?! — zawołała z kuchni Susan.

— Pewno — odpowiedział wstając z krzesła. Ale kiedy zamykał za sobą drzwi, usłyszał z góry krzyk. Podskoczył nerwowo. To był piskliwy krzyk przerażenia. To był Toby.

Neil pognął na górę przeskakując po trzy stopnie, przebiegł przez korytarz i pchnął drzwi do sypialni syna. Chłopiec stał na środku pokoju, wciąż ściskając w ręku swój spychacz i sparaliżowany z grozy patrzył na szafę. W pokoju panował dziwny, przyprawiający o mdłości ziąb — jak w chłodni u rzeźnika. To musiało być złudzenie, ale podłoga zdawała się kołysać, jak gdyby pod dywanem przepływały wolno fale gęstej cieczy.

— Toby — odezwał się drżącym głosem Neil. — Toby, co I się dzieje?

Toby powoli odwrócił się w jego stronę. Coś niedobrego działo się z jego twarzą: jej kontury były niewyraźne, jakby fosforyzowały, i choć usta miał zamknięte, zdawał się coś mówić. Najbardziej jednak przeraziły Neila oczy, zupełnie niepodobne do oczu dziecka, stare, zimne i twarde jak skała. Głęboki, głośny dźwięk wstrząsnął ścianami pokoju. Trzask, jak gdyby czubek góry lodowej kruszył poszycie statku, wzmocniony potężnie jęk, jaki wydał z siebie Jim, gdy buick miażdżył mu klatkę piersiową. Neil wyciągnął rękę, lecz Toby jakby oddalił się o całe kilometry od niego. Dmuchał lodowaty wiatr, od którego sztywniały i nieruchomiały mięśnie.

Neil spojrział w stronę szafy. To, co zobaczył, przekonało go niemal, że traci rozum, że umysł ostatecznie zerwał więzy łączące go z realnym światem. W drewnie, niczym pod powierzchnią pokrytego lodem stawu, widział dziką, groźną twarz, przyglądającą mu się tak złośliwie i wrogo, że nie potrafił odwrócić wzroku. Lecz daleko bardziej niesamowite f. i przerażające było to, że z orzechowego forniru sięgała ku niemu ręka — ręka ze lśniącego drewna, a jednak żywa i wyciągała po niego swe długie szpony, darła mu koszuli lecz — gdy skoczył naprzód i próbował chwycić Toby'ego na rękę. Nie patrzył na nią. Wiedział, że wystarczy jedno spojrzenie, a opuszczą go siły i rozum. Przerzucił syna przez ramię I i na ślepo ruszył do drzwi, zasłaniając oczy przed obrazem tej wilczej twarzy w deskach szafy.

Biegająca ku nim Susan dotarła do połowy schodów, kiedy .i przewrócił się upuszczając syna na podłogę.

— Drzwi! — wrzasnęła. — Zamknij drzwi! — i Susan pospiesznie zatrzasnęła je, po czym przekreśliła klucz.

— Toby! Neil! Co się dzieje? — spytała. — Usłyszałam taki hałas, że...

Neil przytrzymał ją za rękę.

— To jest w środku — powiedział drżącym, rozgorączkowanym głosem. — To, co Toby widział we śnie, to wcale nie sen. To prawda, i teraz to jest w sypialni. Widziałem twarz, Susan. Cholerną twarz w drzwiach szafy. I prosto z desek wysunęła się ręka. Prosto z tych piekielnych desek!

Podniósł się z wysiłkiem. Próbowwała go podtrzymać, lecz był zbyt podniecony, by

pozwolić się dotknąć. Odsunął ją. Ukłękła przy Tobym, który drżał i pojękiwał. Przytuliła go mocno.

— Słuchaj — szepnął Neil. — Posłuchaj. Słysząc go.

Milczeli. Zza zamkniętych drzwi dobiegał cichy, tajemniczy dźwięk, jakby wiatr powiał od gór. A potem Neil zasłonił twarz rękami — usłyszeli bowiem odgłos tak nienaturalny i przerażający, że niemal nie do wytrzymania.

Po podłodze sypialni drewniane stopy stawiały chwiejne, niepewne kroki. Drewniane ręce obmacywały ściany, szukając drzwi.

ROZDZIAŁ 3

Po kilku chwilach odgłosy ucichły. Czekali jeszcze prawie dziesięć minut, wstrzymując oddech, ale nie usłyszeli już nic.

— Neil, co to było? — spytała niepewnie Susan. — Co to było?

Neil, blady i napięty, czuł się tak, jakby przed chwilą doznał porażenia prądem. Wargi i język nie pracowały jak należy, więc kiedy się w końcu odezwał, mówił niewyraźnie i bełkotliwie.

— Nie wiem. To było jak diabeł. Wyszło wprost z drewnianych drzwi i też musiało być z drzewa. Drewniany diabeł, chodzący po pokoju.

— Neil... takie rzeczy są niemożliwe. To na pewno wiatr poruszył drzwiami albo coś takiego. Może zobaczyłeś własne odbicie.

Mężczyzna oparł się o ścianę i powoli, zdecydowanie pokręcił głową.

— Może to była jakaś halucynacja — nie ustępowała Susan. — Neil, coś takiego po prostu nie mogło się zdarzyć. Diabły nie istnieją. Drewniany człowiek wychodzący z drzwi szafy? To szaleństwo.

Neil spojrzał na nią ostro. Dotarło do niej, co powiedziała, więc wyciągnęła rękę i ścisnęła pocieszająco jego dłoń.

— Och, Neil, nie chciałam...

Wyrwał jej rękę i przygładził sobie włosy.

— Nie musisz mówić, że ci przykro — powiedział ponuro. — Prawdopodobnie masz rację.

Toby otworzył oczy i posłał ojcu słaby uśmiech.

— Już wszystko w porządku, kochanie — Susan pogładziła go po włosach. — Możesz dzisiaj spać z nami, w naszej sypialni, nie w tym paskudnym pokoju.

Neil przykucnął i dotknął nosa Toby'ego pieszczotliwym gestem.

— Jak tam, tygrysie?

— Nic mi nie jest — oświadczył Toby. — Przestraszyłem się tylko.

— Pamiętasz, co się działo?

— Neil — zaprotestowała Susan. — Przecież dopiero doszedł do siebie.

— Skarbie, musimy się dowiedzieć, co się zdarzyło. To było nie z tego świata. Jeżeli mamy walczyć z jakimś duchem czy upiorem, powinniśmy wiedzieć, co to właściwie jest.

— Uważam, że powinniśmy zejść na dół, uspokoić się trochę i zadzwonić do doktora Crowdera — stwierdziła Susan. — Nastawię czajnik i napijemy się mocnej, czarnej kawy.

— Toby — nie ustępował Neil — chcę tylko wiedzieć, co się działo.

Toby zamrugał oczami, po czym powiedział cicho:

— Bawiłem się spychaczem i znowu usłyszałem, jak ten człowiek coś mówi. Wydawało się, że jest naprawdę przestraszony. Zobaczyłem na szafie jego twarz. Potem to już nie była jego twarz, tylko Allena. A potem ja byłem Allenem, a na drzwiach był kto inny, okropny, bardzo wysoki i przestraszył mnie, i wyszedł z tych drzwi.

— Wiesz, co to było? Albo kto to był?

— Neil — wtrąciła prosząco Susan. — Przecież on jest ledwie przytomny.

— Musimy się dowiedzieć — nie ustępował Neil. — W przeciwnym razie nie będziemy mogli się bronić. Toby, kto to był? Kim był ten człowiek w drzwiach szafy?

Usta chłopca wygięły się w podkówkę, w oczach stanęły mu łzy.

— Nie wiem — zaszlochał. — Nie wiem.

Susan przytuliła go i próbowała uspokoić. Neil podniósł się powoli.

— Dzwonię po doktora Crowdera — oznajmił. — Uważam, że tym razem nie poradzimy sobie sami.

Sprowadził Susan i Toby'ego do kuchni, wstawił wodę na kawę, po czym wyszedł do jadalni i wykręcił domowy numer doktora. Zauważył, jak bardzo drżą mu ręce, więc czekając, aż lekarz podniesie słuchawkę, oparł łokcie o blat biurka. W stojącej przed nim fotografii Susan widział odbicie swej bladej, wymizerowanej twarzy.

Telefon dzwonił prawie minutę, zanim w końcu ktoś podniósł słuchawkę.

— Mieszkanie doktora Crowdera — odezwała się pani Crowder. — Kto mówi?

— Emma? Tu Neil Fenner. Czy doktor jest w domu?

— Neil! Co słychać? Dawno cię nie widziałam. Jak Toby? Neil przetarł powieki.

— No... to właśnie o Tobym chciałbym porozmawiać. Mamy tu pewien problem i zastanawiałem się, czy może doktor znalazłby chwilę czasu, żeby do nas zajrzeć.

— Czy to naprawdę pilne? Wiem, że jest dziś bardzo zajęty. Siostry Baxter pochorowały się na koklusz.

— Emmo, nie dzwoniłbym, gdyby sprawa nie była poważna. Wiem, że ma masę roboty.

— Dobrze, Neil — powiedziała ciepło Emma. — Ma zadzwonić do domu, jak tylko skończy u Baxterów. Powiem mu, żeby do was zajrzał. Mam nadzieję, że to nie żadna ciężka choroba?

Neil przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nie miał pojęcia, jak opisać to, co się zdarzyło.

— Nie, nie — odparł wreszcie szorstko. — To nic takiego. Nie ma się czym martwić.

Odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni, by zająć się kawą.

Toby wyglądał już trochę lepiej, lecz nadal wszyscy troje byli pod wpływem szoku. Neil podszedł do drzwi prowadzących na schody, zamknął je i przekręcił klucz w zamku.

— Myślisz, że to jeszcze... — spytała nerwowo Susan. Pokręcił głową.

— Nie. Moim zdaniem cokolwiek to było, już odeszło, czy może zniknęło. Ale nie mam zamiaru ryzykować. Pokażę tę szafę doktorowi, a zaraz rano wyniosę ją na podwórze i spalę na popiół. Toby spojrzął na niego rozszerzonymi oczami.

— Nie możesz tego zrobić, tatusiu — powiedział cicho. — Nie wolno jej palić.

Neil przysunął sobie krzesło i usiadł obok syna.

— Nie wolno? A to dlaczego, tygrysie?

Toby oblizwał wargi i zaczął oddychać szybciej, jak gdyby brakowało mu powietrza.

— On mówi... mówi, że...

— Kto? — zdziwiła się Susan. — Kto mówi?

Toby zamrugał oczami, a potem źrenice uciekły mu do góry, tak że widać było tylko białka. Małe palce zaczęły się zaciskać i drapać blat stołu. Susan wyciągnęła rękę, by go objąć, uspokoić, ale wtedy przemówił chrapliwym głosem, mocno akcentując słowa:

— On mówi, że nie wolno ci niszczyć bramy. Mówi, że zginiesz, jeśli będziesz próbował.

— Toby — Neil pochylił się nad nim. — Toby!

Toby otworzył oczy i przez krótką chwilę Neilowi zdawało się, że znowu widzi na jego zmartwiałej twarzy ten surowy, groźny wyraz. Jakiś cierpki odór pojawił się w oddechu chłopca i kiedy mówił, zdawało się, że z jego ust wieje lodowaty, cuchnący wiatr.

— Nie wolno ci przeszkadzać. Nie wolno ci się wtrącać. Jesteś tylko pyłkiem niesionym przez huragan czasu. Nie dbam o ciebie, lecz jeśli spróbujesz mi przeszkodzić, zostaniesz zniszczony tak, jak niszczyliście moich braci.

Susan zaczęła krzyczeć, lecz Neil jej nie słyszał. Chwycił syna za ramiona i wrzasnął:

— Kim jesteś? Chcę wiedzieć! Kim jesteś?

Toby uśmiechnął się nienaturalnie niesamowitym, jadowitym uśmiechem.

— Spełni się ukryte pod ziemią proroctwo, wyrte na wielkiej, kamiennej sekwoi — obwieścił tym samym zgrzyt-iowym głosem. — Zbliży się dzień ciemnych gwiazd.

— Proroctwo? Ciemne gwiazdy? O czym ty mówisz?

Ale Toby zwymiotował coca-colą i na wpół strawionymi ciasteczkami, po czym osunął się na podłogę niby szmaciana lalka.

Doktor Crowder wyszedł z Neilem na werandę i zapalił fajkę. Była prawie dziesiąta, od morza wiał zimny wiatr. Neil był już spokojniejszy — zaczynała działać dawka walium. Usiadł na poręczy i spojrzał na lekarza poważnym, zatroskającym wzrokiem.

Stary medyk przez chwilę zajmował się wyłącznie fajką, słuchał nocnych ptaków oraz chrzęstu suchej trawy. Był niewysokim mężczyzną z siwymi bokobrodami,

opaloną na brąz łysiną i dużym nosem. Pracował w Sonomie niemal przez całe życie z wyjątkiem krótkiego okresu podczas wojny, gdy jako starszy oficer służby medycznej przebywał na Guadalcanal. Odbierał poród Toby'ego, lecz nie znał Fennerów zbyt dobrze. Byli młodzi, ciężko pracowali i na ogół nie szukali towarzystwa.

— Mam wrażenie, że mi pan nie wierzy — odezwał się wreszcie Neil. — Myśli pan, że miałem przywidzenia.

Doktor Crowder przyglądał się uważnie cybuchowi swej fajki.

— Tego bym nie powiedział. Niezupełnie przywidzenia.

— Ale nie wierzy pan, że widziałem to naprawdę? Nie wierzy pan, że człowiek z drewna wynurzył się z drzwi szafy?

Doktor spojrzał na niego uważnie.

— A pan by uwierzył? Gdybym ja to opowiedział? Neil podrapał się po karku.

— Chyba nie. Problem w tym, że to wszystko prawda. Widziałem to tak wyraźnie, jak widzę teraz pana.

— Tak właśnie mówi większość ludzi, kiedy zobaczy nie zidentyfikowany obiekt latający... albo ducha. W Oakmont żyła kiedyś kobieta, która przysięgała, że widziała widmowych jeźdźców, przeciągających przez jej podwórze. I to nie raz, ale co kilka dni.

— Doktorze, musi pan przyznać, że nie wszystko tu jest normalne. Na przykład to, że wszystkie dzieci w klasie miały ten sam koszmar. To musi coś oznaczać.

— No cóż — powiedział doktor Crowder. — Uważam, że pani Novato trafiła w sedno, mówiąc o łagodnej, zbiorowej hysterii. Dzieci są bardzo podatne na wszelkie sugestie i to, że cała szkoła miewa podobne sny, nie jest niczym nadzwyczajnym. Niech pan pamięta, że mogli robić kawał. Mogli się umówić i wymyślić to wszystko, żeby pana przestraszyć.

Neil spojrzał na doktora z rozczarowaniem.

— Nie mówi pan tego poważnie, prawda?

— Nie, nie mówię — przyznał doktor Crowder. — Ale powinien pan przeanalizować wszelkie możliwości, zanim zacznie biegać i krzyczeć na wszystkie strony, że widział ducha. W moich książkach, Neilu Fenner, duchy nie istnieją. Są

jedynie wytworem ludzkiej wyobraźni i potrafią opanować mężczyznę czy chłopca tylko wtedy, gdy ten mężczyzna lub chłopiec zanadto tej wyobraźni folguje.

— Czy chce mnie pan przekonać, że też wpadam w histerię?

Lekarz podniósł rękę uspokajającym gestem i zdecydowanie pokręcił głową.

— Wcale nie mam zamiaru pana o tym przekonywać. Ani tak nie uważam. Chcę tylko powiedzieć, że skoro Toby cierpi na to łagodne szaleństwo, pan powinien zachować jak najwięcej spokoju i rozsądku. W przeciwnym razie jego stan może się pogorszyć.

Neil wstał i ostrożnie przeszedł kilka kroków po drewnianej podłodze.

— Doktorze — oświadczył. — Jestem spokojny i rozsądny tak samo jak pan. Ale przysięgam, że widziałem, jak człowiek z drzewa wynurzył się z szafy. Co więcej, Susan także go słyszała. Nie możemy się mylić oboje.

— Mogliście słyszeć cokolwiek. Może stuknęło okno.

— To był drewniany demon, do diabła! Właśnie tak, i nikt mnie nie przekona, że było inaczej. Nie wiem, po co tu przyszedł ani czym jest, ani co się w ogóle dzieje, ale widziałem go, słyszałem i bałem się bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Doktor wyjął z ust fajkę i przez długą chwilę wpatrywał się w nocne niebo. Było zachmurzone, ledwie kilka gwiazd świeciło nad doliną Bodega. Z dala dobiegał szum fal Pacyfiku, cichy i regularny jak oddech.

— Nie wiem, co jeszcze mógłbym panu powiedzieć, Neil. Musiałby mnie pan przekonać, że są to fakty nie podlegające dyskusji. Na razie traktuję tę historię jako przypadek medyczny, czy też raczej psychologiczny. Rozumie mnie pan, prawda?

— Chyba tak.

— Cieszę się. Jedno mogę obiecać: nie uwierzę w pańską utratę rozumu czy coś równie nieprzyjemnego. Uważam, że, być może, jest to wynik przemęczenia lub zbyt dużego napięcia. Chcąc być w porządku wobec siebie, proszę przyjrzeć się swojej sytuacji w pracy, nawet w małżeństwie, pod tym właśnie kątem. Niewykluczone, że jest to rodzaj opóźnionego szoku po śmierci brata, rodzaj psychicznej fali odbitej.

A może zwyczajne przemęczenie. Muszę przyznać, że szczerze wierzy pan, że te przeżycia były realne. Jestem nawet skłonny zachować otwarty umysł, choć bez

przesady, na wypadek gdyby potrafił mi pan udowodnić, że drewniani ludzie naprawdę wychodzą z solidnych drzwi szaf.

— Dobrze, doktorze. Przepraszam, jeśli byłem podrażniony.

Crowder położył mu dłoń na ramieniu.

— Musi pan patrzeć przed siebie, Neil, myśleć o przyszłości i o tym, jak uczynić życie lepszym. Mogę zaręczyć, że wtedy nie będą pana męczyć upiory przeszłości. Susan wyszła na werandę.

— Toby zasnął — oznajmiła. — Położyłam go w naszym łóżku. Panie doktorze, czy to coś poważnego?

— Zupełnie nie ma się czym martwić — uspokoił ją Crowder. — To bardzo wrażliwy chłopiec, zwyczajnie przestał panować nad własną wyobraźnią. To się często zdarza w tym wieku i na tym etapie rozwoju. Dzieci widują potwory, piratów, diabły i tego typu stwory. Ale to mija. Niedługo pewnie zacznie śnić o dziewczętach.

Susan roześmiała się, pierwszy raz od długiego czasu. Neil objął ją i pocałował, po czym wyciągnął rękę do lekarza.

— Dzwońcie do mnie, kiedy tylko będę potrzebny — powiedział Crowder ściskając mu dłoń. — Nie musicie się kępować. Chyba już czas, żebyśmy się lepiej poznali.

Patrzyli, jak idzie przez mroczne podwórze do matowo-czarnego forda impala. Pomachał im jeszcze i odjechał w noc, pozostawiając ich swoim lękom, prawdziwym czy wymagowanym. Neil potarł nos grzbietem dłoni.

— A teraz chętnie się czegoś napiję — oświadczył. Susan objęła go w pasie.

— Kupiłam butelkę rieslinga. Mieliśmy go wypić do kolacji.

Zanurzył twarz w jej pachnących świeżością włosach. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest mu potrzebna, jak bardzo ją kocha. Jeżeli istotnie był zestresowany, na pewno nie miało to nic wspólnego z Susan. Raz jeszcze spojrzął w ciemność, a potem razem weszli do domu.

Rankiem, odwiózłszy Toby'ego do szkoły, Neil wrócił do domu i wszedł na górę. Ostrożnie otworzył drzwi sypialni syna. Właściwie był pewien, że nikogo tam nie ma.

W końcu wczoraj wieczorem przyprowadził tu doktora, żeby pokazać mu szafę. Pokój był wtedy pusty i wyglądał zupełnie zwyczajnie. Mimo to zaglądał do wnętrza z poczuciem lęku, a kiedy przekraczał próg, serce biło mu szybko i nieregularnie.

Pokój był pusty i cichy. Szafa stała tam, gdzie zawsze — zupełnie zwyczajna szafa, kupiona za cztery dolary na wyprzedaży używanych mebli, razem z łóżkiem i biurkiem.

Przyglądał się jej przez chwilę, zanim podszedł bliżej. Wiedział, że niepotrzebnie się boi, ale nie mógł się opanować. Przekręcił mały mosiężny kluczyk i szarpnięciem otworzył drzwi. Wewnątrz były tylko równo poskładane koszulki Toby'go, jego szorty oraz kostium baseballowy. Żadnych demonów o wilczych twarzach. Żadnych mężczyzn w długich, białych płaszczach.

Nagle wydało mu się, że to bez sensu wyciągać szafę na dwór i rozbijać na kawałki. Była całkiem solidnym meblem. Gdzie znajdzie inną za taką cenę? Nowe meble na ogół nie są tanie. Wtedy jednak przypomniał sobie widmową twarz, straszliwe kroki drewnianego człowieka i chrapliwy głos Toby'ego: „On mówi, że nie wolno ci niszczyć bramy. Mówi, że zginiesz, jeśli będziesz próbował”.

Wyjął ubrania syna i ułożył je na łóżku. Potem, zamknąwszy drzwi na kluczyk zaczął przesuwac i popychać szafę po podłodze. Była solidna, ciężka, chciał jednak dotrzeć tylko do okna, tak by można było wyrzucić ją na podwórze.

Osiągnął cel spocony i zdyszany. Zostawił szafę leżącą na bocznej ścianie, a sam zaczął otwierać okiennice. Na dworze było ciepło i wilgotno; typowa pogoda wybrzeża północnego Pacyfiku. Przez otwarte szeroko okno kuchenne słyszał jakiś przebój z radia Susan.

Właśnie miał znowu chwycić szafę, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Na trawie, tuż za otaczającym podwórze lotem, stał mężczyzna w długim, białym płaszczu. Zimny dreszcz przebiegł Neilowi po karku. Zamknął oczy, otworzył i spojrzał jeszcze raz. Mężczyzna dalej tam był. Jego twarz tonęła w cieniu kapelusza z szerokim rondem, lecz Neil widział wyraźnie jasną brodę. Widział też pas z rewolwerami zapięty na płaszczu.

— Allen, na miłość boską... — szepnął głos. — Allen, pomóż...

Widmo kiwało na niego. Szerokimi gestami ręki wzywało go do siebie.

Neil poczuł oszołomienie jak po zastrzyku nowokainy. Przez długą chwilę stał przy oknie niczym sparaliżowany, potem odwrócił się i pędem zbiegł po schodach. Niewiele brakowało, by skręcił nogę na najniższym stopniu.

— Neil! — zawołała Susan, ale był już na zewnątrz. Gnał w stronę ogrodzenia. Słyszał własny ciężki oddech i uderzenia swych stóp o twardą ziemię. Szare chmury pokryły niebo, a ciepły wiatr dmuchał mu w oczy.

Był prawie pewien, że mężczyzna w białym płaszczu zniknie, zanim zdąży do niego dobiec. Stał jednak w tym samym miejscu, całkiem blisko — niezwykle, białe widmo wśród zwykłego, ciepłego dnia. Neil podbiegł do płotu, przeszedł górą na drugą stronę i truchtem ruszył do miejsca, gdzie czekał przybysz.

Nawet z tej odległości trudno było rozpoznać jego rysy. Okrywał je tak głęboki cień, że Neil rozróżniał tylko niewyraźne ciemne oczy.

Stali o trzy metry od siebie, a wokół szumiały trawy. Skakały świerszcze, wiatr wiał w stronę oceanu. Wiatr z dolin Sonoma, Napa i Lake, z szerokich równin, za którymi leżało Sacramento.

— Kim jesteś? — spytał Neil. — Czego chcesz? Zjawiasz się tu ciągle.

Gdy mężczyzna odpowiedział, jego głos zdawał się dziwnie bliski, jak gdyby szeptał Neilowi do ucha. Jego wargi prawie się nie poruszyły... o ile w ogóle się poruszyły.

— Allen? — powiedział. Neil pokręcił głową.

— Nie jestem Allenem. Kto to jest?

— Allen pojechał po pomoc — tchnęła zjawa. — Na miłość boską, Allen.

— Kim jest Allen? — chciał wiedzieć Neil. — Powiedz mi, kto to jest, to może będę mógł ci pomóc.

Od strony domu usłyszał wołanie Susan:

— Neil! Neil!

Człowiek w białym prochowcu pochylił lekko głowę.

— Allen pojechał po pomoc — powtórzył. — Allen pojechał do wąwozu po pomoc.

— Ale kto to jest? — zapytał Neil. — Kto to jest Allen?

— Są wszędzie dookoła. Są wszędzie, i nie będą brać jeńców. Na miłość boską, Allen, pomóż nam.

Susan biegła w ich stronę. Obejrzawszy się, Neil dostrzegł jej jaskrawy fartuch w przymglonym świetle słońca. Kiedy odwrócił się znowu, mężczyzna w białym płaszczu zniknął dziwny sposób — zdawał się oddalać, a jednocześnie Rozpływać w powietrzu. Po kilku sekundach nie pozostało po nim śladu.

Zdyszana Susan zatrzymała się przed ogrodzeniem. Neil podszedł do niej zamyślony i ponad drewnianym płotem ujął ją za rękę.

— Co tu robisz? — spytała. — Co się dzieje?

— Nie widziałaś go? — Neil spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Kogo?

Wskazał palcem na miejsce, gdzie przed chwilą stał przybysz.

— Nie widziałaś mężczyzny w białym płaszczu? Był tam rozmawiałem z nim.

— Rozmawiałeś? I co się z nim stało?

— Odszedł... no, zniknął.

— Neil — Susan zmarszczyła brwi. — Czy jesteś pewien, że nie...

— Nie co? Nie zwariowałeś? Nie powinieneś się leczyć?

— Neil, nie myśl, że ja...

— On tu był, Susan! — krzyknął Neil. — Stał dokładnie tam, obok tej kępy trawy! Rozmawiałem z nim!

Odwróciła się. Patrzył, jak powoli, ze spuszczoną głową, wraca do domu. Weszła na werandę, minęła kuchenne drzwi i zamknęła je za sobą. Ze złością walnęła pięścią w sztachety.

Wszystkie te cholerne, idiotyczne, bezsensowne historie! Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował teraz pomocy, zrozumienia, a wszyscy wokół, nie wyłączając własnej żony, uważali go za wariata. Spojrzał jeszcze raz na kępę trawy, gdzie stał tamten człowiek. Czuł się opuszczony, załęknioty i bezradny. Niemal tak bezradny jak wtedy, kiedy obsunął się podnośnik i Jim wyciągał do niego rękę prosząc o ratunek, którego nie potrafił mu dać.

Przeszedł przez płot i ruszył do domu. W kuchni Susan skrobała marchewki, a łyżki spływały jej po policzkach do miski z sałatką.

Neil objął ją ramieniem.

— Susan...

Przez moment starała się udawać silną i spokojną, lecz zaraz wybuchnęła płaczem, przytulając się do niego. Stali tak długo. Czuł na twarzy dotyk jej gorącego mokrego policzka. Niewiele brakowało, by sam się rozpłakał.

W końcu odsunęła się, zaczerwieniona i nieszczęśliwa, z rzęsami posklejnymi od łez.

— Nie wiem, co robić — powiedziała. — Jestem przerażona.

Wzruszył ramionami.

— Wiem. I też nie wiem, co robić. Ale staram się jak mogę.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

— Nie obrazisz się, kiedy zapytam, prawda? Wiem, że to brzmi potwornie, ale muszę wiedzieć.

— Dalej, pytaj.

— Powiedz — zaczęła niepewnie. — Ty nie... nie tracisz rozumu? Czy w twojej rodzinie byli obłąkani?

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Nic o tym nie wiem. Mój dziadek lubił puszczać latawce na cyplu i w ten sposób zyskał sobie sławę ekscentryka, ale co do prawdziwego szaleństwa...

— Nawet dalsi przodkowie? Nie zniosłabym, gdyby Toby...

Przytulił ją mocniej.

— Posłuchaj. Nie wpadam w szaleństwo. Ani ja, ani Toby, ani nikt inny. Po prostu zdarzyła się jedna z tych niesamowitych sytuacji, których nikt naprawdę nie rozumie. Doktor Crowder powiedział, że to jak latające talerze albo duchy. Musimy tylko zrozumieć, co się dzieje, a wtedy wszystko się dobrze skończy.

Susan otarła oczy skrawkiem fartucha.

— Przepraszam. To chyba nerwy. Siedziałam tu i myślałam, że może kiedyś, dawno miałeś kuzyna szaleńca, a teraz płacisz za to razem z Tobym. Strasznie mi

przykro, Neil, naprawdę.

Pocałował ją.

— Dobrze, że zapytałaś wprost. Gdybym był na twoim miejscu, też bym się tego bał. Z radością mogę cię jednak zapewnić, że w całej barwnej historii mojej rodziny nie było nikogo...

Umilkł. Susan przestała wycierać oczy i spojrzała na niego pytająco. Odpowiedział jej szybkim, niepewnym spojrzeniem.

— Co powiedziałaś? — spytała. Potrząsnął głową.

— Nieważne. Śmieszna sprawa. Chyba za bardzo się przejmuję.

— Nie wolno ci, skarbie — powiedziała łagodnie. — Jakoś sobie z tym wszystkim poradzimy.

— Jasne — zgodził się, ale wcale nie był przekonany. — Pójdę teraz na górę i skończę z tą szafą.

— Naprawdę musisz? — spytała. — Trochę szkoda ją niszczyć właściwie bez powodu.

— A czy ty położyłabyś się w tym pokoju? Pozwoliłabyś Toby'emu spać obok niej?

— Chyba nie. Ale może doktor Crowder miał rację. To mogło stukać okno.

— Więc myślisz, że ja też mam przywidzenia?

— Nie, kochanie. Wierzę w to, co mówisz. Sama słyszałam te odgłosy. Tylko że wiesz, człowiek z drewna? Może to było jakieś dziwne odbicie, złudzenie optyczne.

Neil przeszedł na drugi koniec kuchni. Przez minutę czy dwie patrzył w okno. Widział falującą za płotem trawę i tę kępę, przy której stał człowiek w białym płaszczu. Może rzeczywiście był tylko złudzeniem. Dave Conway nad zatoką go nie widział, tak jak Susan tutaj. Może istniał tylko w umyśle Neila? Toby'ego także, oczywiście.

— Muszę wyjechać na parę godzin — oznajmił. — Chcę sobie to wszystko przemyśleć.

Susan podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Kocham cię.

— Wiem — zapewnił ją czule.

— A co z szafą? — spytała.

— Porąbię ją, jak wrócę. Rozpalimy ognisko na podwórzu. Może upieczemy parę ziemniaków. Czas już się trochę zabawić.

— Nie jedziesz na długo, prawda? Spojrzał na zegarek.

— Jest wpół do dwunastej. Zdam jeszcze odebrać To-by'ego ze szkoły.

Pocałował ją w czoło, zdjął kluczyki z haczyka koło drzwi i bez dalszych słów wyszedł z domu. Susan odprowadzała go spojrzeniem. Kiedy opadł kurz spod kół furgonetki, przeszła do telefonu i wykręciła numer matki. Miała wrażenie, że wyczuwa pierwsze drgania zwiastujące bliskie trzęsienie ziemi, że już niedługo potrzebna jej będzie każda pomoc, jaką zdoła znaleźć.

Telefon dzwonił i dzwonił, lecz matka nie podnosiła słuchawki. Susan miała nadzieję, że nie jest to zły omen.

Neil przejechał przez Santa Rosa, a potem kręta, wiejska droga doprowadziła go przez Sebastopol do trasy 101, zaraz przy stacji benzynowej Shella. Dalej od oceanu było słonecznie i ciepło. Jechał uruchomiwszy to, co zwykle nazywał klimatyzacją typu dwa-siedemdziesiąt (dwa otwarte okna przy siedemdziesięciu kilometrach na godzinę). Był spocony, koszula lepiła się do winylowego oparcia, nie zwracał jednak na to uwagi. Na 101 skręcił w lewo i ruszył na pomoc.

W radiu Warren Zenon śpiewał „Wilkołaki Londynu”. Nie słuchał go. Wypatrywał zjazdu na drogę do Skamieniałego Lasu, prowadzącą dalej przez porośnięte sekwojami góry Sonomy do Calistogi.

Niewiele brakowało, by ją przegapił. Zahamował ostro i włączył kierunkowskaz. Jadąca za nim ciężarówka z balami drewna ryknęła swym pięciotonalnym klaksonem. Na szczęście dla siebie Neil nie usłyszał przekleństwa, jakie rzucił za ;aim jej kierowca.

Kręta, wspinająca się w górę droga była spokojna i pusta, furgonetka z trudem pokonywała podjazdy, lecz Neil był Już zdecydowany, wiedział, co chce zrobić, i przestał się rozpaczliwie spieszyć. Przez zagajniki sosen oraz topoli, mijając madrony i manzanity o czerwonych pniach, wspinał się Coraz wyżej w świeże, pachnące,

górskie powietrze. I Skamieniały Las znajdował się tuż za grzbietem pasma gór, gdzie zbocza opadały aż do miasta Calistoga. Neil Zawsze obiecywał Toby'emu, że zabierze go tutaj i pokaże gigantyczne, skamieniałe sekwoje, jakoś jednak nigdy się nie Złożyło. Przejechał obok drewnianej bramy pozostawiając za sobą nikłą smużkę błękitnych spalin.

Zaparkował w cieniu starego hotelu na głównej ulicy Calistogi, niewielkiego, sennego miasteczka u wylotu Napa Valley. Temperatura sięgała chyba trzydziestu stopni. Rękawem otarł pot z czoła. Za główną ulicą widział tylko ciemnozielone, porośnięte lasem stoki gór. Powietrze było ciężkie i od zapachu drzew, a niebo intensywnie błękitne. Szedł ulicą, aż znalazł aptekę. Wewnątrz działała klimatyzacja i pachniało miętą. Podszedł do lady i czekał, podczas gdy niski aptekarz w okularach wypisywał etykietę na dużym słoju pigułek żołądkowych.

— Słucham pana — odezwał się w końcu. Za grubymi i szklanymi okularów jego oczy zdawały się niesamowicie duże.

— Szukam pewnego człowieka, staruszka. Nazywa się Billy Ritchie — wyjaśnił Neil. — Pomyślałem, że jeśli jest stary, to pewnie przychodzi tu po lekarstwa.

Aptekarz dokończył pisanie.

— Jasne, znam Billy'ego Ritchie. Nie wiem, kto mógłby go nie znać. Ciekawa postać. Skąd pan jest?

— Z Bodega Bay. Spotkałem jego znajomego, starego marynarza. Powiedział, że gdybym kiedyś tędy przejeżdżał, powinienem się zobaczyć z Billym.

— Jasne — pokiwał głową aptekarz. — Przejdzie pan prosto ulicą, skęci w pierwszą przecznicę w prawo, na Waszyngtona, a potem w piątą, też w prawo. To Lake Street. Tam mieszka Billy, w zielonym domku po lewej stronie. Nie można przegapić, skrzynka na listy jest podpisana jego nazwiskiem.

— Dziękuję.

Neil wyszedł na aleję Lincolna, wprost w południowy upał. Spocony i zdyszany dotarł do Lake Street. Zobaczył domek Billy'ego, mały barak koloru kosiarek do trawy. Stał w cieniu klonów oraz jodeł, wydawał się opuszczony. Neil podszedł do drzwi i zastukał.

Długo trwało, zanim usłyszał wewnątrz jakieś klekotanie. Nareszcie ktoś odsunął łańcuch. Drzwi się otworzyły. W mrocznym korytarzu Neil zobaczył pomarszczonego staruszka na wózku inwalidzkim.

— Pan Billy Ritchie? — zapytał dość głośno, na wypadek gdyby tamten źle słyszał.

— To ja. Czego pan chce?

— Trochę trudno to wytłumaczyć w jednym zdaniu. Rozmawiałem z Doughtym na przystani w Bodega Bay i on mi poradził, żebym się z panem zobaczył. Mówił, że zna pan wiele historii z dawnych czasów.

Staruszek kiwnął głową. Był łysy, gładko ogolony i bezzębny. Włosami mógł się chwalić jedynie czarny, puszysty kot, którego trzymał na kolanach i głaskał bez przerwy.

— Pewnie, znam masę opowieści. Jakie chciałby pan usłyszeć?

— Jeśli można, chciałbym dowiedzieć się czegoś o Fennerach z czasów Indian Wappo.

Billy Ritchie kaszlnął.

— To były ciężkie czasy. Dlaczego pana interesują?

— Z kilku powodów. Jednym z nich jest ten, że nazywam się Neil Fenner.

Staruszek roześmiał się i znowu zakaszłał.

— Powód dobry jak każdy inny. Coś panu powiem. Ubijemy interes. Pójdzie pan do sklepu, kupi sześć puszek coora butelkę old crow. To wszystko, czego chcę w zamian. Nie umiem opowiadać na sucho.

— Umowa stoi.

Dziesięć minut później Neil był już z powrotem. Krople 3tu ściekały mu z włosów, koszula lepiała się do ciała. Staruszek nie zamykał drzwi. Usłyszawszy Neila, zawołał:

— Wchodź śmiało, przyjacielu. Ale zamknij za sobą |drzwi. Nigdy nie wiadomo, kto mógłby się zakraść po moje carby.

Mały domek był mroczny i chłodny, a przy tym nieoczekiwanie czysty i zadbane. Dla beznogiego Billy'ego Ritchie stanowił chyba cały świat. Starzec wytapetował

ściany od podłogi po sufit kolorowymi zdjęciami z magazynów i kalendarzy. Każdy pokój pokrywały krajobrazy z turystycznych broszur, zbliżenia kwiatów i motyli, religijne obrazki, zimowe krajobrazy, postacie z kreskówek oraz klasyczne dzieła sztuki — wszystko przetykane gęsto rozkładówkami z „Penthouse’a” i „Hustlera”.

— Większość ludzi wydziwia nad każdym cholernym obrazkiem z wyjątkiem fotografii dziewcząt — powiedział Billy Ritchie. — Ale ja mówię, że jeśli starszy gość nie potrafi ‘podziwiać pięknego ciała nawet wtedy, kiedy może startować już tylko w pluciu na odległość, to żyjemy w smutnym świecie.

Starzec siedział w mrocznym kącie pokoju. Światło z półotwartych żaluzji otaczało jego głowę jak aureola. Przez szczeliny Neil widział zapuszczony, porośnięty trawą ogród.

— Tam stoją szklanki — poinformował Billy Ritchie. — Nalej mi piwa i porcję whisky, a sobie na co masz ochotę.

Neil podszedł do niskiego kredensu z ozdobnymi, szklanymi drzwiczkami. Wyjął trzy szklanki, otworzył dwie puszki piwa, a dla gospodarza nalał na trzy palce bourbona. Potem usiadł na niezbyt wygodnym, żółtym wyplatany krześle i podniósł naczynie.

— Pańskie zdrowie, panie Ritchie. Staruszek także uniósł szklankę.

— Twoje też. Ale mów do mnie Billy i nie przejmuj się za bardzo moim zdrowiem. Straciłem władzę w nogach dwadzieścia lat temu, kiedy spadłem z jednego złośliwego konia, i od tego czasu jakoś się trzymam. Widziałem jednak sporo i rozmawiałem z całą masą takich, co widzieli jeszcze więcej. Niewiele jest rzeczy, o których bym nie słyszał.

— A co wiesz o Krwawym Fennerze? Tak go nazywali, prawda?

— Właśnie tak — potwierdził Billy. — Krwawy z imienia i krwawy jak diabli z natury. Ale takiego człowieka trzeba sądzić wedle czasów, w których żył, a tamte czasy w Napa Valley nie były łatwe. To dobra ziemia, więc Indianie niezbyt się palili, żeby ją oddać. Przeżywał tylko ten, kto był twardy i gotów chwytać każdą okazję. W tym Krwawy Fenner był niezrównany — w chwytaniu każdej okazji.

Neil łyknął piwa i otarł usta grzbietem dłoni.

— Słyszałem, że był zdrajcą. Billy skrzywił się.

— Na pewno nie wobec siebie. Nieźle sobie radził w latach trzydziestych, zeszłego stulecia naturalnie. Zarobił solidną forszę i miał kawał niezłej ziemi nad szlakiem Silverado. Problem w tym, że Fennerowie stracili prawie wszystko pod koniec lat czterdziestych, kiedy Kalifornijczycy ogłosili niezależność od Meksyku. Fennerowi dobrze się układało z Meksykanami, bo był sprytny, chytry i chętny do każdej roboty, byle mu dobrze zapłacić. Ale po oderwaniu Kalifornii życie stało się zbyt ciężkie dla rodziny Fennerów. Sprzedali wszystko i przenieśli się na wybrzeże. Chyba kupili wtedy tę samą ziemię, na której teraz żyjesz.

— W każdym razie na jej części — potwierdził Neil. — W czasach Wielkiego Kryzysu dziadek sprzedał prawie sto akrów.

Billy Ritchie łyknął old crow i zakaszłał.

— Wielu sprzedawało, zwłaszcza w okolicach Napa. Najpierw prohibicja zlikwidowała winnice, a potem przyszedł Kryzys. Ciężkie to były czasy.

— A co z Krwawym Fennerem? — spytał Neil.

— Krwawym Fennerem? — powtórzył Billy. —Krwawy Fenner był najlepszym zabijaką i strzelcem po tej stronie rzeki Sacramento. Znał po imieniu wszystkich Indian, Wapposów i Patwinów, a ludzie mówili, że Wapposi przyjęli go nawet do szczepu. Podobno był wysoki imiał twarz dziką jak niedźwiedź. Słyszałem, że potrafił zestrzelić muchę z końskiego tyłka z zawiązanymi oczami i stojąc na głowie.

— Jego spadkobiercy nie odziedziczyli tej umiejętności — uśmiechnął się Neil.

— I bardzo dobrze, jeśli chcesz znać moje zdanie — oświadczył Billy Ritchie. — Krwawego Fennera nie kochał nikt oprócz jego żony, a ona była podobno jeszcze ostrzejsza od niego.

Neil milczał, patrząc na starca w inwalidzkim wózku, bez końca głaszczącego futro czarnego kota.

— Słyszałeś jakąś historię o bitwie? — spytał w końcu. — Bitwie, w której mógł walczyć Krwawy Fenner?

— Pewnie. O wielu. Bił się dla Jose Sancheza i podobno pomagał ojcu Altamira zapędzić Patwinów do pracy przy misji w Sonomie. To było gdzieś przed tysiąc

osiemset trzydziestym rokiem i mówię ci, czasy były wtedy twarde.

— Mam na myśli pewną konkretną bitwę — wyjaśnił Neil. — Taką, w której białym poszło fatalnie, a Indianom znakomicie.

— Było takich kilka — Billy Ritchie podrapał się w głowę. — Słyszałem o masakrze dziesięciu białych farmerów i ich rodzin przez Wapposów, pod Santa Helena. I o zasadzce na trzech traperów w York Creek. Najgorzej jednak było wtedy, kiedy, jak mówią, Krwawy Fenner wziął od Wapposów kawał ziemi za wciągnięcie dwudziestu osadników z rodzinami w pułapkę w lesie pod Las Posadas, niedaleko Conn Creek. Osadnicy, rozumiesz, ufali Fennerowi, zapłacili mu złotem za to, żeby został ich zwiadowcą i tłumaczem. Chcieli zająć tereny w Bell Canyon. Ale Fenner wpakował ich prosto w zasadzkę i wszyscy zginęli. Dwudziestu farmerów, ich dwadzieścia żon i pięćdziesięcioro troje małych dzieci. Neil obliznął wargi.

— Czy ktoś udowodnił, że to Fenner? Czy to tylko plotki?

— A jakie dowody można było wtedy znaleźć? — spytał Billy. — Ziemia była twarda, a ludzie jeszcze twardsi. Żyłeś, jeśli byłeś sprytny, szybki i strzelałeś nie zastanawiając się za długo. Podobno jednak Fenner przeżył tę masakrę jako jedyny biały, a to samo w sobie jest podejrzane. Tłumaczył, że zostawił osadników i pojechał wzdłuż Conn Creek po pomoc. Miał przyjaciół w armii meksykańskiej. Nie słyszałem o niczym, co by przeczyło tej wersji. Jeśli jednak rzeczywiście sprowadził pomoc, to za późno, żeby kogokolwiek ocalić. Co najdziwniejsze, wszystkie trupy osadników były oskalpowane i miały obcięte uszy.

— Co w tym dziwnego? — zdumiał się Neil. — Wap-posowie byli wtedy dzicy, nieprawda?

— Pewnie, że byli. Ale nie zbierali skalpów, uszu ani genitaliów, jak niektóre inne plemiona. To nie w ich stylu. Byli rolnikami, nie wojownikami. Obchodziła ich tylko dobra ziemia uprawna, bronili jej przed białymi. Nie interesowały ich trofea.

— Chcesz powiedzieć, że Fenner zabrał skalpy? Biały człowiek zabrał białe skalpy?

— Nie powinieneś być taki wstrząśnięty. W tych dniach nie było w tym nic niezwykłego. Niektórzy mówią nawet, że to biali nauczyli Indian zbierać skalpy.

— To potworne — stwierdził Neil.

Staruszek wzruszył ramionami, łyknął bourbona i popił piwem.

— Widziałeś może kiedyś jakieś zdjęcie Krwawego Fennera? Może jakiś obraz?

Billy pokręcił głową.

— Jedyne obrazy z Napa Valley, jakie się wtedy widywali, to pejzaże. Głównie lasy. Nie sądzę, żeby komuś wpadło do głowy rysowanie Krwawego Fennera.

Jeszcze jedno — przypomniał sobie Neil. — Może słyszałeś o jakiejś związanej z nim przepowiedni? Czymś, co podobno jest zapisane na skamieniałej sekwoi? Staruszek zastanawiał się przez chwilę, po czym znowu pokręcił głową.

— Nie. Nie pamiętam, żebym słyszał o czymś takim.

— A może o dniu ciemnych gwiazd?

Billy Ritchie podniósł wolno głowę i przyjrzał mu się uważnie. Po raz pierwszy przestał głaskać kota. Jego dłoń znieruchomiała na czarnym futerku niby martwy, suchy liść. Czy dobrze zrozumiałem?— spytał cicho, z napięciem. Dzień ciemnych gwiazd — powtórzył Neil. — Tak wiedziałem.

Starzec zadrżał, jakby nagle dmuchnął zimny wiatr. Powietrze jednak było nieruchome i duszne. Na zewnątrz było ze czterdzieści stopni.

— Gdzie słyszałeś o dniu ciemnych gwiazd? — zapytał.

— Jak mi życie miłe, nie wierzyłem, że znowu usłyszę tę nazwę.

— Sam nie wiem. — Neil wolał nie opowiadać mu o Toby'm, dopóki nie dowie się, co oznacza „dzień ciemnych gwiazd” i dlaczego starzec tak się zaniepokoił. — Gdzieś mi wpadło w ucho.

Billy Ritchie spojrział na niego tak, jakby wiedział, że Neil wyznał mu tylko część prawdy. Potem podjechał wózkiem do kredensu, by nalać sobie kolejną porcję bourbona.

— Pierwszy i ostatni raz słyszałem o dniu ciemnych gwiazd od pewnego trapera — rzekł zakręcając butelkę. —

Byłem wtedy młodym chłopakiem i mieszkalem w Modoc Forest. Tamten był stary, chudy jak tyczka, a po walkach z Indianami oraz zwierzętami pozostały mu blizny, pokrywające każdy skrawek skóry. Spędziliśmy razem dwa dni i dwie noce, a

potem każdy poszedł w swoją stronę.

— Ale co ci powiedział? — ponaglił Neil.

Oczy Billy'ego zasnuły się mgłą, zapatrzone w niezbadaną dal.

— Opowiadał mi o dawnych czasach w Modoc Country, żebym mógł potem powtórzyć komuś te historie i uratować je od zapomnienia. Mówił, że kiedy Indianie zrozumieli, że nie potrafią dłużej bronić się przed białymi, jakby pogodzili się z losem. Jakby, bo wiedzieli, że bogowie pozwolą im się zemścić. Wapposowie wierzyli, że za każdego Indianina, który zmarł na cholera czy ospę, za każdego zastrzelonego przez łowców skalpów, zginie jeden biały. Twierdzili, że nie zdarzy się to za miesiąc czy rok, czy nawet za dwadzieścia lat, ale pewnego dnia gwiazdy pociemnieją, gdyż wezwą najpotężniejsze i najgorsze ze wszystkich indiańskich demonów — takie, których nie ważyli się przyzywać nigdy: Nashunę, Pa-la-kai i Ossadagowah. Te demony zabiją mężczyznę za mężczyznę, kobietę za kobietę i dziecko za dziecko.

Pociągnął łyk whisky.

— Jak słyszałem, Nashuna jest demonem ciemności, Pa-la-kai demonem krwi, a Ossadagowah to taka bestia, której nikt nawet nie potrafi opisać — dziki demon, przerażający wszystkich do szaleństwa.

— Mówisz, jakbyś w to wierzył — stwierdził ostrożnie Neil.

Starzec uśmiechnął się krzywo.

— Łatwiej mi wierzyć w te historie, niż w niektóre cytaty z Biblii — oświadczył. — Indianie, widzisz, znali swoją ziemię, swoje niebo i wody. Wiedzieli wszystko o duchach oraz demonach tę ziemię, to niebo i te wody zamieszkujących. Jak wytłumaczył mi ten traper, dzień ciemnych gwiazd ma nadejść przed końcem dwudziestego wieku. Nie był pewien, kiedy dokładnie, ale tak mi powiedział.

— Można się przestraszyć — mruknął Neil. — Ale kto |:ma wezwać te demony? Widziałem kilka ceremonii w rezerwatach, a jeden Indianin przyjeżdża do Bodega Bay na ryby. *Moim zdaniem niewiele magii pozostało u dzisiejszych czerwonoskórych.

— To nie dzisiejszymi czerwonoskórymi trzeba się mart-|Mć — odparł Billy

Ritchie. — Chodzi o duchy tych z przeszłości. Z tego, co mówił ten traper, wynika, że najwięksi indiańskich szamanów, dwudziestu dwóch najpotężniejszych czarnoksiężników ze wszystkich plemion, zbiorą się Bóg jeden wie w jaki sposób, i żeby się zemścić, prowadzą najgorsze demony.

— Chcesz mnie przekonać, że dwudziestu dwóch dawnych szamanów ma się pojawić, żeby nas ukarać? Daj spokój, Billy. To fantazja i sam wiesz o tym najlepiej.

Staruszek nie wydawał się obrażony.

— Ludzie już tak mówili — powiedział. — Ale zanim uznasz, że wszystkie dawne legendy to bzdury, pozwól, że ci coś pokażę.

Podjechał do małego biurka, stojącego w kącie pokoju. Otworzył górną szufladę. Neil przyglądał się w milczeniu, przerzuca stosy papierów i gazetowych wycinków.

— Jest — stwierdził po chwili starzec, wracając na poprzednie miejsce. Podał Neilowi dwie duże, czarno-białe fotografie. — Przyjrzyj się dobrze — powiedział.

Na jednym zdjęciu utrwalono ulicę w Calistodze. Trudno było poznać, kiedy je zrobiono, ponieważ miasto nie zmieniło się zbyt wiele przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Widać było prawdziwe konie, powozy i mężczyzn w kapeluszach z szerokimi rondami, lecz fotografia mogła pochodzić z dowolnego okresu pomiędzy rokiem 1890 a 1920. Na pierwszym planie stała grupa wąsatych mężczyzn, a tuż obok nich, z lewej strony, siedział na skraju drewnianego chodnika Indianin. Przystojny i dobrze zbudowany, miał na sobie zakurzony garnitur, a paciorki i naszyjniki wskazywały, że był szamanem.

Drugie zdjęcie zrobiono gdzieś w lesie. Neil nie zdołał rozpoznać okolicy. Kilku Indian stało przy zwałonym pniu, patrzyło ponuro w aparat, jakby mu nie ufali. Między nimi był ten sam szaman, tym razem w wełnianej szacie, lecz z tymi samymi paciorkami i naszyjnikami.

— No dobrze — stwierdził Neil. — To są dwie fotografie tego samego Indianina. I co z tego?

— Przeczytaj daty na odwrocie — poradził Billy.

Neil odwrócił fotografie. Na jednej było napisane 1/8/15, na drugiej 5 sierpnia 1915.

— Dalej nie rozumiem. Zrobiono je w odstępie czterech dni. Co w tym dziwnego?

— Co w tym dziwnego? — parsknął Billy. — To zdjęcie w lesie zrobił fotograf nazwiskiem Lewis Clifton z Massachusetts, w pobliżu osady Wampanaugów nad rzeką Miskatonic w Nowej Anglii. Jedno z tych zdjęć zrobiono cztery dni po drugim, to prawda. Ale zrobiono je także w odległości prawie pięciu tysięcy kilometrów!

— To niemożliwe — oświadczył Neil. — W tysiąc dziewięćset piętnastym roku przejazd z Nowej Anglii do Napa Valley musiał zajmować przynajmniej tydzień.

— Zgadza się — pokiwał głową Billy. — A jednak autentyczność obu została potwierdzona, a daty są dokładne.

Neil przyjrzał się uważnie spokojnej, jakby rozbawionej twarzy szamana Wampanaugów. Fotografie miały prawie siedemdziesiąt lat, wyglądały jednak jak nowe, jakby zrobiono je kilka tygodni temu.

— Zresztą, nic dziwnego, jeśli się wie, kto to jest — mówił dalej Billy. — To najślynniejszy ze wszystkich szamanów, najpotężniejszy indiański czarownik w historii. To Misquamacus.

— Misquamacus?

— Tak go nazywali. Miał zresztą całą masę innych imion. Ale poświęciłem sporo trudu, by znaleźć te zdjęcia, z innego powodu. Tamten traper w Modoc Forest powiedział, że nadejdzie dzień ciemnych gwiazd, właśnie Misquamacus będzie tym, który zbierze razem dwudziestu dwóch czarowników. Misquamacus, jak mówił, ma obsesję na punkcie zemsty. Jego jedynym celem jest ujrzeć, jak biali ludzie umieją w sposób możliwie najbardziej okrutny.

Znów zaczął głaskać swego kota.

— Moim zdaniem, najbardziej okrutne byłoby wezwać Nasunę, Pa-la-kai i Ossadagowah, a potem wypuścić je na swobodę. Tak, to by było okrutne.

ROZDZIAŁ 4

Rozmawiali aż do popołudnia. Billy Ritchie, w miarę jak old crow rozwiązywała mu język, zaczął paplać o swoim dzieciństwie, o dawnych czasach w Calistodze oraz w krainie gorących źródeł, o dziewczętach, które znał i zdobywał. W małym, dusznym pokoiku Neil czuł, jak ogarnia go klaustrofobia. Słuchał jednak, gdyż chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Krwawym Fennerze i dniu ciemnych gwiazd.

— Jak myślisz? — zapytał. — Czy Krwawy Fenner mógł sobie jakoś zasłużyć na wrogość Wapposów albo innych plemion? Zrobić coś, za co chcieliby się zemścić?

Billy pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie słyszałem, żeby zadarł z Indianami. Zawsze byli najlepszymi przyjaciółmi i pewnie dlatego zdradzał białych.

— Ale nie wiadomo na pewno?

— Niby skąd? Wszystko to zdarzyło się sto czterdzieści lat temu, kiedy w całej Napa Valley nie znalazłbyś więcej niż tuzin takich, co umieli czytać i pisać. Nie ma żadnych zapisów. To były ponure czasy. Bardzo ponure.

Neil wyjął chusteczkę i otarł spocony kark.

— A gdyby Krwawy Fenner rozgniewał Indian, wtedy, w tysiąc osiemset trzydziestym roku? — zapytał. — W jaki sposób szaman mógłby się na nim zemścić?

— Znaczy się dzisiaj? Tu i teraz?

— Właśnie.

Billy nadął policzki.

— Mogę ci tylko powtórzyć, co słyszałem i co mi powiedział tamten traper. Wiele z ich naprawdę magicznych obrzędów było tak tajnych, że połowa Indian nie miała o nich pojęcia. Ale musisz zrozumieć, że duch szamana — to, co oni nazywają manitou — nigdy nie umiera. Odradza się i przeżywa życie po życiu, siedem razy, dopóki szaman nie dokona ziemi tak wielu magicznych czynów, że zasłuży sobie na miejsce wśród gwiazd, razem z wielkimi duchami. Problem tym, że manitou może się

odrodzić tylko wtedy, gdy znajdzie sobie odpowiednie ciało, w którym zamieszka. Fakt, może przyjąć wiele innych postaci. Narragansetowie, na przykład, powtarzają historie o szamanach, którzy wcieli się w kamień, wodę czy nawet drewno. Słyszałem parę opowieści o spacerujących nocami kamiennych ludziach Narragansetów. Włosy stają dęba, kiedy sobie je przypominę. Tyle że człowiek z kamienia albo drewna jest tak samo podatny na ciosy jak kamień czy drewno. Szamani więc nie obierają takich materiałów, chyba że nie mają innych możliwości.

Neil zadrżał, choć z całych sił starał się opanować. Znowu, jak wyraźnie jak wtedy, w nocy, widział drewnianą rękę, wyciągającą się po niego z drzwi szafy i dziką twarz pod gładką powierzchnią drewna.

— Mów dalej — wychrypiał z trudem. Billy wzruszył ramionami.

— Więcej nie wiem. To nie są sprawy, które biały człowiek mógłby poznać do końca.

Neil otworzył kolejną puszkę coora. W gardle mu zaschło, czuł się tak, jakby przez cały dzień wisiał w suszarni tytoniu. Przełknął łyk ciepłego piwa.

— A co się stanie w dniu ciemnych gwiazd? — dopytywał się dalej. — Czy szamani muszą znaleźć ciała, w których mogli by się odrodzić? Czy będą potrzebować zwykłych ludzi?

— Na pewno—przytaknął Billy. — Wybiorą sobie paru facetów, prawdopodobnie takich, którzy nie są zdolni do większego oporu psychicznego. Wiesz, o co mi chodzi. Użyją żywych ciał, krwi, kości i wszystkiego, żeby wrócić do życia.

— Dzieci — szepnął Neil. — Boże, dzieci...

— Co powiedziałaś? — spytał Billy. — Musisz mówić głośniej. Pękł mi bębenek, kiedy spadłem z tego konia.

Neil wstał. Jeśli to, co starzec mówił o szamanach, było choć w połowie prawdą, to nigdy w życiu nie słyszał niczego bardziej potwornego. A co gorsza, pasowało to do strasznych wydarzeń ostatnich dni i wyjaśniało je dokładnie. Dzień ciemnych gwiazd miał nadejść już niedługo, tak jak mówił Toby. A nie mógłby o tym wiedzieć, gdyby naprawdę j nie był opętany. Drewniany człowiek z szafy przekonał Neila ostatecznie.

Wszystko to wydawało się szaleństwem, ale żadna inna teoria nie wyjaśniała dziwnych zdarzeń. Istniała tylko jedna możliwość: najpotężniejsi indiańscy szamani w historii Ameryki opanowywali stopniowo dzieci z klasy pani Novato. A wśród tych dzieci znalazł się jego syn, Toby.

Toby, jeśli się dobrze zastanowić, mógł być rodzajem katalizatora dla całego procesu. Był przecież Fennerem, potomkiem Krwawego Fennera. A jeśli Krwawy Fenner dawniej udzielał Indianom pomocy w walce z białymi, to może teraz robił to znowu. Upiór czy też duch przodka Toby'ego po stu czterdziestu latach raz jeszcze pojawił się w okręgu Sonoma, by przygotować kolejną masakrę.

Neil pomyślał o człowieku w długim, białym prochowcu. wciąż błagającym o pomoc. Pewnie także był duchem — smutnym ostrzeżeniem z przeszłości. Z tego, co mówił, wynikało, że mógł być jednym z dwudziestu osadników, którzy zginęli w Conn Creek, którymś z tych niewinnych ludzi wybitych przez Wapposów, gdy Krwawy Fenner udawał, że jedzie po posiłki.

Uściskał dłoń Billy'ego.

— Bardzo mi pomogłeś. Zaczynam pojmować pewne sprawy, które przedtem wydawały mi się pozbawione sensu.

Staruszek odstawił szklanekę z bourbonem i obrzucił Neila bystrym, uważnym spojrzeniem.

— Zmartwiłeś się, co? — zapytał.

— Trochę — przyznał Neil.

— Myślisz, że się zbliża... dzień ciemnych gwiazd?

— Widziałem pewne znaki.

— Jakie znaki?

— Widziałem człowieka z drewna. Przynajmniej tak mi się wydaje. I słyszałem głosy ludzi zabitych pod Las Posadas.

— Sprawa nie wygląda zbyt dobrze — Billy potarł dłonią podbródek. — Wcale nie wygląda.

— Nie wiem, co powinienem zrobić — wyznał Neil. — Jeśli to naprawdę szamani, to wybrali sobie dzieci ze szkoły lojego syna.

— Nic dziwnego, jeśli jesteś Fennerem. Potrzebują ducha przewodniego, kogoś, kto by im pomógł w reinkarnacji. Tam, w miejscu, które Indianie nazywają „zewnętrzem”, duchy tych szamanów szukały pewnie ducha kogoś, kto już kiedyś udzielił im pomocy, kiedy byli ludźmi. Krwawy Fenner znakomicie by się nadał.

Ale co ja mam robić? — spytał Neil. — Czy można coś la to poradzić? To znaczy, powstrzymać ich? Billy strzepnął z palców kocią sierść.

— Przykro mi to mówić — oświadczył. — Ale ten traper f nigdy mi nie powiedział, co robić, kiedy dzień ciemnych

I gwiazd już nadejdzie.

— A co z tymi dziećmi? Co z moim synem?

— To jeszcze nie jest najgorsze. Wiem, że najbardziej boisz się o własne dziecko, ale w dniu ciemnych gwiazd Indianie odbiorą oko za oko. Pomyśl o tych tysiącach czerwonoskórych, którzy zginęli z winy białego człowieka. Jeżeli ci szamani rzeczywiście się pojawią, by wezwać swoje demony, poznamy grozę i śmierć, jakiej nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

Neil milczał przez chwilę, po czym jeszcze raz uściśnął dłoń Billy’ego.

— Będę walczył — rzekł z determinacją. — Na początek jadę na policję. Chcę, żeby objęli dzieci ochroną.

— Cóż — mruknął Billy. — Mam nadzieję, że ci się uda. Może trzeba Fennera, żeby zwalczył zło przez Fennera wyrządzone. Ale niemyśl, że pójdzie ci łatwo. Pamiętaj, że masz silnego przeciwnika. Nie na darmo nazywali Allena Fennera Krwawym.

— Allena? Tak miał na imię?

— Właśnie tak. Nie wiedziałeś? Neil pokręcił głową.

— Nikt mi nigdy nie powiedział. Wszyscy mówili o nim zawsze Krwawy Fenner. Billy podrapał kota między uszami.

— Krwawy całkiem wystarczy — stwierdził. — Zupełnie wystarczy.

Sierżant Murray siedział za biurkiem, okazując taką samą cierpliwość, z jaką wysłuchiwał ludzi skarżących się na psy brudzące na trawnikach albo dzieci rzucające

kamieniami w okna. Wiał wiatr od oceanu i kłęby kurzu przetaczały się przez policyjny parking. Dochodziła piąta, a on miał na piątą być w domu. Był dużym, tęgim mężczyzną o szerokiej twarzy. I był głodny.

Obok niego trzaskał, klekotał i warczał wentylator. Gdy Neil mówił, sierżant od czasu do czasu wyjmował spinacz z małego, plastikowego pudełka, rozginał go i wrzucał do kosza. Wyraźnie było słychać cichy brzęk.

Neil opowiedział o nocnych koszmarach Toby'ego, o szkolnych rysunkach, o drewnianym demonie oraz Billym Ritchie. Murray słuchał nie przerywając, a kiedy Neil skończył, splótł swoje tłuste palce i zamyślił się.

Po chwili podniósł głowę.

— Neil — powiedział. — Znamy się już dobre parę lat.

— A co to ma do rzeczy? Sierżant skrzywił się.

— Wszystko, jeśli już o tym mowa. Glina, który cię nie zna, pewnie wlepiłby ci mandat za marnowanie czasu policji.

tak...

— Marnowanie czasu policji? — Neil był zaszokowany. — Wydaje ci się, że spędziłem cały dzień w Calistodze i jechałem taki kawał tylko po to, żeby zajmować ci czas?

— Neil — sierżant uspokajającym gestem podniósł tłustą dłoń. — Przecież nie mówię, że miałeś złe zamiary. Nie twierdzę, że robisz to złośliwie.

— Więc o co ci chodzi, do diabła? Posłuchaj, George, wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. Może nawet szaleńczo. Ale opowiedziałem ci o faktach, tylko o faktach. Nie możesz tak sobie siedzieć i wmawiać mi, że nie dzieje się nic groźnego. Nie możesz tego lekceważyć. Murray spojrział na zegar i westchnął.

— Neil — zaczął z niezmierną cierpliwością. — Chciałbym wierzyć, że to, co mi powiedziałeś, jest prawdą. Naprawdę bym chciał. Ale fakty są takie, że masz na dowód tylko słowa jakiegoś szurniętego staruszka i parę snów To-by'ego. Nic więcej.

— A fotografie? Zdjęcia Misquamacusa? George, zrobiono je w odstępie czterech dni, ale po przeciwnych stronach I kontynentu!

Sierżant milczał przez chwilę, po czym podjął:

— Przykro mi, Neil. Nie widziałem tych fotografii. Ale to f żaden dowód. Każdy mógł wypisać na nich byle jakie daty, a ty nawet nie wiesz, czy rzeczywiście zrobiono je tam, gdzie mówił ten stary.

— Więc co? — spytał Neil. — Chcesz powiedzieć, że nie pomożesz?

Murray zmieszał się lekko, ale nie ustąpił.

— Pomogę, jeśli będę miał dowody — starał się przemawiać spokojnie i rozsądnie. — Wiesz o tym tak samo dobrze i jak ja. Ale jeśli postawię straż przy tych dzieciakach, to masa pieniędzy podatników będzie się marnować, i to przez dłuższy czas. I kupa ludzi będzie mnie pytać: dlaczego? Co im powiem? Że postawiłem policjanta przed szkołą, ponieważ Neil Fenner wierzy, że duchy czerwonoskórych chcą opętać dzieci? Że zaniedbałem bezpieczeństwo dwudziestu domów oraz zmniejszyłem patrole nabrzeżne, gdyż grożą nam szamani sprzed stu lat? Daj spokój, Neil. Spróbuj mnie zrozumieć.

— Naśmiewasz się ze mnie.

— Wcale się z ciebie nie naśmiewam — sierżant z przekonaniem pokręcił głową. — Dowody poszlakowe bywają bardzo przekonujące. Łatwo uwierzyć, że coś jest prawdą, tylko dlatego, że zdaje się wyjaśniać znane ci fakty. Musisz jednak zadać sobie pytanie, czy znasz wszystkie fakty? Czy znasz ich chociaż tyle, by wydać osąd?

— George, zwróciłem się do ciebie jedynie ze względu na dzieci. Są zagrożone. Uważam, że powinniśmy je chronić.

Sierżant wstał i zapiął pas z bronią. Widział, że do komisariatu zbliża się już jego zmiennik, posterunkowy Turnbull.

— Posłuchaj, Neil — powiedział z zakłopotaniem. — Jedno mogę ci obiecać. Jeżeli udowodnisz mi, że ma się tu zdarzyć coś dziwnego, jeśli przedstawiś choć jeden prawdziwy dowód, wtedy zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Ale póki sytuacja nie ulegnie zmianie, jestem bezsilny.

Neil nie był zbyt zadowolony, ale nie miał wyboru.

— W porządku, George. Pewnie masz rację. Wiem, że to wygląda na wariactwo i może nawet nim jest.

Sierżant Murray nasunął czapkę na spocone, różowe czoło.

— Thomasa Alwę Edisona też nazywali wariatem, prawda? Pamiętaj o tym.

— Jest pewna różnica między genialnym wynalazcą a przerażonym ojcem, George
— odparł cicho Neil.

Kiedy wrócił do domu, zastał całą rodzinę w kuchni przy stole. Susan kończyła kolację, siekaną wołowinę z frytkami. Toby coś rysował.

— I co? — spytała Susan, kiedy stanął w drzwiach. Pocałował ją i pieśczośliwie rozwichrzył Toby'emu

włosy.

— A jak myślisz? Powiedział, że mu przykro, ale nie może I, dać na to ludzi. Podatnicy nie byliby zadowoleni.

— Nawet jeśli coś grozi dzieciom podatników?

— Susan, on mi nie uwierzył. Nawet w jedno słowo.

— A czy spróbował ci uwierzyć? Neil wzruszył ramionami.

— Zrobił chyba pewien symboliczny wysiłek. Ale to nie jest zwykła sprawa. Siedziałem tam i słuchałem siebie, jak I staram się go przekonać, i im dłużej mówiłem, tym głupiej to wszystko brzmiało.

Odłożyła widelec, podeszła do kuchenki i nałożyła mu mięso. Podała też tacę z krakersami i serem. Nie jadali zbyt wyszukanie. Interesy nie szły najlepiej, ale jakoś sobie radzili. W niedzielę mieli czasem na obiad steki, szczególnie kiedy i Neil dostawał zlecenie na remont jachtu, co jednak nie zdarzało się zbyt często. W okolicach Bodega Bay na usługi tego i typu nie było wielkiego popytu.

Neil umył ręce nad zlewem i usiadł.

— Jak leci, Toby? — zapytał.

— W porządku — odparł chłopiec nie podnosząc głowy.

— Co tam rysujesz? Wygląda na jakąś raketę. Toby zasłonił kartkę ramieniem.

— To tajemnica — oświadczył.

Neil zabrał się do jedzenia. Susan usiadła przy nim, zatroskana i trochę smutna. Delikatnie gładziła jego opartą o stół, opaloną dłoń.

— Naprawdę wierzysz w to, co opowiadał ci ten staruszek? — spytała. — Nie

sądzisz, że mógł cię nabierać?

— Po co miałyby to robić?

— Żeby pozartować sobie z kolegami przy drinku, kiedy już odjedziesz. Sam wiesz, jakie historie opowiada Doughty. Czemu Billy Ritchie miałyby być lepszy.

Neil odłożył widelec.

— Sam nie wiem. Po prostu mu wierzę i tyle. Nie potrafię wymyślić innego wytłumaczenia dla tego wszystkiego, co się tu dzieje. Chyba że tracę rozum.

Susan w zamyśleniu potarła czoło.

— Problem w tym — stwierdziła — że ten człowiek w białym płaszczu i koszmary Toby’ego to jedna sprawa, a cała historia o dwudziestu dwóch szamanach, wracających do życia, by się zemścić na białych...

— Wiem — odparł cichym, głuchym głosem.—Ale byłeś tu przecież, kiedy Toby mówił o dniu ciemnych gwiazd, bramie i całej reszcie. Słyszałeś to równie wyraźnie jak ja.

— Może Billy Ritchie tylko udawał, że wie, o co chodzi. Pomyśl tylko: siedzi zupełnie sam i nie ma do kogo ust otworzyć. Powiedziałyby pewnie cokolwiek, byle cię tylko zaciekawić.

Neil nie odpowiedział. W milczeniu skończył jeść, odsunął talerz i oparł głowę na rękach.

— Kochanie — Susan próbowała go pocieszyć. — Nie możesz się tak przejmować. Wiem, co czujesz, ale na pewno niedługo zdarzy się coś innego i zapomnisz o całej tej sprawie.

Neil spojrzał na nią ponuro.

— Jedyne „coś”, jakie się wydarzy, to cholernie wielka masakra.

Odwróciła wzrok.

— Nie powinieneś tak mówić — powiedziała cicho.

— Niby jak? Co ci się nie podobało, „cholerna” czy „masakra”?

— Nic mi się nie podoba — wybuchnęła. — Ani te koszmary, ani te opowieści o duchach, manitou i mężczyznach w długich, białych płaszczach, którzy znikają, kiedy tylko się na nich popatrzy. Zwariować można od tego. Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym

myślę, to ci powiem: nie wierzę w te bajki. Uważam, że jesteś zmęczony albo przepracowany, albo martwisz się o pieniądze i dlatego pozwalasz, żeby cię wciągnęła ta idiotyczna historia.

Miała łzy w oczach. Nerwowo skręcała w palcach rąbek fartucha.

— Nie zachowujesz się jak dawny Neil. Zawsze byłeś taki rozsądny i trzeźwo myślący. To niepodobne do ciebie, że stale mówisz o upiorach i demonach. Nie wiem, co się z tobą dzieje.

Neil przygryzł wargi.

— Powiem ci, co się stało — za wszelką cenę starał się mówić spokojnie. — Po raz pierwszy w życiu naprawdę Izobaczyłem upiora. Po raz pierwszy w życiu natknąłem się Ina coś niesamowitego, coś nadnaturalnego i musiałem w to uwierzyć, ponieważ rozegrało się na moich oczach. Co gorsza, to zagraża Toby’emu oraz jego kolegom z klasy. Widziałem to, Susan, i nie mam zamiaru stać bezczynnie tylko dlatego, że nikt mi nie wierzy.

Wstał i odepchnął krzesło.

— Idę teraz na górę. Rozwalę tę szafę, a potem ją spalę. Nie obchodzi mnie, czy pani Novato uważa mnie za wariata, obchodzi mnie, czy George Murray uważa mnie za wariata, a nawet, przykro mi to mówić, czy ty uważasz mnie za wariata. Będę chronił Toby’ego najlepiej jak potrafię i przede wszystkim chcę się upewnić, że te duchy nie zdołają go |opanować.

Toby przerwał rysowanie i spojrzał na ojca. Neil wziął |z kredensu pudełko zapalek i schował je do kieszeni.

— Co powiesz na ognisko, Toby? — spytał, siląc się na I lekki ton. — Porąbimy tę okropną, starą szafę, wyniesiemy I ją na podwórze i...

Toby otworzył usta i ryknął.

To nie był głos dziecka. Nie był to nawet ludzki głos. Wydobywał się z otwartych szeroko ust niby lawina dźwięku, potworna lokomotywa pędząca ciemnym tunelem. To był głos, który pochłaniał wszystko, odsłaniał wizje nieskończonych przestrzeni i niezmiernych odległości. Susan krzyknęła, a osłabły nagle Neil wsparł się o kredens. Kubki i talerze zadygotały od wibracji, a waza zsunęła się na wykafelkowaną

podłogę i rozbiła w kawałki.

Toby zamknął usta. Siedział za stołem, na pozór taki sam jak poprzednio — mały, rozczochrany chłopiec — lecz potwornie odmieniony. Jego przekrwione oczy spoglądały na Neila z wyrazem straszliwej siły, dłoń zacisnęła się na świecowej kredce i wolno skruszyła ją, rozrzucając kolorowe odłamki po nie dokończonym rysunku.

Neil zrobił krok w jego stronę.

— To znowu ty, prawda? — szepnął. — Tak, to ty. Toby obserwował go w milczeniu i z kamiennym spokojem.

— Chcę wiedzieć, kim jesteś—powiedział Neil. — Daj mi jakiś znak.

Chłopiec uśmiechnął się, bez śladu radości czy ludzkiego współczucia.

— Nie będzie żadnych znaków — obwieścił głuchym, chrapliwym głosem. — Nie będziesz się mieszał. Pozostawisz bramę nienaruszoną.

— Żadnych znaków, tak? — mruknął Neil. — No cóż, w takim razie obawiam się, że brama idzie do ognia. Nie możesz tak zwyczajnie wykorzystywać mojego syna i jeszcze oczekiwać ode mnie współpracy. Zaraz idę na górę przerobić tę twoją bramę na kupę drew.

— Zabiję cię — ryknął Toby.

Stojąca pod przeciwległą ścianą Susan jęknęła cicho. Widziała, jak przekrwione i wrogie były oczy Toby'ego, jak niecierpliwie zaciskał i rozprostowywał palce.

— Toby, na litość boską — powiedziała.

Chłopiec nie zwrócił na nią uwagi, wpatrzony w Neila, który nabierał pewności, że cokolwiek przemawia przez Toby'ego, chce i potrafi go zniszczyć. W kuchni było coraz chłodniej, czerwona strzałka ściennego termometru opadała niżej i niżej.

— Idę na górę — oświadczył Neil. — Jeśli chcesz mnie powstrzymać, musisz ze mną walczyć.

Odwrócił się, otworzył drzwi na schody. Z pokoju syna dobiegało szuranie i głośnie stuki, jakby ktoś przesuwiał coś ciężkiego. Neil obejrzał się jeszcze, lecz Toby siedział nieruchomo przy stole, a jego twarz wyrażała tylko nienawiść. Nie chciał zostawiać Susan samej, miał jednak nadzieję, że Toby nie zrobi jej krzywdy — Toby,

czy raczej jakiś demoniczny twór, korzystający z ciała chłopca, by z nim rozmawiać.

— Postępujesz bardzo nierozsądnie — oznajmił chłodno Toby.

Neil wspiął się na schody. Drzwi do sypialni były zamknięte, lecz stukanie stało się głośniejsze. Wydawało się, że ktoś rzuca krzesła, stoły i łóżko z jednego końca pokoju na drugi. Słyszał trzask tłuczonej lampy, potem wybijanej okiennej szyby.

— Allen — błagał głos, natrętny szept, słyszalny mimo rozlegających się huków i trzasków. — Proszę cię, Allen... I pomóż...

Neil zbliżał się czując, jak serce bije mu wolnym, bolesnym rytmem. Pod drzwiami widział błyski dziwnego, zimnego światła, jakby pochodzącego z błękitnego neonu, w którym nastąpiło zwarcie. Czuł zapach ozonu i jakiś niemożliwy do popisania, kwaśny odór. W gardle mu zaschło. Był tak przerażony, że z trudem poruszał nogami.

— Fenner — usłyszał chrapliwy głos. Odwrócił się natychmiast. To był Toby. Stał w połowie schodów i z nie I skrywanym gniewem wpatrywał się w niego przekrwionymi oczami. — Ostrzegam cię, Fenner. Zostaw tę szafę w spokoju.

— Nie wchodź mi w drogę — odparł. — Zrobię to, co I muszę, i nikt mnie nie powstrzyma.

— Jesteś głupcem, Fenner — warknął Toby. Za nim, w jasnym prostokącie padającego z kuchni światła, stanęła

Susan. Niczego nie rozumiała.

— Toby! — powtarzała. — Toby, co się dzieje? Toby?

— Allen — odezwał się przenikliwy szept. — Allen, na rany Boga...

W sypialni chłopca coś huknęło głośno. Neil przekroczył korytarz, chwycił kłamkę, napierając całym ciałem na drzwi.

Natychmiast zabrzmiał jeszcze jeden wybuch i podmuch lodowatego wichru wessał go w ciemność pokoju. Uderzył plecami o ścianę, przewrócił się i leżał nieruchomo, osłaniając głowę rękami. Wokół wył i ryczał potworną kakofonią dźwięków huragan. Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

Otworzył oczy. W pokoju panował spokój i ciemność. Wszystkie dźwięki przycichły, zmieniły się w szepty. Próbował dostrzec cokolwiek, lecz zdawało się, że

zniknął gdzieś księżyc i pogasły gwiazdy.

Stopniowo zdał sobie sprawę z tego, że po przeciwnej stronie pokoju dostrzega słabą, bladą poświatę. Z początku nie domyślał się, co to jest, lecz w miarę, jak oczy przyzwyczajały się do ciemności, zaczynał rozróżniać sylwetkę ludzkiej głowy i ramion.

— Czy ktoś tu jest? — zapytał. Jego głos zdradzał, że jest bardziej przestraszony, niż chciałby się do tego przyznać. — Kto to?

Odpowiedziało mu milczenie. Nie słyszał oddechu, lecz nie miał wątpliwości — widział postać człowieka, siedzącego na krześle obok szafy. Dostrzegał nawet błysk jego oczu. Chwilę trwało, zanim pojął, że szafa wróciła na dawne miejsce.

— Jest tam kto? — zapytał. — Chcę wiedzieć, kim jesteś. Postać poruszyła się lekko i zatrzeszczała. Ten dźwięk przeraził Neila bardziej niż cokolwiek innego. Taki odgłos wydawał człowiek, którego kończyny zrobione były z polerowanego drewna, demon, który zbudził się do życia w ludzkiej postaci, lecz zbudowany jest z ciała drzew.

— Przeszkadzasz planom bogów — odezwała się postać. — Mieszasz się w sprawy przeszłe i przyszłe.

Neil próbował przełknąć ślinę, lecz w ustach czuł jedynie suchość przerażenia. Słaba poświata zamigotała i dostrzegł lśnienie gładkiego, drewnianego policzka, błysk oczu — widzących, choć drewnianych. Spojrzał ku drzwiom, lecz wiedział, że gdyby spróbował do nich dobiec, drewniany człowiek dopadnie ich pierwszy.

— Kim jesteś? — powtórzył.

Przez moment panowała cisza. Przerwało ją potworne trzeszczenie — to postać podniosła się z krzesła. Powoli puszyła ku niemu, stukając drewnianymi stopami. Wreszcie zatrzymała się tuż przed nim, wysoka i groźna.

— Chcesz wiedzieć, kim jestem? — przemówiła. Jej głos wydawał się dziwnie odległy, jakby dzieliły ich wieki. — Jestem drewnianym wcieleniem największego z tych, co są poza watem. Nie ma mnie tu, w tym drzewie. Nie ma mnie twoim synu, choć przemawia moim głosem. Jestem poza jarierą, w krainie łowów, gdzie trafiają wszystkie manitou, gdy zakończą swój żywot w realnym świecie.

— Po co przychodzisz? — głos Neila drżał. — Czego od las chcesz? Czy Billy Ritchie miał rację? Czy to dzień ciemnych gwiazd? Czy przybywasz, by zabijać ludzi? Drewniana postać odwróciła się sztywno.

— Nie dla ciebie przeznaczona jest ta wiedza.

Neil podniósł się niezdarnie. Nawet kiedy stał, drewniana postać przewyższała go o dobre dziesięć centymetrów. Cofnął się o krok, wyciągając ręce do tyłu, by zorientować się głębokiej, chłodnej ciemności.

— Jesteś Fennerem — rzekł drewniany człowiek. — Zostaniesz oszczędzony, gdyż twój przodek pomógł moim braciom. Tylko wtedy jednak, gdy bez sprzeciwu przyjmiesz to, co ma się zdarzyć, i nie będziesz próbował się opierać. Jeśli cię, rozedrę cię na strzępy i nakarmię nimi demony północnego wiatru.

— Mam prawo wiedzieć — odparł Neil bez tchu. — Jestem ojcem Toby'ego. Chcesz go wykorzystać, a ja mam zamiar ci w tym przeszkodzić.

Postać nie poruszyła się, lecz odezwała swym niesamowitym, odległym głosem:

— Zanim zaczniesz mówić o swoich prawach, biały człowieku, zanim zaczniesz mówić o powstrzymaniu mnie, wspomnij tysiące indiańskich rodzin, które wymordowałeś, wszystkich czerwonoskórych, którzy zginęli bez żadnych praw. Nie tylko ojców i synów, ale także matki i córki. Pomyśl o zgwałconych i okaleczonych kobietach, o mężczyznach, których oskalpowałeś. Potem mów, że masz prawo wiedzieć.

Spocony, drżący Neil cofnął się ostrożnie, aż natrafił na krawędź łóżka Toby'ego. Wsunął dłoń pod kołdrę i chwycił prześcieradło. Usłyszał, jak tamten zatrzeszczał, jak drewniane stopy stuknęły o podłogę. Zamarł w bezruchu. Lecz drewniany człowiek nie ruszył się z miejsca. Neil delikatnie wyciągnął prześcieradło i zwinął je za plecami w niezgrabną kulę.

— Jestem największym z tych, co są poza światem—mówił człowiek z drewna. — Jestem mistrzem dawnych czarnoksiężników, wybrańcem Sadogowah, narzędziem Nashuny. Mam do wyrównania rachunki z czasów dawniejszych, niż potrafisz sobie wyobrazić, biały człowieku. Mam porachunki z Holendrami za choroby, jakie przynieśli na Manhattan, z pielgrzymami za to, jak uczyli Wampanaugów i Nansetów,

z osadnikami, farmerami i budowniczymi kolei za Czejenów, którzy zginęli, Siuksów, którzy zginęli, za Apaczów i Pajutów. Byliśmy zespoleni z naszą ziemią, biały człowieku, z mocami i żywiołami tej ziemi, z bogami i duchami, dla których rosną drzewa i ziemia wypycha skały na powierzchnię. Wy niszczyliście nas strzelbami, zarazą i pustymi obietnicami. Zemścimy się, biały człowieku, jak mówi proroctwo na wielkiej, kamiennej sekwoi. Wszyscy posmakujecie krwi.

Neil wsunął rękę do kieszeni i wymacał pudełko zapalek. Dokładnie pamiętał, co mówił Billy Ritchie: „Człowiek z kamienia albo drewna jest tak samo podatny na ciosy jak kamień czy drewno”.

— Biały człowiek, Fenner, pomógł w dawnych latach moim braciom, Wapposom — mówiła dalej postać. — Pomógł, ponieważ rozumiał ich walkę i ponieważ w jego żyłach płynęła krew Wapposów. Dlatego twój syn został wybrany. Dlatego w tym miejscu i czasie będziemy wreszcie mogli sprowadzić duchy wielkiego Nashuny i Ossadagowah.

Neilowi udało się wyjąć z pudełka zapalną. Potarł nią o draskę, poczuł zapach fosforu, lecz drewno nie zapaliło się. Mimo panującego chłodu pocił się obficie i zaciskał zęby aż do bólu. Drewniana figura mówiąca zbliżała się i teraz stała niecały metr od niego. Jej głowa wznosiła się nad nim w mroku.

— Mam także do załatwienia osobiste porachunki — głuchy głos zdawał się odległy, a jednak tak bliski, jakby rozlegał się wewnątrz czaszki Neila.

— Osobiste? — zdziwił się Neil. Jeszcze raz potarł zapalną o pudełko.

Odwiedziłem już raz twoje czasy w ciele młodej kobiety. Odrodziłem się, by wyrzucić zemstę na tych, którzy spustoszyli wyspy, nazywane przez was teraz Nowym Jorkiem, irodziłem się jako człowiek, we własnej postaci, lecz po-Istać ta została zniszczona przez białego szarlatana i zdrajcę, Indianina z równin. To są moje osobiste porachunki. Odnaj-Ję tego białego, zwanego Erskine'em, i Indianina zwanego Śpiewającą Skałą, a potem zmiażdżę ich obu. Postać skrzypnęła, podnosząc w górę ramię.

— Jestem Strażnikiem Pierścienia, który powstrzymuje Jemony, nie znające ludzkiej postaci. Jestem Posłańcem

Wielkiego Starucha, Wybrańcem Sadogowah, Opiekunem

Pradawnej Pieczęci i sprawcą cudów nieznanym w przy-złych czasach. Jestem Quamis, zwany przez Wampanalgów Misquamacusem. Przybywam na dzień ciemnych gwiazd.

Człowiek z drewna podniósł obie ręce i wyciągnął je, by chwycić Neila za gardło. Ten, z piskliwym jękiem strachu skoczył na bok i raz jeszcze uderzył zapalką o pudełko.

Zapłonęła, a od niej zajęło się zmięte prześcieradło. W rozbłysku pomarańczowego płomienia Neil dostrzegł wykrzywioną gniewem drewnianą twarz, dzikie oczy, połyskujące ponad indiańskim, haczykowatym nosem i ściągnięte wargi odsłaniające drewniane zęby. To był Misquamacus, sam, którego oglądał na fotografiach Billy'ego Ritchie, tym razem jednak przepełniony wściekłością i pragnieniem zemsty.

Prześcieradło zapłonęło mocniej, parząc mu dłoń. Z rozmachem cisnął je na głowę Misquamacusa. Kiedy płomienie ogarniały drewnianą postać, podbiegł do drzwi i z całych sił szarpnął za klamkę.

— Susan! — krzyknął. — Susan! Otwórz mi! Drzwi się zacięły! Susan!

Obejrzał się nerwowo. Misquamacus stał obok łóżka Toby'ego, a jego głowa i ramiona już się rozpałały. W powietrzu unosił się ostry zapach palonej bawełny i drewna.

— Susan! — krzyknął szarpiąc klamkę. — Susan, na miłość boską!

Przez jedną straszną chwilę był pewien, że Toby zrobił coś matce, może nawet ją zabił, lecz zaraz usłyszał głos żony:

— Jestem tutaj! Wezwałam policję!

— Popchnij drzwi! — krzyknął Neil. — Nie mogę się stąd wydostać! Pchaj!

Znów się obejrzał i ku swemu przerażeniu zobaczył, jak groźna postać Misquamacusa zbliża się powoli, wyciągając ręce, by go schwytać. Z piersi czarnoksiężnika buchały płomienie, jego głowa była ognistą kulą, lecz szedł przed siebie i Neil czuł żar, bijący od płonącego ciała.

— W walce ze mną jesteś niby źdźbło trawy — szepnęły ogniste wargi. —

Pochłonę cię, jeśli staniesz mi na drodze, i ofiaruję najstraszniejszym z moich bogów.

— Susan! — wrzasnął Neil. Szarpał drzwi i walił w nie pięścią, lecz nie ustępowały.

— Potęga mej woli trzyma te drzwi — rzekł Misquamacus. — Nawet za sto księżyców nie zdołasz ich otworzyć.

Pokój wypełnił się gęstym, duszącym dymem. W jego kłębach kroczyła wolno niemożliwie wysoka, ogarnięta płomieniem postać. Była coraz bliżej. Neil oderwał się od drzwi, przemknął do okna i spojrzał szybko przez wybitą szybę. Do ziemi było daleko. Nawet jeśli nie skręci sobie karku, skończy pewnie z połamanymi nogami.

Odwrócił się. Wiejący od okna podmuch podsyczał ogień, ze złowieszczym trzaskiem pochłaniający drewniane ciało. — Nie uciekniesz mi teraz, biały człowieku — szepnęły zwęglone usta. — Nie uciekniesz.

Tapicerka krzesła Toby’ego zatliła się i zapłonęła, jedna z zasłon stanęła w ogniu.

Neil uniósł dłonie, by osłonić twarz przed żarem. Płomienne palce zbliżały się, chwyciły go za rękaw, straszliwie silne p gorące. Próbował kopnąć szamana, lecz ten pchnął go na okno, aż zatrzeszczały kości grzbietu. Widział tylko ogień i groteskowe rysy twarzy, wyryte w zwęglonym drewnie.

Nagle płomienie buchnęły jeszcze wyżej. Drzwi sypialni stanęły otworem, przeciąg dostarczył większą porcję tlenu. Neil wyrwał ramię z uścisku i obolały, poparzony upadł na podłogę.

Następną rzeczą, jaką pamiętał, był upiornie powolny dźwięk, podobny do odtwarzanego w zwolnionym tempie odgłosu załamujących się na brzegu morskich fal. Drewniana postać zachwiała się, odwróciła i nagle zaczęła rozpadać [na tysiące rozżarzonych odłamków.

Ogień eksplodował mu nad głową i rozpalonym deszczem popadł na podłogę. Czuł dotknięcia żaru na szyi i dłoniach. Były to jednak tylko spalone, poczerniałe drzazgi i miękki, szary popiół. Neil zamrugał oczami i podniósł głowę.

Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że dostrzega dwie męskie nogi, skraj jasnego płaszcza i rękę poruszającą się, tak jak zwykle, kiedy broń wraca do pochwy. Potem widział już tylko korytarz i bladą, przerażoną Susan, stojącą w ostrym świetle

lampy.

Podbiegła, by pomóc mu wstać. Kaszłąc, strzepnął z koszuli spalone drzazgi i popiół. Bąble pokrywały jego ręce i przedramię, włosy miał nadpalone, lecz poza tym nic mu się nie stało.

— Neil — szlochała Susan. — Och, Neil...

Przytulił ją mocno, drżąc w szoku. Czuł, że ocaliła go jakaś interwencja z zaświatów, nadnaturalna moc, która dostrzegła grożące mu niebezpieczeństwo i przybyła na pomoc. Po raz pierwszy od czasu, gdy Toby zaczął miewać koszmary, poczuł przypływ siły i pewności siebie.

— Nie płacz — poprosił gładząc włosy żony. — Myślę, że jakoś damy sobie radę. Wszystko się ułoży.

Zwróciła ku niemu poznaczoną łzami twarz.

— Ale co ty tu robiłeś? — spytała. — Dlaczego wszystko jest popalone?

Spojrzał na nią czując, że ogarnia go nagły chłód. Zdał sobie sprawę, że ona nadal nie wierzy w to, co się działo, nie widzi drewnianej postaci, słyszy tylko stuki i trzaski. A on stał sam pośród popiołu oraz spalenizny i w żaden sposób nie mógł jej udowodnić, że naprawdę widział to, co widział.

— Był tu człowiek z drewna — powiedział wolno. — To wszystko, co z niego zostało.

— Człowiek z drewna? — zmarszczyła brwi. — Neil, ja... Gwałtownym gestem wyciągnął rękę w stronę szafy.

— Człowiek z drewna. Był tu i rozmawiał ze mną. Powiedział, kim jest i co się dzieje. Wszystko, co opowiadał ten staruszek z Calistogi, to prawda. Indiańscy szamani odradzają się w ciałach naszych dzieci i mają zamiar zabić jak najwięcej białych.

— Neil, przestań! Proszę cię! To tylko twoja wyobraźnia!

— A co powiesz na to, co mówił Toby? To też wyobraźnia?

Susan objęła go mocniej.

— Toby jest zaniepokojony, to wszystko. Widzi, jak się zachowujesz, i jest przestraszony. Mówi dziwnie, bo jest wrażliwy i nie rozumie, co się z tobą dzieje.

— Mówi dziwnie, bo opanował go indiański czarnoksiężnik! — krzyknął Neil. —
Mówi to, co każe mu Misquamacus!

— Ach, tak? — odezwał się obcy głos. — A kto to jest Misquamacus?

Neil obejrzał się. Na schodach stał posterunkowy Turnbull w swym starannie wyprasowanym mundurze. Był szczupły, ze spiczastym nosem, a na podbródku miał błękitny ślad zarostu. Neil nigdy go specjalnie nie lubił. Wszedł do pokoju, oglądając z zawodową obojętnością popiół i nadpalone meble.

Neil puścił Susan i przyglądał się, jak policjant w milczeniu bada zdemolowaną sypialnię. Po chwili Turnbull uśmiechnął się kwaśno.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — rzekł.

— To była przenośnia — wyjaśnił Neil. — Nie sądziłem, że ktoś potraktuje to dosłownie.

Turnbull przyglądał mu się przez chwilę.

— Rozumiem — stwierdził. — A jak pan wyjaśni to, co się tu działo? Postanowił pan rozpaść ognisko w domu zamiast na podwórzu? Neil otarł twarz z sadzy.

— Chciałem tylko rozwalić tę starą szafę — oświadczył. — Zdarzył się drobny wypadek z zapałkami.

Policjant pociągnął nosem.

— Jak na drobny wypadek skutki są dość opłakane — zauważył. — Jest pan pewien, że nie chciał pan spalić domu?

— Po jaką cholere miałbym to robić? To był wypadek, już i mówiłem.

— No cóż — mruknął Turnbull. — Są tacy, którym brakuje gotówki i próbują sobie dorobić, paląc własne domy. Dostają forszę z ubezpieczenia, rozumie pan?

Neil spojrzał na niego z niechęcią.

— Proszę wyjść — powiedział ostrym tonem.

— Wyjdę, kiedy się dowiem, co tu zaszło. Co to pan mówił o tym Misky-jakimś-tam?

— To takie przezwisko. Mówimy tak czasem na Toby'ego. A teraz może zechce pan wyjść, żebym mógł tu posprzątać.

Turnbull wyjął długopis i pracowicie zapisywał coś w swoim notesie. Potem raz

jeszcze rozejrzał się po pokoju.

— Umówmy się, że to ostatni pożar w tym domu, dobrze?

Bodega to małe miasteczko i nie chcielibyśmy, żeby tu wyglądało jak w południowym Bronksie.

— Czy to wszystko? — Neil ledwie ukrywał zniecierpliwienie.

— W zasadzie tak. Będę jeszcze musiał złożyć raport.

— Może pan robić, co tylko pan zechce. Miło, że pan wpadł. Przyjemnie jest wiedzieć, że można liczyć na policję. Przynajmniej wtedy, gdy dzieje się coś, co policjanci potrafią pojąć.

Turnbull wsunął notes do kieszeni, wzruszył ramionami i ruszył schodami w dół. Po chwili usłyszeli trzask kuchennych drzwi oraz szum silnika odjeżdżającego radiowozu. Neil westchnął i wyszedł na korytarz, przestępując ponad stertami popiołu i odłamków.

— Dlaczego byłeś taki nieuprzejmy? On tylko wykonywał swój obowiązek. Powinieneś być wdzięczny, że przyjechał.

— Tak — zgodził się obojętnie Neil. — Chyba powinienem. Gdzie Toby?

— Na dole, w kuchni. Moim zdaniem czuje się już dobrze. Kiedy poszedłeś do sypialni, no wiesz, wyraźnie się uspokoił. Teraz jest znowu taki, jak zawsze.

— To dlatego, że Misquamacus go opuścił i przybrał postać drewnianego człowieka.

Susan puściła tę uwagę mimo uszu.

— Chodź na dół — powiedziała. — Trzeba przemyć te oparzenia. Rano będą cię bolały.

Neil oparł się o ścianę. Nagle zapiekły go oczy i poczuł się śmiertelnie zmęczony. Samotna walka z tym wszystkim przekraczała chyba jego siły. Żeby choć Susan mu uwierzyła... gdyby ktokolwiek uwierzył, oprócz starego Billy'ego Ritchie...

— Nic mi nie jest — powiedział. — Możesz mi nasmarować rękę, ale poza tym czuję się świetnie. Mogłabyś zrobić trochę kawy?

Pocałowała go mocno w policzek.

— Oczywiście. Cokolwiek sobie życzysz. Tylko wypocz-ij, a jutro z pewnością

wszystko będzie dobrze.

Wziął ją za rękę.

— Susan — powiedział z powagą. — Nie dostaję fioła. Widziałem drewnianego człowieka tak wyraźnie, jak teraz ciebie widzę.

Uśmiechnęła się uspokajająco.

— Naturalnie, skarbie. Przecież wiem. Był tu drewniany człowiek.

Zeszli na dół. Toby znów siedział przy stole i kończył swój rysunek. Kiedy wszedł Neil, chłopiec spojrzał na niego z głęboką powagą. Neil także przez długą chwilę przyglądał się Cynowi, próbując dostrzec ducha czarnoksiężnika, który mógł czaić się gdzieś w jego ciele. Nie zauważył jednak nawet najdrobniejszego znaku.

Podszedł bliżej i przykucnął obok krzesła Toby'ego. Chłopiec uśmiechnął się niepewnie.

— Coś się stało, tato? Nic ci nie jest?

— Pewnie, że nic. Zdarzył się drobny wypadek z zapalkami. Powinieneś wyciągnąć z tego naukę dla siebie: zabawy z ogniem bywają niebezpieczne.

— Dobrze, tato — zgodził się grzecznie Toby.

Z jakiegoś powodu zachowanie chłopca zniechęcało do rozmowy. Neil nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć. Rzucił okiem na rysunek.

— Jak ci idzie? — spytał. — Skończyłeś już?

— Tak.

— Mogę zobaczyć? Toby kiwnął głową.

— Jeśli chcesz...

Odsłonił kartkę, a Neil podniósł ją ze stołu i przyjrzał się uważnie. Rysunek był niemal abstrakcyjny, wykonany w barwach szarości, błękitu i szarej zieleni. Neilowi zdawało się, że rozpoznaje jakby chmury, wijące się między nimi poskręcane macki i zarys, samą sugestię twarzy, która tak naprawdę wcale nie była twarzą. Obrazek był niezdarny, wyrysowany typową, niewprawną kreską Toby'ego, miał jednak w sobie coś niezwykle subtelnego i niepokojącego.

— Co to jest?

Toby wzruszył ramionami.

— Nie wiem, tato. To nie jest osoba.

Neil przesunął palcami po gładkiej powierzchni obrazka. Gdzieś w głębi umysłu znowu słyszał niezwykle, odległy głos, głos drewnianego człowieka: „Jestem Strażnikiem Pierścienia, który powstrzymuje demony, nie znające ludzkiej postaci”.

Zwiczrzył włosy syna i odłożył kartkę na stół. Spod ściany kuchni Susan przyglądała mu się uważnie.

— Ładny obrazek — stwierdził Neil. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. — Wygląda jak jakaś ośmiornica.

— Kawa prawie gotowa — odezwała się Susan.

Późno w nocy, kiedy Susan i Toby już spali, Neil zszedł na dół, do salonu, usiadł za biurkiem i przysunął sobie telefon. Przez chwilę wpatrywał się z namysłem w lśniąca tarczę, wreszcie podniósł słuchawkę i wykręcił numer informacji.

Pół godziny zajęło mu ustalenie szukanego numeru — na Manhattanie, na Dziesiątej Alei. Spojrzał na zegarek. W Nowym Jorku była teraz trzecia w nocy, ale wiedział, że nie wytrzyma do rana. Musiał się dowiedzieć, zanim wstanie nowy dzień, zanim duchy zyskają na czasie i mocy.

Telefon dzwonił i dzwonił, prawie przez dziesięć minut. Neil przerwał połączenie, wykręcił numer jeszcze raz i czekał.

W końcu ktoś po tamtej stronie podniósł słuchawkę.

— Tak? — odezwał się nosowy, zaspany głos. — O co chodzi, do diabła?

Neil odchrząknął.

— Strasznie przepraszam, że pana obudziłem. Nie dzwoniłbym, ale sprawa jest rozpaczliwie poważna.

— Co się dzieje? Koniec świata?

— Coś niemal równie strasznego.

— Sam zgadnę. Wydali zakaz sprzedaży hot dogów, bo ma się od nich krzywe nogi?

— Panie Erskine — powiedział Neil czując, że za chwilę się rozpłacze. — Dzwonię do pana, ponieważ nie znam nikogo innego.

— No cóż, jeśli sytuacja jest aż tak krytyczna, to lepiej niech pan wyjaśni, o co chodzi.

— Panie Erskine, ja nie żartuję. Chodzi o Misquamacusa.

W słuchawce zapadła cisza. W pierwszej chwili Neil pomyślał, że Erskine się rozłączył, słyszał jednak ciągle dźwięczny szum kabli transkontynentalnych. Minęło prawie pół minuty.

— Misquamacus? — odezwał się wreszcie cicho Erskine. — Co z Misquamacusem? Gdzie pan słyszał o Misquamacusie?

— Panie Erskine, ja go spotkałem. A przynajmniej postać, jaką przyjął. Pojawił się dziś wieczorem i mam szczęście, że jeszcze żyję.

Znowu zapadła cisza.

— Jest pan tam? — spytał Neil.

— Pewno — odparł Erskine. — Zastanawiałem się tylko. Myślę sobie, że chciałbym, żeby pan to zmyślił, ale wiem, że i to prawda. Nikt nie zna Misquamacusa oprócz mnie i ludzi, którzy pomogli mi się go pozbyć.

— Więc to prawda? To, co mówił o panu Misquamacus, to prawda?

— Podobno pan go widział — przerwał Erskine. — Jak pan sądzi?

Ulga była niemal obezwładniająca.

— To prawda — odpowiedział. — To musi być prawda. Boże, cała ta cholerna historia jest prawdą.

— Dlatego jest taka straszna — zauważył Erskine. — Jak on wyglądał?

— Widziałem tylko postać, którą przyjął... drewnianego człowieka. I jeszcze przemawiał za pośrednictwem mojego ośmioletniego syna, Toby'ego. Mówił, że wraca, aby się zemścić na białych. Jego duch, jego manitou, chce opanować Toby'ego i odrodzić się.

— Prawie to samo, co poprzednio — mruknął ponuro Erskine. — Momencik. Niech się pan nie rozłącza, muszę sobie zrobić coś do picia.

— Dobrze — zgodził się Neil i czekał.

Po chwili w słuchawce znowu odezwał się głos Erskine'a:

— Czy wie pan, co on chce zrobić? Wytłumaczył panu jakoś?

— Nie bardzo. Chodzi o dzień ciemnych gwiazd, czyli o dzień, kiedy dwudziestu dwóch najpotężniejszych szamanów ze wszystkich wieków i plemion ma się odrodzić i wezwać indiańskich bogów. W tym dniu mają zabić jednego białego człowieka za każdego Indianina, który kiedykolwiek zginął z rąk białych.

— To w stylu Misquamacusa — wtrącił Erskine. — Mówił pan: dwóch najpotężniejszych szamanów?

— Nie, nie... dwudziestu dwóch.

— Dwudziestu dwóch? Pan żartuje.

— To legenda. Ale Misquamacus też mi to powiedział. Znowu cisza.

— Niech pan posłucha, muszę się z kimś skontaktować w tej sprawie. Niech mi pan poda swoje nazwisko i numer, zadzwonię, jak tylko będę coś wiedział.

— Naturalnie — zgodził się Neil. — Nazywam się Neil Fenner, mieszkam w Bodega, w północnej Kalifornii. Wie pan, niedaleko Sonomy. Numer telefonu 3467.

— Zapisałem. Niech mi pan da parę godzin, a na pewno się odezwę.

— Panie Erskine...

— Proszę mi mówić Harry. Wprawdzie jeszcze się nie spotkaliśmy i nic o sobie nie wiemy, ale jeżeli nie wymyślił pan tej historii z Misquamacusem, to lepiej, żebyśmy zaczęli mówić sobie po imieniu.

— W porządku, Harry. Ale chciałbym powiedzieć, że Misquamacus mówił o jakichś osobistych porachunkach.

— Osobistych porachunkach?

— Tak. Z tobą i jakimś Indianinem, Śpiewającą Skałą. Mówił, że zniszczyliście go, kiedy próbował się odrodzić, i że teraz was załatwi.

— Rozumiem — Erskine wydawał się trochę zaniepokojony. — No cóż, to by się zgadzało. Misquamacus to uosobienie zemsty całego narodu. Jeżeli mówi, że zamierza zabić nas wszystkich, to wierz mi, Neil, on nie żartuje.

ROZDZIAŁ 5

Tego dnia w szkole pani Novato odniosła wrażenie, że jej uczniowie są dziwnie spokojni i milczący. Siedzieli na pierwszych lekcjach nie psocąc ani nie rozmawiając, a potem grzecznie wyszli na dużą przerwę. Siedziała przy biurku, obserwowała dzieci przez okno i starała się odgadnąć, co w ich zachowaniu tak bardzo ją niepokoi.

Dopiero kiedy zobaczyła, jak zbierają się w odległym końcu podwórza i rozmawiają między sobą z powagą, zrozumiała: przez cały dzień ani jedno się nie roześmiało. Żadne się nawet nie uśmiechnęło.

Wstała i z jabłkiem w ręku podeszła do okna. Miała nadzieję, że to nie żadna choroba. W poniedziałek mieli jechać na wycieczkę nad jezioro Beryessa i nie chciała, by jakieś przeziębienie czy grypa zepsuły te plany.

Zainteresowała się tym, co robią dzieci. Normalnie biegały dookoła podwórza, grały w piłkę albo w berka. Dziś jednak ustawiły się w koło splatając ramiona, same z siebie. Chodziły dookoła poruszając stopami jakby w niezwykłym tańcu. Nigdy nie widziała, by tak się zachowywały, i nie wiedziała, co o tym myśleć.

Szara chmura przesłoniła słońce, podwórze skryło się w cieniu. Dzieci jednak nadal tańczyły i kołysały się. Pani Novato była niemal pewna, że słyszy, jak śpiewają.

Na podwórze wszedł pan Saperstein, nauczyciel muzyki. Pomachał pani Novato na powitanie. Miał swój przepocony kapelusz panama oraz wytarty płócienny garnitur. Przez jedno ramię przewiesił aparat fotograficzny, przez drugie futerał na flet.

— Witam, pani Novato — zawołał. — Co słychać? Zauważyła pani, że pogoda z roku na rok jest coraz gorsza? To ci Rosjanie i te ich pola magnetyczne. Powinniśmy im powiedzieć, że mają przestać albo płacić.

Nauczycielka nie odpowiedziała, zajęta obserwacją. Pan Saperstein zatrzymał się w korytarzu, po czym wszedł do dąsy.

— Co panią tak fascynuje? Mógłbym wejść do szkoły lago, a też by pani nie

zauważyła.

Pani Novato spojrzała na niego, uśmiechając się.

— Och, przepraszam. Zapatrzyłam się na to, co robi moja łąsa.

Saperstein poprawił okulary i wyjrzał na podwórze.

— Chyba tańczą, prawda? — powiedział. — Cóż w tym takiego dziwnego?

— Być może nie było to niezwykle w czasach magicznych tańców albo festiwali ludowych. Ale te dzieci nigdy w życiu nie tańczyły. Nie umieją.

— Najwyraźniej jednak umieją — wzruszył ramionami Saperstein. — Inaczej by tego nie robiły. Rzecz jest skądinąd interesująca. Kiedy tak trzymają się za ramiona i skaczą dookoła, przypomina to grecki taniec ludowy. Zdjął z ramienia aparat, starannie ustawił przesłonę, czas ostrość, po czym szybko zrobił kilka fotografii.

— Mam w domu sporo książek na temat tańców ludowych — wyjaśnił. — Kiedy wywołam zdjęcia, porównam je z dawnymi tańcami Grecji oraz Meksyku. Może te dzieci lają pamięć dziedziczną. Nigdy nie wiadomo. Pani Novato z roztargnieniem skinęła głową.

— Dziękuję panu. Chętnie się czegoś dowiem.

Tanec skończył się niemal tak szybko, jak się zaczął. Dzieci rozeszły się po podwórzu bawiąc się lub rozmawiając cicho. Dzisiaj trzymały się z dala od innych klas, a kiedy pojawiła się nauczycielka, zdawały się demonstracyjnie jej nie zauważać.

Przy murku dzielącym szkolne podwórze od przedszkola w cieniu wielkiego klonu przykucnął Toby ze swoim najlepszym kolegą, Linusem Hoplandem. Andy Beaver i Ben Nichelini przysłuchiwali się ich rozmowie, rysując patykami jakieś wzory na piasku.

— Niewiele brakowało, żeby wczoraj w nocy tata podpalił dom — powiedział Toby. — Chciał połamać starą szafę i w efekcie spalił dywan. Żałuj, że nie widziałeś, jak wygląda mój pokój.

— Może zwariował? — spytał Linus drapiąc się w rudą czuprynę.

— Mój tata mówił, że tak — wtrącił Andy. — Mój tata powiedział, że twój tata dostał hysia. Był wczoraj na policji i chciał namówić George'a Murraya, żeby łąpał

duchy.

— Nie uważam, żeby tatuś zwariował — stwierdził Toby z niezwykłą powagą. Oczy miał zaszklone, jakby myślał o czymś zupełnie innym. — Jest tylko trochę wścibski i tyle. Powinien zapamiętać, że nie należy się wtrącać do spraw, które go nie dotyczą.

— Wszyscy rodzice są tacy sami — wtrąciła Debbie Spurr podchodząc do nich z jojem w ręku. — Mama powiedziała, że jeśli dalej będę miała te straszne sny, to zabierze mnie do psychiatry. Więc teraz mówię jej, że nic mi się nie śni. Jeśli się nad tym wszystkim zastanowić, to wychodzi, że rodzice są naprawdę tępi.

— Moim zdaniem te sny są bardzo fajne — stwierdził Ben Nichelini. — Śniło mi się, że zarzynam kobiety, rozcinam je całe, brzuchy i całą resztę, a one ciągle żyją.

Debbie usiadła obok Toby'ego, opierając mu dłoń na ramieniu. Była blada i roztargniona, a w niebieskiej sukience wyglądała jak zgubione dziecko.

— Sny mają bardzo duże znaczenie — oświadczyła. — Gdyby nie one, nie wiedzielibyśmy, jacy jesteśmy ważni. A jesteśmy.

— Najbardziej podoba mi się krew — wtrącił Andy. — Czasem nie ma nic oprócz krwi i wiesz, że to jest ich krew, lożesz ją czuć, lepka i ciepła. Byliśmy silni tego dnia, gdy to

I się stało. Wiedzieliśmy, że możemy ich zabić, jeśli zechcemy. |Nie mogę się doczekać, żeby znów się zdarzyło.

— Nie wolno nam o tym mówić — upomniał Toby. — Dzas się zbliża. Zanim będziemy mogli działać razem, musimy się połączyć czarem demonów drzew. Gdzie są jaszczurki?

Daniel i John właśnie je niosą. Zebrali w nocy całe pudło. Toby spojrzął na szkolny zegar.

— Musimy się spieszyć — powiedział. — Nie mamy wiele czasu. Dziś miałem sen o dniach ostatnich, o zemście na tych, którzy mnie skrzywdzili. Ta zemsta już jest spóźniona.

Śniło mi się, że skaczemy im z drzew na karki — rzekł — Ściągaliśmy ich w dół tak, żeby stratowały ich własne konie. Śniło mi się, że ciągnęliśmy jednego z nich

dziesięć kilometrów po krzakach, lesie i kamienistym gruncie. Jego ciało było jak surowe mięso, a on wrzeszczał błagając o śmierć. Jednak pradawni poradzą sobie lepiej.

— Co myślicie o pani Novato? — spytał Andy. — Dziś rano wyglądała na zdenerwowaną.

Bo była — orzekła Debbie. — Ktoś mógłby pomyśleć, że rozrabiamy czy coś. A całą przerwę gapi się na nas przez i okno.

Nie czepiajcie się jej — powiedział Ben. — Przynajmniej kazała tacie Toby'ego, żeby się wyniósł.

— Wcale nie — zaprotestował Toby. — Powiedziała tylko, że nic nam nie jest i że te sny nie mają znaczenia.

Poprzez kłęby kurzu wzniesione stopami goniących się I dzieci zbliżali się Daniel Soscol i John Coretta, niosąc ostrożnie duże, brązowe, kartonowe pudło. Rozglądali się czujnie, czy nie obserwuje ich ktoś z nauczycieli. Podeszli do muru i położyli pudło przy pniu.

— Ile złapaliście? — spytał Toby. Jego głos brzmiał poważnie, po dorostemu. Wstał i przyglądał się, jak Daniel zdejmuje przykrywkę. Wewnątrz były jaszczurki zebrane przy drodze oraz wśród skał. Pełzały po ściankach, wspinając się jedna na drugą.

— Mamy dziesięć, jak chciałeś — odparł Daniel. Toby pomacał jaszczurki palcem.

— Dobra. Teraz zbierzcie wszystkich.

Daniel i John ruszyli dookoła podwórza w poszukiwaniu pozostałych dzieci z klasy pani Novato. Stopniowo wszystkie zebrały się w rogu, niewidoczne z okien szkoły. Toby stanął na korzeniu klonu, by móc do nich przemówić.

Dzieci stały w milczeniu, jakby oszołomione. Nie zwracały uwagi na zaciekawione spojrzenia uczniów z innych klas ani na krzyki bawiących się w złodziei i policjantów albo w berka.

— Oto rytuał — zaczął Toby — w którym połączymy się ze sobą poprzez duchy drzew, jak przykazały nam bóstwa pustynnych krain prerii. Rytuał łączy braci z gór i

lasów i braci z pustkowi. Wiąże ich tak, by mogli razem czynić swe czary, by ich moc była jednym. Mamy niewiele czasu, zacznijmy więc zaraz.

Dzieci ustawiły się w dwóch rzędach, po dziesięcioro. Daniel Soscol przyniósł kartonowe pudło, a Toby wyjął pierwszą jaszczurkę. Wiła się i wyrywała, gdy trzymał ją za ogon, a pierwsza czwórka dzieci zbliżyła się do siebie.

— Składamy ci pokłon, Ossadagowah, synu Sadogowah — szepnął Toby. — Wzywamy twoją moc, budzącą lęk za dawnych dni, zanim biały człowiek dotknął stopą naszej świętej ziemi. Wzywamy ciebie, Nashuno, i ciebie, Pa-la-kai, wszystkie demony jezior i lasów i pełzające po ziemi bestie. Wzywamy spoza najciemniejszych gwiazd tych, którzy nie mają ludzkiej postaci, i prosimy o pomoc.

Każde z czworga dzieci, Toby, Daniel, Debbie i Petra, chwyciło w usta jedną z nóg wijącej się jaszczurki. Potem, na znak Toby'ego, każde zacisnęło zęby i okaleczone ciało zwierzęcia spadło na ziemię.

Potem Debbie i Petra odwróciły się do następnej pary, i; Andy'ego i Johna. Toby wyjął z pudełka kolejną jaszczurkę i trzymał ją między nimi, raz jeszcze wypowiadając słowa wezwania. Znowu czworo dzieci zbliżyło do siebie twarze, znowu każde wzięło do ust po jednej nodze gada. Znowu zagryźli zęby, coś cicho chrupnęło i ciało jaszczurki spadło w kurz podwórza.

Andy i John z kolei stanęli twarzami do kolejnej dwójki za nimi, Toby podniósł trzecią jaszczurkę. Rytuał powtórzył się dziesięć razy, aż do końca obu szeregów. Na ziemi wiły się kaleczone ciała zwierząt. Daniel Soscol zebrał je wszystkie i włożył z powrotem do pudła.

— Połączyliśmy się przez demony drzew — podjął Toby — i nic nie może nas rozdzielić. Dzień się zbliża. Niech nas usłyszają bogowie dawnych wieków, spoza pierścieni strzegących wejść czasu i odległości. Niech użyczą nam swej potęgi, byśmy mogli dopełnić zemsty.

Pani Novato widziała przez okno, jak wszystkie dzieci zebrały się wokół Toby'ego i słuchają go z uwagą. Przyglądała się im przez chwilę, po czym przeszła do klasy obok, gdzie panna Martinez wypisywała na tablicy nazwy drzew, potrzebne jej na następną lekcję.

— Joan — powiedziała pani Novato. — Czy możesz wyrzucić na podwórze? Tylko na chwilę. Tam, koło muru przedszkola.

Joan Martinez odłożyła kredę i podeszła do okna.

— Na co mam patrzeć? — spytała.

— Na moje dzieci. Przyjrzyj się im. Jak myślisz, co robią?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami panna Martinez. — Bawią się, chyba.

— Tak, ale w co? Wydają się takie poważne. Nigdy dotąd cała klasa nie bawiła się razem. To dziwne.

Panna Martinez przyglądała się grupce dzieci jeszcze przez chwilę, po czym wróciła do tablicy.

— Nie mam pojęcia — stwierdziła. — Dzieci zawsze coś kombinują.

Po południu Neil pracował w przystani Bodega Bay. Kończył właśnie czyszczenie metalowych części „Białej Gołębicy”, gdy ze sklepu wyszedł Dave Conway.

— Neil! — zawołał. — Masz rozmowę międzymiastową. Ktoś, kto się nazywa jak „aspiryna” czy jakoś tak.

— Dzięki — odkrzyknął Neil i wyskoczył na keję. Dzień był ciepły, a niebo przymglone, choć bezchmurne. Ruszył szybkim krokiem, ocierając wierzchem dłoni spocone czoło.

W sklepie unosił się słodko-słony zapach krabów, płastug i okoni, a słuchawka telefonu była oblepiona rybimi łuskami. Podniósł ją.

— Słucham? — powiedział.

— Neil Fenner? Mówi Harry Erskine. Słuchaj, mam dla ciebie wiadomości.

— Wiadomości? Jakie?

— W większości złe. Rozmawiałem rano z Johnem Śpiewającą Skałą z Dakoty Południowej. On jest szamanem. Tyle że współczesnym. Wiesz, zna wszystkie stare zaklęcia, ale próbuje je stosować w nowoczesny sposób.

— Co powiedział?

— Że słyszał o dniu ciemnych gwiazd i jest przekonany, że wszystko, co mi mówiłeś, jest prawdą.

Neil przełożył słuchawkę do drugiej ręki.

— To wszystko? Jest pewien, że mówię prawdę? Posłuchaj, nie dzwoniłbym, gdybym miał kłamać. Nie znałbym nawet twojego nazwiska. Jeżeli o mało co nie zginąłem, to nie od własnej wyobraźni.

— Jasne, że nie — przyznał Harry. Mówił tak, jakby ssał właśnie tabletki na gardło. — O dniu ciemnych gwiazd wspominają podania przekazywane przez wszystkie chyba plemiona z całej Ameryki. Jak się zdaje, większość Indian o nim słyszała od rodziców albo dziadków, ale niewielu z nich pamięta, co miałyby ten dzień oznaczać. Za bardzo się zasymilowali, rozumiesz? Nawet Śpiewająca Skała sprzedaje na boku polisy ubezpieczeniowe.

— Nie mówił przypadkiem, co powinienem zrobić? Problem tym, że nikt mi nie wierzy, nawet własna żona. Nikt oprócz mnie nie widział drewnianego człowieka, a koszmary dzieci są, według nich, spowodowane jakąś histerią albo niestrawnością. Uważają mnie za wariata.

— Nie jesteś wariatem. Śpiewająca Skała twierdzi, że Indianie Hopi mają legendy o dniu ciemnych gwiazd, tak samo jak Siuksowie Oglala, Modokowie, Czejenowie i Wyanjdotte. Plemię Pajutów określa go jako „dzień, kiedy wielka paszcza pojawi się na niebie, by pochłonąć białe diabły”, ale ni zawsze lubili dużo gadać.

— Więc co mam robić? — chciał wiedzieć Neil. — Egzorcyzmować te manitou, czy co?

Nie za pomocą dzwonka, świecy ani Biblii. Kiedy poprzednim razem spotkałem się z Misquamacusem, przekonałem się, że religia białych nie zdoła odpędzić indiańskich demonów.

— Więc jak go wtedy zniszczyłeś?

— Trudno to wytłumaczyć. Śpiewająca Skała uważa, że mamy teraz zupełnie inną sytuację i raczej nie uda się nam powtórzyć tej samej sztuczki. Poprzednim razem Misquamacus był słaby, zagubiony i samotny. Teraz wygląda na to, że jest silny i na własnym terenie.

— Nie napawasz mnie optymizmem, Harry.

— A powinienem? Dzwonisz do mnie, przekonujesz, że dwadzieścia dwa

indiańskie duchy chcą mojej krwi, i jeszcze chcesz, żebym był optymistą?

— Przepraszam — powiedział szybko Neil. — Chodziło mi o to, że niełatwo nam będzie znaleźć jakieś wyjście.

— Słuchaj. Wylatuję z San Francisco w niedzielę rano, wcześniej nie mogę się wyrwać. Śpiewająca Skała przyleci z Dakoty Południowej i twierdzi, że będzie u ciebie najpóźniej w poniedziałek rano.

— Naprawdę przyjeżdżacie, żeby mi pomóc? Jestem strasznie wdzięczny.

— Neil — odezwał się Harry poważnym tonem. — Przyjeżdżamy, bo spotkaliśmy już Misquamacusa. Gdyby nie to uznalibyśmy cię za wariata jak wszyscy. Tamtego dnia jednak znaleźliśmy się tak blisko krainy szczęśliwych łowów, że nie chciałbym już nigdy znaleźć się bliżej. Tym razem chcę przybyć na to spotkanie uprzedzony, uzbrojony i chcę być pewny, że nie będzie miał żadnej szansy wezwania któregoś z tych demonów, które wyskakują nagle i odgryzają ci głowę.

— Żartujesz?

— Naprawdę myślisz, że to żarty?

Neil odstał na bok, by przepuścić sprzedawcę ze skrzynką świeżych, niebieskozielonych homarów.

— Nie — powiedział. — Nie myślę.

— To dobrze — stwierdził Harry. — A teraz słuchaj. Śpiewająca Skała radzi, żebyś dokładnie pilnował syna i w żadnym razie nie puszczał go nigdzie samego. Rób, co tylko chcesz, weź go na kręgle albo idźcie popływać czy cokolwiek się tam zwykle robi w Bodega Bay. Po prostu nie spuszczań go z oka. I jeszcze jedno. On nie powinien się spotykać z kolegami z klasy. Jeżeli możesz, to zaraz zabierz go ze szkoły — im szybciej, tym lepiej. Śpiewająca Skała twierdzi, że zanim tych dwudziestu dwóch czarnoksiężników będzie mogło się pojawić, muszą dopełnić jakiegoś obrzędu z jaszczurkami czy czymś takim, i muszą to zrobić wszyscy razem.

— Z jaszczurkami? — zdziwił się Neil.

— Mnie nie pytaj. O indiańskiej magii wiem mniej więcej tyle, co o szkockich tańcach ludowych. Najwyraźniej szamani robią z tymi jaszczurkami coś obrzydliwego.

— Dobrze. Zrobię, co będę mógł.

— Jeszcze coś. Jeśli uznasz, że Misquamacus naprawdę opanowuje twojego syna, jeśli chłopak zacznie mówić jak Misquamacus albo jego twarz się zmieni, dzwoń do mnie natychmiast. Jeżeli będzie całkiem źle, uciekaj stamtąd jak najdalej.

— Ale co z Tobym? Jeśli będzie źle, to co się z nim stanie?

— Trudno powiedzieć. Ma pewne szansę na ocalenie. Ale jeżeli ty i twoja żona zostanieie przy nim zbyt długo, to znajdziecie się w niebezpieczeństwie o wiele większym.

— W jakim niebezpieczeństwie? O czym ty mówisz? Na mam uważać?

— Na wszystko. Ale nie doszukuj się niczego — odparł cicho Harry. — Cokolwiek to jest, samo cię znajdzie.

Stary Doughty czekał na niego koło kei. Siedział na przednim zderzaku furgonetki Neila i palił fajkę.

— Cześć — rzucił Neil. Doughty wstał.

— Słyszałeś ostatnie wieści? — zapytał. Neil pokręcił głową.

— Jakie wieści?

— Billy Ritchie nie żyje. Myślałem, że może już wiesz. Zimny dreszcz przebiegł Neilowi po karku.

— Umarł? Jak to się stało? Wydał mi się całkiem zdrowy, łoża nogami, naturalnie.

Jego dom się zapalił — wyjaśnił Doughty. — Któryś Iz sąsiadów mówił, że uderzył piorun i cała chałupa stanęła i w ogniu.

— Piorun? Przecież od paru tygodni nie było żadnej burzy.

— Wiem. Ale tak właśnie powiedział jego sąsiad. Biedny stary Billy nie miał władzy w nogach, został uwięziony w swoim pokoju. Spalił się na węgiel razem z kotem i całą resztą.

Neil próbował przełknąć ślinę, ale gardło miał suche i szorstkie jak nylonowy dywan. Powietrze stało się nagle duszne, gorące, a brzęk takielunku łodzi brzmiał jak głos pogrzebowych dzwonów.

— Widziałem go wczoraj i rozmawiałem, tak jak z panem teraz rozmawiam.

Doughty odwrócił wzrok, zajmując się fajką.

— Wie pan coś więcej, czy to już wszystko? Doughty zmierzył go ponurym spojrzeniem.

— Wszystko? A czego jeszcze byś chciał? Sam wiesz, co się zawsze mówiło w Napa: gdzie jest Fenner, tam dzieje się coś niedobrego.

— Co to za powiedzonko?

— Jedno z tych, które opierają się na doświadczeniu. Neil stał zapatrzony w szarobłękitną powierzchnię wody,

w niewielkie fale, obmywające rybackie łódki i jachty zacumowane przy kei.

— Billy Ritchie mówił mi o dawnych dniach — odezwał się po chwili. — O czasach, kiedy żył Krwawy Fenner, o indiańskich sekretach. Opowiedział mi o Ossadagowah i paru innych demonach Indian.

Doughty wyjął fajkę z zębów i splunął do wody na trzy metry.

— Sądziś, że za dużo gadał i jeden z tych demonów podpalił mu dom? — zapytał.

— Nie ma się z czego śmiać, Doughty — odparł gniewnie Neil. — Te demony są tak samo niebezpieczne teraz, jak za dawnych czasów.

— Neil — burknął stary marynarz. — Popuszczasz wodze wyobraźni.

— Tak pan myśli? A jeśli powiem, że na własne oczy widziałem upiora, tutaj, w zatoce? I że jeden z najpotężniejszych indiańskich szamanów w historii pojawił się tej nocy żywy w moim domu?

Doughty pomyślał chwilę, po czym wyciągnął rękę i chwycił Neila za ramię.

— Wiem, jak się czujesz, Neil. Wiem, że ciężko ostatnio pracowałeś. Może jesteś w gorszym nastroju, bo biedak Billy spalił się na popiół. Ale nie poprawi ci się, jeśli dalej będziesz się bał duchów i upiorów.

Neil zmarszczył czoło.

— Rozmawiał pan z Susan? Kiedy tu była? — spytał Neil.

Doughty wzruszył ramionami.

— Wczoraj po południu, jak pojechałeś do Calistogi.

— I co mówiła? Że zwariowałem?

— Wcale nie. Tylko tyle, że się o ciebie martwi. Pytała, czy nie pracujesz zbyt ciężko przy łodziach. Powiedziałem, że nie, że moim zdaniem jesteś zupełnie zdrowy. Ale ona dalej się niepokoiła różnymi rzeczami, które mówisz, i takimi, o których myślisz. Powiedziała, że zachowujesz się jak człowiek, który nie jest całkiem w porządku. Mówię ci, ona chce cię zabrać do psychiatry.

Neil potarł dłonią policzek.

— Czy myśli pan, że miała rację? — zapytał. — Czy rzeczywiście potrzebuję psychiatry? Czy jestem chory umysłowo?

Doughty nie odpowiedział.

— No więc? — nalegał Neil. — Jestem normalny czy nie? Przebywam we śnie czy na jawie? Czemu pan nie powie, co pan o mnie sądzi?

— Nie mnie o tym wyrokować, Neil — odparł z zakłopotaniem Doughty.

— Ale jak pan myśli, do diabła, co się tu dzieje? Toby widzi duchy w długich białych płaszczach, dzieciom z jego klasy śnią się koszmary o indiańskich masakrach, a teraz Billy Ritchie ginie w pożarze ledwie dzień po tym, jak mi opowiadał o demonach czerwonoskórych. To wszystko nie jest normalne, Doughty, ale to dzieje się naprawdę i nie można udawać, że tego nie ma.

— Neil... — zaczął stary marynarz, ale zmienił zdanie i tylko potrząsnął głową.

— Co pan chciał powiedzieć?

— Do licha, Neil, musisz zrozumieć, że walczysz w przegranej bitwie. Wszyscy sądzą, że tracisz rozum. Nie uważasz, że lepiej będzie, jeśli zapomnisz o całej sprawie?

Neil odwrócił się zniechęcony. Po chwili jednak odezwał się cichym, zdecydowanym głosem:

— Proszę posłuchać... gdybym był taki jak pan, gdybym udawał, że nic się nie dzieje, to miasto spotkałaby najgorsza tragedia od początku jego istnienia. Ostrzegam, Doughty, ona się zbliża. Jest niedaleko. Sam nie chciałem uwierzyć, a nawet teraz żałuję, że wmieszałem się w to wszystko. Ale to się dzieje z winy Krwawego Fennera, mojego przodka, i dlatego nie mam wyboru. Jeśli nie będę walczył, wtedy pan, ja, Susan i tysiące ludzi zginą. Tyle wiem na pewno.

— Neil...

— To wszystko, Doughty. Nie chcę więcej rad. Niczego nie chcę. Od teraz każdy, kto mi nie wierzy, jest przeciwko mnie. Skończyłem.

Zostawił starego przy furgonetce i ruszył do „Białej Gołębicy”, by zabrać płyn oraz wiórki do polerowania.

Była noc; błękitny blask księżyca zalewał pokój. Neil przebudził się nagle. Leżał nieruchomo, nasłuchując spokojnego oddechu śpiącej obok Susan oraz lekkiego pochrapywania Toby’ego. Musiał tak leżeć, nieruchomy i czujny, ponad dziesięć minut, ponieważ w rogu okna ukazał się skraj jasnej tarczy księżyca. Było coraz jaśniej.

— Neil... — szepnął głos.

Podniósł głowę. Nie było nikogo. Księżyc odbijał się w metalowej ramie szerokiego, mosiężnego łóżka i w gałkach szuflad biurka. Nawet jednak w cieniu za szafą i we wnęce koło drzwi nie dostrzegł żadnych zjaw, żadnych duchów w długich, białych płaszczach ani upiorów z polerowanego drewna.

— Neil... — powtórzył głos.

Rozejrzał się po pokoju, wyteżył wzrok. Serce biło mu szybko, nieregularnie. Wszędzie panowały bezruch i cisza, tak samo jak wtedy, gdy się obudził.

— Gdzie jesteś? — szepnął.

— Obok ciebie — odpowiedział głos po chwili. Gwałtownie odwrócił głowę. Przy nim leżała pogrążona

w głębokim śnie Susan. Jej jasne włosy rozsypały się na i poduszce, usta miała lekko rozchylone.

— Gdzie? — spytał. — Nie widzę cię.

Wargi Susan poruszyły się ledwie dostrzegalnie, a z jej krtani wydobył się męski głos:

— Tutaj. Obok ciebie. Z powodu Quamisa nie mogę się | pokazać.

— Czy Quamis tu jest?

— Chcesz się założyć? Jest w twoim synu, jak ćma w ko-I konie. Już niedługo wyrwie się na wolność i rozłoży skrzydła.

— Kim jesteś? — tchnął Neil. — Jak się nazywasz?

— Widziałeś mnie już. Jestem Dunbar. Wyruszyłem z Sacramento w trzydziestym pierwszym. Z początku wziąłem cię za Allena, taki jesteś do niego podobny. Jak bliźniak.

— Ten z brodą, w białym prochowcu, to byłeś ty?

— Zgadza się. W tamtych dniach było ze mną dziewiętnastu innych, a z nami nasze żony i dzieci. Wapposowie zaskoczyli nas pod Las Posadas i wybili wszystkich. Allen był naszym zwiadowcą, pojechał po pomoc.

Neil przyjrzał się żonie. Wydawało się, że pogrążona jest w coś więcej niż zwyczajnym śnie. Oddychała wolno, płytko jak w stanie śpiączki. Głos mówił dalej:

— Allen ruszył po pomoc, ale nie wrócił na czas. Powiedział, że jedzie do meksykańskiego obozu dalej w dolinie i że wróci wózkiem. Nigdy nie wrócił. Wapposowie wybili nas do nogi, kobiety i dzieci także. Widziałem moją Maggie, którą strzała trafiła prosto w twarz.

— Dlaczego przyszedłeś? — spytał Neil. — Czego ode mnie chcesz?

— Jestem tutaj, ponieważ tu jestem — wyjaśnił głos. — Nie dla jakiejś przyczyny. Ciemno tu, Neil, na zewnątrz i czas nie jest tym, czym jest dla ciebie. Wszystkie chwile są jedną. Tu wciąż jest rok trzydziesty pierwszy, Neil, Wapposowie ciągle nas zabijają i zawsze będą zabijać. Ciągle czekamy, aż Allen przyprowadzi pomoc. Ciągle ginie, Neil. Głos zaczął cichnąć i zanikać.

— Dunbar — powiedział pośpiesznie Neil. — Dunbar, nie odchodź!

— Jestem tu, Neil.

— Dunbar, co wiesz o Quamisie?

Przez chwilę trwało milczenie. Wreszcie Susan poruszyła wargami.

— Quamis jest wszędzie. Zawsze był i będzie zawsze. Indianie mówili nam, że nigdy nie umarł i nigdy nie umrze. Może to tylko legenda, a może prawda. O Quamisie słyszało się od puszczy Massachusetts aż do Denver w Kolorado, a nawet jeszcze dalej. Opowiadali, że żyje w wietrze wiejącym wśród drzew Georgii i trwa na równinach na wschód od Platte River. Wielki czarnoksiężnik, mówili o nim. I nadal mówią.

Ostatnie słowa Dunbara były tak ciche, że Neil z trudem je zrozumiał. Musiał przyłożyć ucho do samych niemal ust Susan, by dosłyszeć cokolwiek w chrapliwym oddechu, jaki wydobywał się z jej płuc. Był pewien, że Dunbar powiedział jeszcze coś, czego już nie rozumiał, choć zdawało mu się, że rozróżnia słowo „pomoc”. Nie był tego pewien. Może to tylko złudzenie.

Usiadł. Księżyc ukazał się cały i nienaturalnie jasno oświetlał sypialnię. Po rozmowie z Dunbarem Neil czuł się dziwnie spokojny, jak gdyby zyskał pewność, że w swej walce z Misquamacusem nie jest osamotniony. Może to właśnie Dunbar zniszczył wczoraj płonącego, drewnianego upiora. Pamiętał przecież, że widział jakby cień białego płaszcza i dłoń wsuwającą broń do pochwy.

Wyciągnął rękę i poprawił pled tak, by okrywał nagie stopy Susan. Potem spojrzał na Toby'ego, sprawdzając, czy się nie obudził. Odkąd przenieśli go do swojej sypialni, stał się trochę spokojniejszy. Wciąż jednak mamrotał przez sen, a czasem rzucał się gwałtownie i przewracał z boku na bok.

Zesztywniał nagle. Chłopiec siedział na łóżku, patrząc na niego. Mała buzia była zupełnie biała, biała jak światło księżyca, a oczy duże i błyszczące. Nie uśmiechał się. Nie rozglądał. Twarz miał spokojną, opanowaną i pewnie dlatego tym bardziej przerażającą. Ośmioletni chłopcy śmieją się, płaczą albo okazują jakieś uczucia, myślał Neil. Dlaczego Toby tak na mnie patrzy?

— Toby — szepnął z wahaniem. Chłopiec nawet nie drgnął.

— Toby, nic ci nie jest?

W oczach Toby'ego zabłysła wrogość. Rysy jego twarzy zdawały się zmieniać i przekształcać, jakby jedna warstwa nakładała się na drugą, aż wreszcie wyglądał jak ktoś zupełnie inny. Ktoś nieskończenie bardziej stary i nieskończenie bardziej zły.

— Toby — powtórzył Neil.

Chłopiec podniósł się wolno z łóżka i jakby podpłynął ku niemu. Zatrzymał się o metr przed ojcem, po czym przemówił głosem Misquamacusa, tym głuchym, odległym głosem, który zdawał się rozbrzmiewać wewnątrz czaszki Neila, a jednak odbijał się echem przez niezmierzone odległości oraz minione dawno wieki.

— Mówiłeś z białym czarownikiem, Erskine'em — rzekł Misquamacus.

Neil wysunął stopę poza krawędź łóżka, po czym ostrożnie postawił ją na podłodze. Napiął mięśnie, gotów skoczyć na Toby'ego i powalić go. Nie miał pojęcia, czego może próbować Misquamacus, wołał jednak przygotować się na najgorsze.

— To dobrze, że z nim rozmawiałeś — oznajmił czarownik. — Przybędzie tu wraz z moim zdradzieckim bratem krwi. Wtedy przekonają się, że mój manitou jest niezniszczalny, a pragnienie zemsty trwa dłużej niż pięćdziesiąt tysięcy księżyców.

— Musisz uwolnić Toby'ego — powiedział twardo Neil. — Zostaw mojego syna w spokoju.

Chłopiec uśmiechnął się ironicznie.

— Jesteś bezsilny i nie możesz mnie stąd usunąć. Pozostanę, póki nie będę gotów. Znalazłem się w tym ciele za wskazaniem białego przewodnika, twojego przodka. A ponieważ jestem tu za zgodą twego syna, żadna magia na świecie nie potrafi mnie przepędzić.

— Zabiorę ci Toby'ego — oświadczył Neil. — Pojadę z nim do Europy. Gdziekolwiek. Byle tylko znalazł się poza twoim zasięgiem.

Toby pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

— Nie możesz mi zabrać chłopca. Jeśli spróbujesz przeszkodzić w dniu ciemnych gwiazd, zginiesz cierpiąc bardziej niż którykolwiek z białych.

Neil wstał z łóżka i stanął przed swoim synem, przerażony, ale zdecydowany na wszystko. Jeśli Harry Erskine i John Śpiewająca Skala pokonali kiedyś Misquamacusa, to musi im się to udać po raz drugi.

— Ostrzegam cię — powiedział. — Wynoś się z ciała mego syna. Jeśli natychmiast tego nie zrobisz, obiecuję, że rozerwę cię na strzępy.

Toby spojrzał na łóżko, na którym nadal spała Susan. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, po czym wyciągnął rękę i bardzo cicho wymówił:

— Duchu węża, duchu burzy, duchu chmury, bądźcie mi posłuszne.

Okno sypialni rozprysnęło się z ogłuszającym hukiem, zasypując pokój odłamkami szkła. Zawył lodowato zimny wicher, odpychając Neila na bok tak, że ten potknął się o szafkę nocną i boleśnie uderzył ramieniem w róg szafy.

Toby pozostał na miejscu. Nie poruszony huraganem raz jeszcze wyciągnął rękę.

Neil patrzył przerażony, jak prześcieradło unosi się i skręca w powrót, by owinąć się wokół Susan. Poprzez ryk burzy słyszał jej krzyk i widział, jak walczy z własną pościelą. Chciał skoczyć na pomoc, lecz straszliwy wiatr odbierał mu całą energię; droga od ściany do łóżka rozciągnęła się, a metry zmieniły w kilometry.

Ośloniwszy dłonią oczy, Neil dostrzegał zastygłą w groteskowym, wilczym uśmiechu twarz Toby'ego, jego ściągnięte wargi oraz odsłonięte zęby. Ogłuszająco huknął grom, podłoga zadrżała, aż Neil zachwiał się i upadł.

Susan krzyknęła głośniejsz z bólu i straszliwego przerażenia. W migotliwym blasku błyskawicy Neil widział jej wygięte w pałąk ciało, rozszerzone oczy oraz ręce odpychające brzeg prześcieradła. Potężny wichur szarpnął jej bawełnianą nocną koszulę, podarł na strzępy i rozrzucił po pokoju.

— Susan! — ryknął Neil próbując przeczołgać się w stronę łóżka. Potworny huragan odpychał go jednak, a uniesione podmuchem z podłogi połyskliwe odłamki szkła kaleczyły twarz i dłonie.

Pościel wydeła się przyciskając ciało Susan i niby gruba lina obdarzona własnym życiem wcisnęła się pomiędzy jej nagie uda. Ogarnięta histerią kobieta krzyczała nieznośnie wysokim głosem, słyszalnym nawet poprzez ryk burzy i wichru. Prześcieradło trzymało ją jednak mocno, przyciskając ramiona do materaca i rozsuwając szeroko nogi.

— Toby! — zawył Neil. — Toby, to twoja matka! Twoja matka!

Ale chłopiec odwrócił się, uśmiechnął złośliwie, po czym jeszcze raz wyciągnął rękę w stronę łóżka.

— Toby! — ryknął Neil.

Pościel wsunęła się na Susan obrzydliwymi szarpnięciami, przywodzącymi na myśl zad kopulującego psa. Neil poczuł, że na chwilę traci świadomość. Kiedy znowu otworzył oczy, to działo się nadal i działo się naprawdę. Jego Susan, jego żona, była na jego oczach gwałcona przez własną pościel.

Krzyknęła. Neil dostrzegł ciemną plamę krwi na wplątanej pomiędzy jej nogi płótnie. Zaczęła więc się, drzeć jak w ataku epilepsji, lecz pościel nie przerywała swych gorączkowych ruchów. Raz jeszcze zajaśniała oślepiająco błyskawica, strzaskane

ramy okienne rozsypały się po pokoju. Potem, nagle, zapadła ciemność, całkowita i absolutna, a wiatr zamarł z budzącym dreszcz świstem.

Neil wstał z trudem. Przez wybite okno powoli zaczynał się sączyć blask księżyca, z początku blady, słaby, lecz wkrótce równie jasny i czysty jak poprzednio. Potykając się, Neil podszedł do łóżka, na którym, pod zmiętą pościelą, leżała jęcząca i mamrocząca coś bez tchu Susan. Przytulił ją mocno, gładził jej włosy, całował chłodne czoło.

— Susan — powtarzał przez łyzy. — Boże, jak mi przykro. Susan!

Otworzyła oczy, poznała go i wybuchnęła nieopanowanym szlochem. Tulił ją do siebie, próbował uspokoić, jednocześnie szukając wzrokiem Toby'ego. Chłopiec stał ciągle obok łóżka, a jego oczy lśniły złośliwą uciechą.

— Ty sukinsynu — wycedził Neil przez zaciśnięte zęby. Wyraz twarzy Toby'ego nie zmienił się ani trochę.

— Nie spotkało jej nic gorszego niż to, co biali kawalerzyści robili naszym córkom za dawnych dni — oznajmił swym głuchym głosem. — Było o wiele bardziej łaskawe niż to, co uczynili z Wysokim Bykiem pod Summit Springs.

— Niech cię diabli! Susan nie była pod Summit Springs!

Nigdy w życiu nie spotkała Indianina z wyjątkiem kilku, którzy latem przychodzą nam pomagać. Nie możesz karać następnych pokoleń za czyny, dokonane w odległej przeszłości! Tamto się skończyło! Już za późno!

Toby wolno pokręcił głową.

— Dla Indian, którym skradziono ziemię, których zabijano, ta sprawa nigdy się nie skończy. Teraz żyją w rezerwatach pamiętając, co im uczyniono. Nigdy nie zapomną.

— Niektórzy już zapomnieli — odparł Neil, obejmując mocniej Susan. — Niektórzy nie wiedzą nawet, czym ma być dzień ciemnych gwiazd.

— To bez znaczenia — oświadczył Misquamacus. — To, że żyją jak wygnańcy na własnej ziemi, wystarczy, by im przypomnieć. I żaden nie zapomniał Misquamacusa. Jego imię jest tajemnicą Indian, którą chowają w sercach od ponad stu lat. Teraz zostanie objawione i jeszcze nigdy biali ludzie tak gorzko nie żalowali poznania indiańskich tajemnic, jak pożąują teraz.

Twarz Toby'ego zdawała się zmieniać. Wrogi błysk w jego oczach gasł niby wypalony knot lampy. Podniósł ręce i upadł bezwładnie na podłogę. Neil szybko, lecz delikatnie, ułożył Susan i chrząszcząc po odłamkach szkła wstał, by go podnieść. Buzia chłopca była blada, oddychał z trudem, ale Misquamacus najwyraźniej nie zrobił mu krzywdy.

— Toby — szepnął Neil. — Boże, biedny maluch. Ułożył chłopca w jego własnym łóżku, przykrył aż po szyję i wrócił do Susan. Przeszła szlochać; leżała nieruchomo, wpatrując się w niego lśnącymi, zdumionymi oczyma.

— Co się stało? — spytała wstrząśnięta. — Co się ze mną działo?

Neil spojrział na zaplamione krwią prześcieradło. W ataku furii i rozpaczycy ściągnął je z łóżka, by gołymi rękami rozerwać na kawałki. Nie szło mu łatwo. Pościel była z czystej bawełny, podwójnie obrębiona. Wreszcie, zdyszany, cisnął je w kąt pokoju.

— Neil, tu był mężczyzna — powiedziała drżącym głosem Susan. — Wysoki mężczyzna z piórami i naszyjnikami. Nic na sobie nie miał.

Neil usiadł obok i przytulił ją do siebie.

— To nic. To tylko zły sen.

— Ale on wydawał się taki realny... Czułam nawet jego zapach. Był wysmarowany jakimś olejkiem. Wszedł na mnie. Próbowałam go odepchnąć... Neil, on się na mnie położył!

— Susan, nic się nie stało — próbował ją uspokoić. — To tylko koszmarny sen, nic więcej.

Wciąż oszołomiona zmarszczyła brwi, wsunęła dłoń pomiędzy uda, po czym przysunęła palce do oczu. Były ciemne, lepkie od krwi. Spojrzała na męża z grozą i rozpaczą. Jej oczy błagały, by wszystko wyjaśnił, by zapewnił, że to, co się zdarzyło, było tylko strasznym snem. I aby to udowodnił.

— Boli mnie — jęknęła. — Boli mnie w środku. Zmęczony, rozmasował palcami powieki.

— Sprowadzę doktora Crowdera — powiedział. — Spróbuj się uspokoić. Nie wstawaj. To na pewno nic poważnego.

Przeszedł przez pokój, rzucając szybko okiem na Toby'ego. Chłopiec spał mocno,

rumieniec powracał już na jego policzki. Neil zamknął za sobą drzwi. Najciszej jak mógł zszedł schodami na dół. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer doktora.

Doktor Crowder zapiął pasek płaszcza i włożył kapelusz. Neil podał mu znoszoną, skórzaną torbę, starą i wierną jak pies.

— Dziękuję, że pan przyjechał — uśmiechnął się. — Nie wyspał się pan przez nas.

Lekarz skrzywił się niechętnie.

— Czy to coś poważnego? — spytał Neil. — To znaczy, wie pan, czy ona nadal będzie mogła mieć dzieci?

Doktor Crowder pokiwał głową.

— Błony śluzowe pochwy zostały naruszone, to wszystko. Tego typu urazy wiążemy zwykle z brutalnym gwałtem.

— Czy Susan powiedziała panu, co się stało? Doktor odwrócił wzrok.

— Niezbyt dokładnie. Uważa, zdaje się, że wybuchł między wami jakiś gwałtowny spór.

Neil zeszywniał.

— Spór? O czym pan mówi? Nie było żadnych sporów! Nie mogła tak powiedzieć!

— Nie chciałbym wypowiadać opinii zamiast niej — odparł Crowder. — Przyzna pan jednak, że w pokoju panował niejaki rozgardiasz.

Neil patrzył na niego oszołomiony.

— Chce pan wiedzieć, od czego? Od pioruna. Właśnie, od pioruna.

Doktor unikał jego spojrzenia.

— Rozumiem — mruknął ponuro.

Neil chwycił go za ramię.

— Doktorze! — krzyknął. — Pan mi nie wierzy, prawda? Lekarz nie odpowiedział.

— Myśli pan, że zwariowałem — stwierdził Neil. — Myśli pan, że wczoraj próbowałem podpalić dom, a dziś zgwałciłem własną żonę. Tak pan uważa, prawda? Że jestem wariatem!

Crowder próbował się wyrwać, Neil jednak chwycił go za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

— Myśli pan, że tracę rozum, prawda? Widzi pan pokój w nieładzie, więc natychmiast zakłada, że mieliśmy awanturę z Susan. Widzi pan krew na prześcieradle i uważa, że ją napastowałem. Nie dopuszcza pan nawet myśli, że mogę mówić prawdę.

— Prawdę? — spytał lekarz. — Jaką prawdę?

— Taką, że Toby został opanowany przez najpotężniejszego indiańskiego szamana w historii tego kontynentu. Taca, że wezwał błyskawicę, by zniszczyła pokój, i wicher, przy którym nie można było nawet ustać. Taką, że własna pościel zgwałciła Susan w zemście za to, że biali ludzie gwałcili indiańskie kobiety.

Doktor Crowder patrzył na niego bez słowa. Cisza przedłużała się. Zegar ścienny odmierzył i wybił trzecią w nocy. Wreszcie lekarz otworzył kuchenne drzwi.

- Niech pan popatrzy, Neil — powiedział. — Co pan widzi?

Neil z początku nie odwracał głowy, lecz po chwili spojrzał z ukosa.

— Widzę swoje podwórze — mruknął ponuro.

— Zgadza się — przytaknął Crowder. — Czy pada tam deszcz?

Neil pokręcił głową.

— A śnieg? Słyszysz pan grzmoty? Widzi pan błyskawice? Czy wieje wiatr?

— To ciepła noc.

— Otóż to. Ciepła, spokojna noc. Ani piorunów, ani wiatru. Nawet lekkiej bryzy. A pan chce mnie przekonać, że burza zniszczyła sypialnię.

— To były czary! — krzyknął Neil. — To wszystko sprawiły czary.

Doktor Crowder patrzył na niego z zakłopotaniem. Uścisnął mu jednak dłoń i powiedział:

— Wpadnę rano zobaczyć, jak się czuje Susan. Teraz śpi. Dałem jej proszek. Zrobi pan rozsądnie, jeśli sam też spróbuje się trochę przespać. Mówię poważnie, Neil. Jest pan chyba przemęczony.

Niewiele brakowało, by Neil wybuchnął znowu. Opanował się jednak.

— Spróbuję, doktorze — obiecał. — Do zobaczenia rano. Zamknął za Crowderem

drzwi, przysunął sobie krzesło i usiadł. Tkwił tak nieruchomo prawie dziesięć minut, wspominając wszystkie szczegóły tej koszmarnej nocy. Raz jeszcze, ze straszliwą wyrazistością, widział urywane ruchy pościeli Susan i wyraz złośliwego tryumfu na twarzy Toby'ego. Zegar wybił wpół do czwartej. Neil podniósł się, by wstawić filiżankę do zlewu. Nagle, ku swemu przerażeniu, zdał sobie sprawę, że ktoś — lub coś — mu się przygląda. Obejrzał się nerwowo i dostrzegł czyjaś bladą twarz, przyciśniętą do okiennej szyby.

ROZDZIAŁ 6

— Chyba nie przestraszyłem cię za bardzo — odezwał się Harry Erskine.

Neil, który wciąż nie mógł dobrać się do siebie, uśmiechnął się niepewnie.

— Byłem zdenerwowany. I nie oczekiwałem cię przed południem.

Harry zamieszał kawę i odłożył łyżeczkę na spodek.

— Załatwiłem wszystkie sprawy, a moja randka dostała ospy, więc wsiadłem do pierwszego samolotu w tę stronę. Leciałem nim tylko ja i pięćdziesięciu rabinów, uznałem zatem, że po prostu musimy dotrzeć bezpiecznie.

— Wynająłeś samochód na lotnisku?

— Stoi za twoim podwórzem. Żółty pinto z wyślizganym wałem korbowym. No, ale czego można oczekiwać za cztery dolary dziennie?

Harry był trzydziestopięcioletkiem o okrągłych ramionach, z wyraźnym upodobaniem do garniturów nie wymagających prasowania oraz koszul, które mogą po prostu ociekać nad wanną. Wyglądałby całkiem dobrze, gdyby nie to, że jego rysy twarzy jakoś nie mogły się ze sobą pogodzić. Nos miał odrobinę zbyt duży, oczy trochę zbyt głęboko osadzone, podbródek dość mocno zarysowany, lecz zbyt obfity. Miał nieco przerzedzone mysiobrązowe włosy, a na twarzy permanentną bladość typową dla Dziesiątej Alei.

— Może coś zjesz? — spytał Neil. — Usmażę ci jajka.

— Nie... zostawmy to na rano. Dość już dzisiaj zrobiłeś, nawet bez gotowania.

Neil usiadł za stołem.

— Więc jesteś jasnowidzem? — zapytał. — Nie sądziłem, że można wyżyć z przepowiadania przyszłości.

— Nie można — zapewnił go Harry. — Robię różne fuchy dla mojej dawnej agencji reklamowej. Ale wolę być własnym szefem, rozumiesz, a w jasnowidzeniu jestem całkiem niezły. Odczytuję przyszłe losy starszych dam z kart tarota, trzymam za ręce młode panienki i mówię im, co widzę w ich dłoniach. Zwykle przepowiednia

zawiera tanią włoską kolację w moim towarzystwie, a następnie wieczornego drinka w moim mieszkaniu.

— Chyba nie traktujesz tego zbyt poważnie? Harry spojrzał na niego z uwagą.

— Misquamacusa traktuję poważnie. Czym zarabiam na życie, to głupstwo. Misquamacus i duchy, które można przywołać, to zupełnie inna sprawa.

Neil nalał sobie kawy i wypił kilka łyków.

— Nie rozumiem tylko, w jaki sposób Misquamacus mógł powrócić, jeśli go już raz zniszczyliście.

— O szczegóły musisz spytać Johna Śpiewającą Skałę — odparł Harry. — Na ile ja to rozumiem, manitou jest niezniszczalny jak duch. Żyje wiecznie, nawet najpotężniejsi bogowie nie potrafią go unicestwić. W walce z takim odrodzonym manitou jak Misquamacus można mieć tylko nadzieję, że uda się przełamać magię, wiążącą go z fizyczną postacią. Kiedy spotkaliśmy się z nim po raz pierwszy, odrodził się w ciele pewnej młodej dziewczyny, którą znałem. Naprawdę się odrodził, jak embrión. Zdołaliśmy go jednak zniszczyć wykorzystując elektryczną moc komputera. Nie umiem ci tego lepiej wyjaśnić.

— A teraz? — zapytał Neil. — Co on zrobi Toby'emu? Harry pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Rozmawiałem ze Śpiewającą Skałą, on miał się skonsultować z kilkoma starymi szamanami mojego plemienia. Widzisz, cokolwiek Misquamacus teraz obi, na pewno wyciągnął wnioski z poprzedniego razu. Wtedy odrodził się z siedemnastego wieku i chyba był to jego pierwszy przeskok w czasie. Był samotny, zaskoczyliśmy go i kiedy już wymyśliliśmy, jak się go pozbyć, siły były w miarę porównywalne. Ale teraz... Bóg jeden wie. Zdaje się, że znalazł sobie kupę przyjaciół i wymyślił, jak zrealizować reinkarnację z pominięciem okresu życia płodowego.

Zapewne rozwija się w umyśle Toby'ego — stwierdził eil. — Patrę na niego i widzę, że nie jest już moim synem.

— Misquamacus to potężny facet — przyznał Harry. — Jest także twardy i mściwy. Gdybym nie wiedział, że i tak przybędzie, by mnie odszukać, trzymałbym się tak daleko stąd, jak to tylko możliwe. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. Neil dopił

kawę, wstał i ustawił filiżanki w zlewie.

— Chciałem ci podziękować, że przyleciałeś — powiedział. — Znam sporo ludzi, którzy by się nie przejęli. Na przykład połowa tego cholernego miasteczka.

— Nie było ci tu łatwo, co?

— Myślałem, że zwariowałem. A dzisiaj, po tej historii z podścielą, będą wierzyć, że napastowałem Susan. Jeśli szybko czegoś nie zrobię, skażą mnie albo przepędzą. Nawet Susan mi nie wierzy.

Harry wyjął paczkę miętowych wykałaczek i wyciągnął jedną.

— Chcesz? — zaproponował.

— Nie, dziękuję.

— Wydaje mi się, że to pomaga rzucić palenie — oświadczył, czyszcząc pracowicie zęby. — Podobno czyni też cuda z rachunkami od dentystów.

— Chcesz zobaczyć Toby'ego? — spytał Neil.

— Pewnie. Jest teraz na górze?

— Śpi. Misquamacus postanowił chyba zachować siły na potem.

— Co z twoją żoną?

— Lekarz dał jej środek nasenny. Nie obudzi się. Harry odłożył wykałaczkę i wstał.

— No, dobrze — uśmiechnął się blado. — Czuję się jak święty Jerzy, który się właśnie szykuje do rewanżowego spotkania ze smokiem.

Neil otworzył drzwi na korytarz i poprowadził schodami na górę. Było ciemno, cicho, słyszeli jedynie tykanie dziadkowego zegara.

— Czy mógłbyś najpierw pokazać mi szafę? — szepnął Harry. — Tę, z której wyszedł drewniany człowiek?

Weszli do pokoju Toby'ego. Neil zabił okno arkuszem sklejk, wewnątrz panował więc mrok, a w powietrzu ciągle unosił się zapach spalenizny. Harry rozejrzał się uważnie, po czym zbliżył do orzechowej szafy.

— To ta?

Neil skinął głową.

Harry otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza.

— Spotkaliśmy się poprzednio z czymś podobnym, choć nie tak dramatycznym. Misquamacus ukazał swoją twarz na blacie stolika z wiśniowego drewna, na naszych oczach. Napędził nam wtedy strachu.

Zamknął drzwi szafy.

— Widzisz, on jest Indianinem z lasów. Pochodził z Manhattanu, inne życie spędził nad Miskatonic River, niektóre w lasach Massachusetts. Był Algonkinem, Wampanaugiem i jeszcze paroma innymi. Śpiewająca Skała wie o nim więcej. Po tym jak odesłaliśmy go w zaświaty, zaczął badać jego historię.

Neil przesunął palcami po włosach.

— Do diabła, nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię nie odnalazł.

— Nie mów hop — ostrzegł Harry. — Z tego, co dowiedziałem się o Misquamacusie poprzednim razem, diabeł może być całkiem przyjemną alternatywą.

Wyszli z pokoju Toby'ego i cicho przemaszerowali korytarzem do sypialni. Neil podniósł palec do ust, po czym otworzył drzwi.

Toby i Susan spali mocno. Księżyc już zaszedł, a zaległy pokój. Tykający spokojnie w rogu zegar z fosforyzującą tarczą wskazywał trzecią trzydzieści.

— To twój chłopak? — spytał Harry, kucnąwszy cicho przy łóżku Toby'ego. Dotknął zarumienionego policzka chłopca, pogładził rozczochrane włosy. Toby poruszył się lekko, jego mała dłoń rozwarła się nieco, lecz oddech pozostał stał równy i spokojny.

— Problem w tym, że to jest wojna — szepnął Harry. — To nie sprawa z jednym złym facetem, który próbuje wyjść na swoje. To naród czerwonoskórych, który stara się zemścić na narodzie białych. Prawdziwa wojna.

Wstał nie spuszczając z Toby'ego wzroku. — A we wszystkich wojnach najsmutniejsze jest to, że najbardziej cierpią niewinni ludzie.

Neil był coraz bardziej zmęczony.

— Może chciałbyś się trochę przespać? — zaproponował. — W dużym pokoju jest kanapa. Znajdę ci parę koców.

— Chętnie — zgodził się Harry. — Próbowałeś zdrzemnąć się w samolocie,

którym leci pięćdziesięciu rabinów? Cały czas gadali, jak to wybiorą się zobaczyć Caroline Doda. Czasem się cieszę, że moja matka była katoliczką

Neil podszedł jeszcze do Susan, by sprawdzić, czy jest jej wygodnie i ciepło. Pochylił się, przez chwilę słuchał równego rytmu oddechu, nie próbował jej jednak pocałować ani nawet dotknąć. Czuł się tak, jakby ją zawiódł, jakby nie potrój jej należycie chronić. Zdawało się, że jedynym sposobem odpokutowania tej winy jest zniszczenie Misquamacusa; a tym samym uwolnienie własnego domu i rodziny od straszliwej klątwy, która na nich spadła.

Harry czekał na niego przy drzwiach; ciemna sylwety wyraźnie widoczna w padającym z korytarza świetle.

— Nic ci nie jest? — zapytał. — Wygląda na to, że tobie też przydałoby się trochę snu.

— Szczerze mówiąc — Neil raz jeszcze obrzucił sypialnię uważnym spojrzeniem — czuję się wykończony.

Zamykał już drzwi, gdy nagle Toby poruszył się w łóżku. Jęknął coś i zdawało się, że walczy z własną kołdrą. Harry obejrzał się, podnosząc pytająco brwi.

— Chyba wszystko w porządku — wyjaśnił Neil. — Odkąd zaczęły się te koszmary, jest bardzo niespokojny.

Harry burknął coś nerwowo. Nie spuszczał oka ze śpiącego chłopca, póki Neil nie zamknął za sobą drzwi. Byli już w połowie korytarza, gdy poczuli jakiś dziwny, zimny podmuch, jak gdyby pod dywanem przepłynęła lodowata morska fala. Dziadkowy zegar przestał tykać, a w powietrzu rozszedł się ostry zapach ozonu.

— On wie, że tu jestem — odezwał się głucho Harry.

— Skąd może wiedzieć?

— Wie i tyle. Na to właśnie czekał. Neil spojrział na gościa z niepokojem.

— Mam tylko nadzieję, że jesteśmy dość silni, by z nim walczyć — powiedział chrapliwie. — Że mamy dość siły.

W niedzielne popołudnie, suche i ciepłe, gdy wiatr podnosił tumany kurzu i śmieci, Harry, Neil i Toby wyruszyli do Bodega, by odwiedzić kolegów Toby'ego.

Przez cały ranek chłopiec był dziwnie cichy i blady, lecz nie protestował, gdy ojciec wsadził go do starego pinto prosząc, by pokazywał drogę do domów przyjaciół ze szkoły. Dzisiaj był tylko Tobym, milczącym wprawdzie i dziwnie roztargnionym, ale bez śladu wrogiej osobowości Misquamacusa. Gdyby Neil nie wiedział, jakie są powody jego zachowania, uznałby, że chłopiec złapał grypę.

— Śpiewająca Skala stwierdził, że to bardzo ważne przyjrzeć się z bliska przeciwnikowi — oświadczył Harry rzucając przez okno wypalonego do połowy papierosa. — Mówił, że powinniśmy poznać imiona, totemy, cokolwiek, co pomoże nam ustalić tożsamość tych dwudziestu dwóch szamanów. Niektórzy z nich, nawet ci najślawniejsi, mieli swoje słabe punkty, które uda się może wykorzystać.

— I myślisz, że koledzy Toby'ego naprawdę zechcą nam Jcoś powiedzieć?

— Oczywiście, że nie — pokręcił głową Harry. — Ale musimy spróbować. Jeśli uda się nam odkryć choćby jedno imię, to już będzie sukces.

— Tutaj — rzekł bezbarwnym tonem Toby. — To dom Andy'ego Beavera.

Zaparkowali przed małym, drewnianym domkiem ze zbyt dużą werandą i porośniętym rajgrasem podwórzem, po którym dumnie stapały kury. Henry Beaver, w dżinsach na szelkach, siedział przed domem czytając „San Francisco „Sunday Examiner”, a Andy skakał po trawie z plastikowym pistoletem w rękę, udając trapera.

Harry wysiadł z samochodu i oparł się niedbale o dach.

— Dzień dobry! — zawołał.

Mężczyzna złożył gazetę, upuścił ją na podłogę i splótł ramiona na swym potężnym brzuchu.

— Dzień dobry — odpowiedział. Neil wysiadł także, bardziej ostrożnie.

— Cześć, Henry — odezwał się z zakłopotanym uśmiechem.

Henry Beaver nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Neil Fenner — stwierdził. — Ciągle gonisz duchy? Złapałeś już jakiego?

Harry zamknął drzwi forda, podszedł do werandy i oparł się o poręcz, składając brodę na skrzyżowanych ramionach. Z wyrazem powagi na twarzy wpatrywał się w gospodarza. Beaver, niepewny i zaniepokojony, spojrzał na Neila oczekując jakiegoś wyjaśnienia, lecz tamten zachował milczenie.

— Panie Beaver — zaczął Harry. — Przyleciałem w nocy z Nowego Jorku, ponieważ dowiedziałem się o problemach, jakie ma pan Fenner w Bodega Bay.

Henry Beaver zlustrował go wzrokiem.

— Nie jesteś pan chyba z FBI? — chciał się dowiedzieć.

Harry pokręcił głową.

— Jestem badaczem zjawisk związanych z widmami i sprawami nadnaturalnymi. Okultystą, jeśli pan wie, o co mi chodzi.

— Niezupełnie — mruknął podejrzliwie Henry Beaver. — Czy to ma jakiś związek z badaniem oczu?

— Myśli pan o okuliście, panie Beaver — wyjaśnił Harry układnym tonem sklepikarza. — Ale niewiele się pan pomylił. Badam niezwykle rzeczy, które ludzie widują, i staram się ustalić, czy są prawdziwe. Rozumie pan?

— Chcesz pan powiedzieć: duchy i różne podobne głupoty?

— Tak, jeśli w ten sposób pan to ujmuje.

Henry Beaver powoli pokręcił głową, podnosząc gazetę.

— Przykro mi, ale nikt w okolicy nie widział żadnych duchów... z wyjątkiem tego tu Fennera — skinął w stronę Neila. — Prawda jest taka, że w tym mieście nie wierzymy w takie bzdury. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Harry nie dał się zbyć tak łatwo. Wszedł po schodkach na werandę i przysiadł na skraju ogrodowego krzesła.

— Panie Beaver — zaczął. — Sądzę, że zbyt pochopnie wypowiada pan swoje opinie. Ostatnio zdarzyło się sporo wiarygodnych przypadków ukazania się duchów dzieciom w wieku szkolnym w całej Kalifornii, szczególnie w tych okolicach. Bylibyśmy bardzo zainteresowani sprawozdaniami z pierwszej ręki.

— Wy? — spytał Henry Beaver. Nadal nie wydawał się przekonany.

— Ludzie, dla których pracuję. Amerykańska Liga Badań Okultystycznych.

— I co?

— Istnieje możliwość, że pański syn, Andy, widział coś, o czym panu nie powiedział. Mógł zobaczyć ducha lub jakiś rodzaj widma i wolał o tym nie mówić. Może się bał, że będzie się pan z niego naśmiewał. A może zwyczajnie zapomniał.

— Andy? — zdziwił się pan Beaver. Był coraz mniej pewny siebie.

Zgadza się, Andy. A najprzyjemniejszą cechą naszych badań jest to, że płacimy sto dolarów za każdą potwierdzoną obserwację.

Harry wyjął swój stary, skórzany portfel i wyciągnął z niego dziesięciodolarowy banknot, którym pomachał przed nosem rozmówcy. Neil odniósł wrażenie, że były to jego ostatnie pieniądze.

— Widzi pan ten papierek? — uśmiechnął się Harry. Może go pan mieć i jeszcze dziewięć takich samych, jeśli Andy zda nam relację z obserwacji, którą uznamy za autentyczną.

Oczy Henry’ego Beavera czujnie śledziły poruszający się banknot.

— Andy! — zawołał nie odwracając głowy. — Chodź tu na chwilę!

Zdyszany Andy wyjrzał ostrożnie zza rogu. Wciąż trzymał swój plastikowy pistolet. Spojrzał niepewnie na Harry’ego, potem na ojca, który skinął na niego ręką.

— Ten pan chce ci zadać kilka pytań — wyjaśnił. — Ty tylko odpowiedz najlepiej jak potrafisz. Andy obejrzał się na samochód.

— Dzień dobry, panie Fenner — zawołał i szybko pomachał ręką Toby’emu. Harry przyglądał się temu uważnie, szukając czegoś specjalnego, jakiegoś sygnału, ale było to chyba zupełnie zwyczajne powitanie dwóch szkolnych kolegów. Wziął Andy’ego za ramię i zaprowadził w róg werandy. Przysiadł na poręczu, a chłopiec stał przed nim z rękami w kieszeniach dżinsów, mrużąc oczy od słońca.

— Toby mi mówił, że miewasz ostatnio koszmarne sny — zaczął Harry. — O krwi i zabijaniu.

Andy nie odpowiedział. Odwrócił tylko głowę.

— Mówił, że śnił ci się Allen i tamten dzień, kiedy Wapposowie napadli Dunbara i osadników w Conn Creek.

Andy spojrzał na niego znowu, lecz nadal nie odpowiadał.

— Toby twierdzi, że jesteś jednym z dwudziestu dwóch. Wpatrzone w Harry’ego oczy chłopca stały się nagle dziwnie błyszczące. Bładoniebieskie z natury, pociemniały nagle i powiększyły się tak, że trudno było uwierzyć, iż nadal należą do ośmio- czy dziewięcioletka. Zdawały się nieskończenie mądre, wszechwiedzące i

wrogie.

— Ty jesteś Harry Erskine — powiedział Andy. — Długo na ciebie czekaliśmy.

— Ty i Misquamacus? — spytał Harry, starając się zachować spokój. Jedno z kurcząt dostało się na werandę, podniosło z zaciekawieniem głowę, po czym wróciło na podwórze.

— Niczego się nie do wiesz—warknął Andy. —Wiem, po co przyszedłeś, ale nie dowiesz się niczego. Dzień się zbliża i nie zdołasz go powstrzymać.

— Dzień ciemnych gwiazd?

— Dzień, kiedy wielka paszcza pojawi się na niebie.

Harry wyjął papierosa i zapalił go grawerowaną zapalniczką Dunhilla. Dostał ją od Johna Śpiewającej Skąły w Dzień Dziękczynienia. Wydmuchując dym przyglądał się chłopcu z uwagą, próbując dociec, jaka indiańska osobowość kryje się w mózgu dziecka. Z pewnością nie był to potężny umysł Misquamacusa, jeśli mógł sądzić według swoich dotychczasowych spotkań z największym spośród czarnoksiężników. Był to jednak umysł imponujący, dumny i pełen godności. Harry nie wątpił, że mógłby całkiem sam zetrzeć ich wszystkich z powierzchni ziemi — jego, Neila Fennera, Śpiewającą Skąłę oraz połowę mieszkańców Bodega.

— Chcecie wezwać Ossadagowah?

Andy nie odpowiedział. Patrzył tylko uparcie.

— Z tego, co słyszałem, będzie to dość ryzykowne, i to dla wszystkich w okolicy, nie wyłączając Indian — stwierdził Harry. — Czy to Ossadagowah jest tym potężnym demonem, którego nikt nie potrafi odesłać do gwiazd? Który wraca na zewnątrz jedynie z własnej woli?

— Przeceniasz swą wiedzę, biały człowieku — odparł chrapliwie Andy. — Lecz jest ona niby ziarenko piasku wśród pustyni. Nie pomoże ci, tak jak nie pomoże twemu przyjacielowi, zdrajcy Śpiewającej Skale.

— Kto wie? — Harry wzruszył ramionami. — Raz już pobiliśmy Misquamacusa.

— Niczego nie osiągnęliście. Wasz czyn sprawił tylko, że jest on jeszcze potężniejszy. Tym razem powróci w pełni sił przed śmiercią zrozumiecie, czym jest prawdziwa magia. Harry przez chwilę w milczeniu wydmuchiwał dym papierosa.

— W porządku — odpowiedział wreszcie. — Czuję się ostrzeżony. Dzień ciemnych gwiazd się zbliża i wykończycie nas wszystkich. Przynajmniej tak wam się wydaje.

Andy uśmiechnął się nieprzyjemnie. Odwrócił lekko głowę tak, by widzieć wypożyczonego pinto i skrzyżował ręce na piersi.

— An-hut-ko, an-hut-ko, an-hut-ko — powtórzył trzykrotnie.

Harry także się obejrzał. Spod kłapy wozu i tylnych błotników zaczął wydobywać się dym.

— Neil! — krzyknął z całych sił. — Zabierz Toby'ego! Neil, zdumiony i zaskoczony, odchylił przednie siedzenie i chwycił syna na rękę.

— Uciekaj! — krzyknął Harry.

Henry Beaver podniósł się z krzesła i patrzył na Harry'ego z tępym zdziwieniem. Rozległ się trzask ognia i płomienie objęły chłodnicę samochodu.

— Ten cholerny wóz się pali — stwierdził zdumiony Beaver. — Nie możesz pan palić swojego cholernego wozu przed moim domem.

Zabrzmiała stłumiona, głucha eksplozja. Odłamki samochodu zawirowały leniwie w powietrzu, ciągnąc za sobą smugi ognia i dymu. Sprężyna z siedzenia uderzyła Harry'ego w ramię, długi kawałek zderzaka poszybował nad podwórkiem, lądując na dachu domu.

Cała piątka w milczeniu obserwowała dopalające się szczątki. Wyjrżeli też sąsiedzi, a po chwili pojawił się jakiś człowiek z gumowym węzem i strumieniem wody ugasił ostatnie płomyki.

Oszołomiony Neil podszedł do werandy, wciąż trzymając Toby'ego na rękach. Chłopiec zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na wypadek. Nawet kiedy znalazł się obok Andy'ego, nie zdradzał zwykłego dziecięcego podniecenia ani chęci omówienia z kolegą niecodziennego wypadku.

— Co się stało? — zapytał Neil. — Co się tu dzieje, do diabła?

Harry przetarł powieki i rzucił Andy'emu ironiczne spojrzenie.

— Nic — odparł. — To tylko jeden z tych drobiazgów, z którymi Ford nie potrafi sobie jeszcze poradzić.

— Ale przecież cały samochód...

— Neil — poprosił Harry. — Zapomnij o tym. Porozmawiamy, kiedy będziemy sami.

Andy zdawał się teraz lekko oszołomiony.

— Czy ten wóz wybuchnął? — zapytał. — Rany, wybuchnął?

Harry pogłaskał jego jasną czuprynę.

— Tak, chłopcze. Wybuchnął. To taka sztuka, której używam, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Henry Beaver podszedł bliżej, drapiąc się przez podkoszulek.

— Nie chce pan chyba zostawić tego wraka tutaj? I co z moją stową?

— Przykro mi, panie Beaver — westchnął Harry. — To, co widział pański syn, było bardzo odległe od autentycznej mistycznej wizji. Tak dalekie, że właściwie to on jest mi winien pieniądze.

— On ma panu zapłacić? — spytał niepewnie Beaver.

— Owszem. Ale jakoś się dogadamy. Powiedzmy, usunie pan stąd ten wrak i zapomnimy o całej sprawie.

Stali wszyscy w milczeniu. Nikt się nie roześmiał, Andy spojrzał na Harry'ego, a w jego dziecięcych oczach odbijały się niezbadane głębie pradawnych, mrocznych tajemnic.

Toby także podniósł wzrok. Jego oczy wydawały się jeszcze I bardziej dzikie i wrogie. To były oczy Misquamacusa — tego, który potrafił wezwać demony, nie znające ludzkiej postaci.

— Neil — powiedział Harry. — Lepiej się stąd wynośmy.

W domu, gdzie dojechali taksówką, na kuchennym stole czekała na nich wsunięta za solniczkę kartka. Neil przeczytał ją szybko, zmiął i rzucił do kosza.

— Wyjechała do matki? — spytał współczująco Harry, I wyjmując krakersa z pojemnika na kredensie.

— Coś w tym rodzaju. Zostaje u doktora Crowdera i jego pracowitej żony.

— Dobrze, że przygotowała nam taki świetny obiad — zauważył Harry.

— Czy ty nigdy nie jesteś poważny? — warknął Neil. — Dzieciak mi wariuje z jakimś indiańskim duchem w mózgu, żona mnie rzuca, a ciebie stać tylko na głupie dowcipy.

Harry spojrzał przepraszająco.

— A niby jak ma się zachowywać ktoś, komu grozi praktycznie pewna śmierć?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Harry nadgryzł kolejnego krakersa.

— To, że nasze szanse są raczej nikłe. Widziałeś, jak rozleciał się samochód? Jak myślisz, dlaczego?

— Nie wiem. Czy to Toby?

— Nie, nie. To Andy. Złożył ręce, powiedział kilka słów i wóz zapłonął jak pochodnia.

— Nie rozumiem — wyznał Neil. — Przecież mógł zranić Toby'ego, a jeśli w Tobym jest Misquamacus...

— Nie sądzę, żeby coś mu groziło, nawet gdybyś zostawił go w środku. Misquamacus kontroluje ogień tak samo jak wodę i drzewo. Woląłem jednak nie ryzykować.

Neil westchnął ciężko.

— Może powinienem zadzwonić do Susan?

Harry pokręcił głową.

— Przypuszczam, że jest bezpieczniejsza tam, gdzie jest. To ty, ja i Śpiewająca Skała musimy odeprzeć uderzenie Indian. I, jak już mówiłem, nie mamy wielkich szans. Misquamacus jest zdecydowany, by tym razem nas dostać, nas i paręset tysięcy innych białych. Zrobi wszystko, żeby mu się udało.

Zapadła cisza.

— Harry — odezwał się wreszcie po długiej chwili Neil.

— Słucham?

— Chodzi o coś, co przyszło mi do głowy w nocy, kiedy pościel zaatakowała Susan.

Harry starał się na niego nie patrzeć. Dokończył krakersa i wyjął paczkę cameli lights.

— Pomyślałem sobie — kontynuował Neil — że Misquamacus dlatego wybrał Toby'ego i inne dzieci, że chciał się pojawić w osobnikach, które normalne społeczeństwo chroni za wszelką cenę. Wiesz, gdyby zdecydował się na dwudziestu dwóch skazańców z Folsom, łatwiej byłoby chyba podjąć decyzję, by się ich pozbyć.

Znowu zapadła cisza. Wreszcie Neil dokończył:

— W nocy całkiem poważnie myślałem, żeby przynieść strzelbę i rozwalić Toby'emu głowę.

Harry zapalił papierosa i przez smużkę dymu obserwował uważnie Neila.

— Oczywiście, że o tym myślałeś.

— Nie jesteś wstrząśnięty?

— Dlaczego? Wielu ojców wysłało swoich synów na śmierć w obronie ojczyzny. Czemu miałbyś być inny?

— On jest moim jedynym synem.

Harry wstał i podszedł do otwartych drzwi na podwórze. Wiatr przycichł nieco, słońce świeciło jasno na czystym, lekko zamglonym niebie. Kilka ptaków brało właśnie piaskową kąpiel przed szopą.

— Miałeś szczęście, że okazałeś się sentymentalny i nie przyniosłeś strzelby. Każdy przedmiot, czy to gliniany garnek, czy nóż, łuk i strzały albo dwunastostrzałowy pistolet, ma w sobie pewien rodzaj ducha, swojego manitou. Ten stół ma manitou, te drzwi mają manitou. Naturalnie, są to duchy bardzo niskiej kategorii i nie warto się nimi przejmować. Problem powstaje wtedy, gdy zwracasz broń przeciwko potężnemu czarownikowi, takiemu jak Misquamacus. On potrafi kontrolować manitou twojego pistoletu, może nawet manitou kuli, którą wystrzeliłeś, i obrócić twoją własną broń przeciwko tobie.

— Chyba żartujesz — stwierdził Neil. — Chcesz powiedzieć, że przeciw tym szamanom nie możemy użyć broni?

— Właśnie. O ile nie mamy ochoty zmasakrować się w ciągu najwyżej dziesięciu sekund, bez przerw na reklamy.

— Jezu — szepnął Neil. — Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Harry odwrócił się.

— To jest tak — zaczął. — Jesteśmy w zasadzie kulturą europejską, z europejskim podejściem do religii i spirytyzmu. To czyni z nas w tym kraju przybyszów z zewnątrz, nie rozumiejących naprawdę duchów żyjących w ziemi, skałach i wodzie. Indianie mieli tysiące lat na to, by je poznać i zrozumieć. Potrafią je przywołać i potrafią je kontrolować. My po prostu płączemy się dookoła, nie mamy skąd wezwać pomocy i wszystko, co tylko potrafisz sobie wyobrazić, jest przeciw nam. Oni...

W tym momencie do kuchni wszedł Toby z piłką i rękawicą baseballową. Harry w pół słowa zmienił temat i dokończył płynnie:

— ...obiecali podstawić mi nowy wóz zaraz rano, jak tylko otworzę biuro.

Toby nie zwrócił na niego uwagi.

— Mogę wyjść na podwórko? — spytał ojca.

— Oczywiście. Byle nie dalej.

— Czy mama dzisiaj wróci? Neil wzruszył ramionami.

— Może. Jeżeli załatwimy wszystkie nasze sprawy.

— Tatusiu... — zaczął chłopiec.

Neil spojrzał na niego zdziwiony. Przez jedną ulotną chwilę słyszał syna takim, jakim był dawniej. Toby'ego chłopca, dziecko. Nawet Harry obejrzał się unosząc pytająco brew.

— O co chodzi, Toby? — spytał miękko Neil.

Toby zamrugał oczami, jak gdyby nagle zapomniał, co chciał powiedzieć. Jego oczy z powrotem zmatowiały.

— Nic, tato.

Wyszedł na dwór grać w piłkę. Harry usiadł z Neilem przy stole, by dopalić papierosa. Nadchodził zmrok.

Następnego ranka Harry zaproponował, że zabierze się z Neilem gdy ten, jak zwykle, będzie odwoził syna do szkoły. W milczeniu siedzieli obok siebie we trójkę w szoferce furgonetki. Pogoda psuła się, niebo pociemniało. Harry za dużo palił, a Neil był blady i przemęczony. Prowadził fatalnie.

Jedynie Toby siedział spokojnie, z rękami złożonymi na kolanach, poważny i cichy.

Furgonetka okrążyła szkolne podwórze wznosząc tumany kurzu, wreszcie zatrzymała się przed bramą. Harry wysiadł i pomógł chłopcu zeskoczyć na ziemię.

Żółty szkolny autobus stał już koło ogrodzenia czekając, by zabrać dzieci na cały dzień nad jezioro Beryessa. Neil wstał wcześniej, żeby przygotować Toby'emu kilka kanapek z masłem orzechowym, a po drodze zatrzymali się jeszcze przy sklepie, gdzie kupił batonik Milky Way oraz paczkę prażynek.

— Baw się dobrze — powiedział Harry. — Nie wpadnij do wody.

Toby spojrzał na niego ponuro, po czym odwrócił się i poszedł w stronę, gdzie zbierała się reszta klasy. Harry dostrzegł jasną czuprynę Andy'ego Beavera, a także kilkoro innych dzieci, które pokazał mu Toby podczas wczorajszej przejażdżki. Pomachał chłopcu ręką, lecz ten odwrócił się ignorując go zupełnie.

Pani Novato wyszła z budynku szkoły i zaczęła liczyć swoich uczniów. Harry miał właśnie wsiąść z powrotem do samochodu, lecz zmienił zdanie.

— Zaczekaj chwilę, dobrze? — rzucił Neilowi i pomaszerował w stronę nauczycielki.

— Dzień dobry — odezwał się przyjaznym tonem.

— Dzień dobry — odparła z roztargnieniem pani Novato.

Harry chrząknął.

— Zastanawiałem się... — zaczął.

— Tak?—zdziwiła się uprzejmie pani Novato. — Daniel, stój spokojnie, dobrze? Policzyłam cię już pięć razy.

— Nazywam się Harry Erskine i jestem znajomym Neila Fennera.

— Rozumiem.

Harry znowu odchrząknął.

— Zastanawiałem się, czy zechciałaby pani coś dla mnie ; zrobić, gdyby w klasie zaczęło się dziać coś niezwykłego.

Pani Novato zaprzestała liczenia i znieruchomiła ze wzniesionym do góry palcem. Spojrzała na Harry'ego z urazą.

— Coś niezwykłego? — powtórzyła obrażonym tonem. — Co próbuje mi pan zasugerować?

Harry uśmiechnął się niepewnie.

— Niczego nie próbuję zasugerować. Ale pan Fenner martwi się koszmarnymi snami, które zdarzają się dzieciom z pani klasy, a także pewnymi dziwnymi zdarzeniami, jakie miały miejsce w jego domu...

Pani Novato westchnęła demonstracyjnie.

— Panie Erskine — rzekła. — Raz już pozwoliłam panu Fennerowi na badanie tej sprawy. Nie powinnam. Rodzice kilkorga dzieci skarżyli się dyrektorowi, że kazałam uczniom rysować ich sny. W rezultacie omal nie straciłam pracy. Poza tym, z tego co słyszałam, pan Fenner zdradza pewne objawy... hm, przepracowania.

Przez podwórze przeszedł pan Saperstein, więc pani Novato zawołała:

— Dzień dobry panu.

— No dobrze — nie ustępował Harry. — Rozumiem, co pani czuje, ale mimo to może pani coś dla mnie zrobić.

— Panie Erskine, zapewniam pana, że w tej klasie nie wydarzyło się i zapewne nigdy nie wydarzy nic niezwykłego. Mam dość roboty z doprowadzeniem wszystkich dzieci nad jezioro Beryessa i z powrotem, żeby jeszcze się zajmować jakimiś niezwykłościami.

— Rozumiem, oczywiście. Gdyby jednak chciała się pani ze mną skontaktować, zatrzymałem się u pana Fennera.

— Nie chcę się z panem kontaktować.

— Ale może pani zechcieć.

Pani Novato zamknęła oczy, jakby pod powiekami szukała siły i cierpliwości.

— Bardzo dobrze, panie Erskine — odparła. — Gdy tylko będę miała ochotę do pana zadzwonić, to znaczy nigdy, będę wiedziała, gdzie pana szukać.

— To świetnie — uśmiechnął się Harry. — Życzę szczęśliwej podróży.

Wrócił do samochodu, wsiadł i trzasnął drzwiami.

— I co? — spytał Neil.

— Prosiłem tylko, żeby dała nam znać, gdyby zaczęły się jakieś kłopoty. Co nie

znaczy, że to zrobi. Jest opłataną przez szkolną biurokrację, a w dodatku zamężna.

— Co to ma do rzeczy?

— Niewiele — przyznał Harry. — Tyle tylko, że trudniej mi rzucać swe czary na mężatki w wieku pani Novato. Są za stare na ukierunkowanie seksualne, a za młode, by mąż je zaniedbywał.

Neil uruchomił silnik. Nim zwolnił hamulec, raz jeszcze spojrzął przez zakurzoną szybę szukając wzrokiem syna. Toby w niebieskiej wiatrówce i dzinsowych szortach ściskał w rękę swoje pudełko z prowiantem. Włosy miał rozczochrane, jak zawsze. Pozostałe dzieci zebrały się dookoła, a on najwyraźniej tłumaczył im coś ważnego i skomplikowanego.

— Mam złe przeczucie co do dzisiejszego dnia — stwierdził Neil.

— Myślisz, że to dzisiaj?

— Nie wiem. Ale wyczuwam jakieś napięcie. Ty nie? Jakby zbierało się na burzę.

Harry wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Zresztą i tak niewiele możemy zrobić, dopóki nie przyjedzie Śpiewająca Skała. Obiecał, że zjawi się koło południa.

— Kiedy pomyślę o tych dzieciakach, wyjeżdżających bez opieki, opanowanych przez duchy, przez te wszystkie manitou... Jestem naprawdę przerażony. Jak myślisz, jak się czułem dziś rano, kiedy dawałem Toby'emu śniadanie i zastanawiałem się, czy to jeszcze mój syn, czy jakiś upiór z przeszłości? Stałem tam i robiłem coś absolutnie normalnego, to znaczy szykowałem kanapki, i cały czas myślałem, że on może nigdy z tej wycieczki nie wrócić.

Harry uścisnął jego ramię.

— Przestań się nad sobą użalać. To przecież nie twoja wina, nawet jeśli to twój przodek sprowadził tu Misquamacusa. Jak mogłeś temu zapobiec? Nic nie można poradzić, dopóki szamani się nie ukażą. Przecież nie pozabijamy tych dzieci. Nie możemy nawet ich stąd zabrać. Misquamacus by nam przeszkodził, a poza tym policja przymknęłaby nas pewnie za porwanie. Nikomu byśmy się nie przydali siedząc w areszcie Sonoma County.

Neil zwolnił hamulec i ruszył bez słowa. Nie spojrzął nawet w lusterko, by

zobaczyć, jak pani Novato prowadzi Toby'ego i jego kolegów do autobusu. Harry obejrzał się. Spostrzegł, jak poważne, jak spokojne są dzieci, i coś ścisnęło go w żołądku. Rozumiał, co miał na myśli Neil mówiąc o nadchodzącej burzy. Być może była to tylko podwyższona wilgotność, może lekki, lecz dokuczliwy wiatr. Lecz mógł to być także ranek dnia ciemnych gwiazd.

Johna Śpiewającą Skałę spotkali na przystanku autobusowym. Miał pięćdziesiąt lat i twarz poznaczoną delikatną siateczką zmarszczek, ale jego spojrzenie pozostało bystre i jasne, a po betonowej płycie parkingu szedł sprężystym krokiem człowieka o dwadzieścia lat młodszego. Kiedy Harry widział go ostatnio, nosił niemnący wełniany garnitur, a krótkie włosy wysmarowane miał brylantyną. Teraz najwyraźniej wiatry przywiały na prerię środkowej Ameryki nową modę, gdyż włosy miał dłuższe, ułożone płynem Gillette Dry Look, a ubrany był w jasny sportowy płaszcz oraz jasnoczerwone spodnie.

Postawił walizkę na ziemi i wyciągnął ramiona. Harry objął go bez słowa. Przez chwilę stali tak nieruchomo, podczas gdy pasażerowie autobusu spoglądali na nich z zaciekawieniem.

Wreszcie Harry cofnął się o krok, lecz wciąż nie wypuszczał dłoni Śpiewającej Skały.

— Wyglądasz, jakbyś robił zakupy u Gucciego — stwierdził. — Co z twoimi włosami?

Śpiewająca Skała musnął palcami siwiejące skronie.

— Musiałem zrezygnować z tego błyszczącego paskudztwa — wyjaśnił. — Zostawiało plamy na moim tipi.

Harry roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

— Miło cię znowu widzieć. Szkoda, że nigdy nie przejeżdżam przez Dakotę Południową. Odwiedzałbym cię częściej.

— To jest pan Fenner? — spytał Śpiewająca Skała. Harry kiwnął głową i przedstawił ich. Neil z pewnym wahaniem wyciągnął rękę, lecz Śpiewająca Skała pochwycił ją w obie dłonie i powiedział ciepło:

— Dziwi się pan pewnie, czemu nie mam kości wkłutej w nos i pióra w kapeluszu?

— Nigdy dotąd nie widziałem szamana — odparł z zakłopotaniem Neil. — Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Harry podniósł walizkę. Razem ruszyli do samochodu.

— Wolałbym chodzić w tradycyjnym stroju.— wyjaśnił Śpiewająca Skała.

— Jaki jest sens bycia szamanem, jeśli się na takiego nie wygląda? Taki strój jednak to dziś niezwykła rzadkość. Skompletowanie go zajmuje lata i wtedy jest to L dzieło sztuki. Nie można się przecież ubierać w dzieło sztuki. Można by je zachłapać keczupem.

Harry pomógł szamanowi wsiąść do samochodu. Niebo nadal było dziwnie ciemne i odnosiło się wrażenie, że gdzieś w górze zbierają się deszczowe chmury.

— Neil ma przeczucie, że dzień ciemnych gwiazd może nastąpić dzisiaj — poinformował Harry. — A w każdym razie niedługo.

— Są jakieś specjalne powody? — zainteresował się Śpiewająca Skała.

— Sam nie wiem — odparł Neil. — Mam takie wrażenie, jakby ktoś próbował mnie ostrzec.

— Jak wtedy, kiedy Dunbar ostrzegał pana przed Misquamacusem?

— Harry panu mówił?

— Harry opowiedział mi o wszystkim. Nawet najdrobniejsze szczegóły mogą okazać się istotne.

Neil zatrzymał furgonetkę przed skrzyżowaniem, przepuszczając samochód pełen kobiet. Potem skręcił w lewo.

— To nie jest takie samo uczucie — wyjaśnił. — Kiedy Dunbar ukazał się po raz pierwszy, słyszałem jego głos proszący o pomoc. Tocy także go słyszał. Obaj go widzieliśmy, czy może raczej jego ducha. Wysoki mężczyzna z jasną brodą, w długim, białym prochowcu. Dziś jednak to tylko odczucie, nic więcej. Tej nocy nie słyszałem głosu Dunbara. Wrażenie jest bardziej ogólne.

— Jak na białego jest pan bardzo niezwykłym człowiekiem, panie Fenner — oświadczył Śpiewająca Skała. — Mam nadzieję, że pana nie uraziłem.

— Co pan ma na myśli? — zdziwił się Neil.

— Jest pan gotów uwierzyć w zjawiska nadprzyrodzone, zanim jeszcze zacznie pan szukać racjonalnego wytłumaczenia tego, co pan widzi. Większość białych najpierw stara się znaleźć racjonalne wyjaśnienie, a jest skłonna uwierzyć w rzeczy spoza tego świata dopiero wtedy, kiedy nie ma innego wyboru. Zresztą zwykle nie wierzą nawet wtedy.

— Jak mogę wątpić? Rozmawiałem z Dunbarem. Stałem dwa, może trzy metry od jego ducha i nikt mnie nie przekona, że to był sen.

— Widział pan też Misquamacusa w postaci drewnianego człowieka?

— Zgadza się.

Śpiewająca Skala spojrział na Harry'ego i po wyrazie jego twarzy Neil poznał, że jest mocno zaniepokojony.

— Nie chciałbym zbyt panu denerwować, panie Fenner — mówił dalej Indianin. — Jest jednak coś, o czym powinien pan się dowiedzieć.

— Proszę mi mówić Neil.

— Dobrze więc, Neil. Powinieneś wiedzieć, że według indiańskich wierzeń każdy manitou odradza się siedem razy. I za każdym razem, gdy żyje, umiera i żyje znowu, zdobywa więcej siły i mądrości. Po siódmym życiu jest już tak mądry, że może połączyć się z bogami na zewnątrz, w miejscu, które Micmakowie nazywają Wajok, siedzibą wielkich.

— Rozumiem — Neil skręcił w prawo i wjechał na zakurzoną drogę, wijącą się wśród wzgórz aż do jego domu. — A co to ma wspólnego z Misquamacusem?

— Bardzo dużo. Kiedy razem z Harrym się z nim zmierzyliśmy, była to jego czwarta, może piąta reinkarnacja. Tak to oceniam ze względu na bardzo długi czas, jaki pokonał w jednym przeskoku — od roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego do teraz. Trzeba posiadać wielką moc, by tego dokonać. Z tego, czego dowiedziałaś się w Calistodze, wnioskuję, że Misquamacus żył jeszcze raz około roku tysiąc osiemset trzydziestego. To byłoby jego szóste wcielenie.

Neil grzbietem dłoni otarł usta z pyłu. Widział już dom, więc jechał wolniej.

— Chcesz powiedzieć, że teraz odrodzi się po raz ostatni?

— Tak uważam — przytaknął Śpiewająca Skała. — Jest prawie gotowy, by zająć miejsce w Wajok, a to oznacza, że jest niezwykle potężny, niezwykle silny i niemal nie do pokonania przez innego szamana. Poprzednim razem musiał odrodzić się fizycznie, jak ludzki embrion. Teraz rozrasta się w umyśle twojego syna. Nie pytaj mnie, jak to robi. To przekracza moją wiedzę. Robi to jednak i zanim jeszcze skończył, zademonstrował magię, o jakiej żaden współczesny czarnoksiężnik nie może nawet marzyć. Neil, stworzenie drewnianego człowieka wymaga mocy, która jest zdolna wywołać trzęsienie ziemi. I to jeszcze zanim wyszedł z umysłu dziecka, zanim jest gotów rzucić na nas wszystko, co potrafi. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że zamierza wezwać Ossadagowah. Gdy tego dokona, zaczną się dla nas prawdziwe kłopoty.

Neil zatrzymał samochód koło płotu i wyjął kluczyki.

— Zginiemy? — spytał cicho.

— Tego akurat wolałbym nie przewidywać — westchnął Śpiewająca Skała.— Pamiętaj jednak, że to siódme i ostatnie wcielenie Misquamacusa. Potem już nie będzie mógł się mścić na białych, chyba że jego manitou zostanie przywołany na ziemię przez innego szamana. Biorąc pod uwagę ogólny stan magii w dzisiejszej Ameryce powiedziałbym, że to dość mało prawdopodobne.

Wysiedli. Neil zaprowadził ich przez podwórze do domu. Śpiewająca Skała chciał się odświeżyć, więc Neil pokazał mu łazienkę. Harry zaniósł walizkę do salonu.

— Czy on pije? — spytał Neil wyjmując z lodówki opakowanie sześciu puszek Coora.

— Piwo? Chyba nie. Za to kawy napije się z przyjemnością.

Śpiewająca Skała wszedł do kuchni, przerzucił swój sportowy płaszcz przez oparcie krzesła i podwinął rękawy koszuli. Ramiona miał żyłaste, muskularne, pokryte skomplikowanymi wzorami blizn i tatuaży. Kiedy usiadł za stołem, Neil poczuł, że nareszcie zyskał pomoc doświadczonego fachowca.

— Chcę wszystko obejrzeć — oznajmił Śpiewająca Skała. — Rysunki dzieci, szafę na górze, pościel, która zaatakowała twoją żonę. Chcę też, żebyś jeszcze raz opowiedział mi wszystko, co pamiętasz, z możliwie dużą ilością szczegółów. Jeśli

chcemy zwyciężyć tych szamanów, musimy się o nich dowiedzieć jak najwięcej.

Neil sięgnął do szafki i wyjął plik dziecięcych rysunków. Śpiewająca Skała obejrzał je dokładnie, przyglądając się każdej postaci i porównując je ze sobą. Jednocześnie poprosił, by Neil opowiedział mu o pierwszym pojawieniu się ducha, którego znali pod imieniem Dunbar, a także to, co Billy Ritchie mówił o Krwawym Fennerze i tamtym strasznym dniu nad Conn Creek.

Z początku Neil był trochę zdenerwowany. Mówił jednak popijając piwo i nabierając coraz głębszego przekonania, że może zawierzyć Śpiewającej Skale, opowiedzieć mu wszystko o minionych dniach, pełnych lęku i grozy. Indianin spoglądał na niego od czasu do czasu, a jego oczy były tak pełne zrozumienia i mądrości, jak jeszcze nikogo przedtem. Harry, który słyszał już całą historię, palił papierosa i pił piwo prosto z puszki.

Kiedy Neil skończył, Śpiewająca Skała odłożył na stół rysunki — dwadzieścia jeden kolorowych ilustracji tego samego tragicznego zdarzenia.

— Moim zdaniem to, co się zdarzyło, jest całkiem oczywiste — oświadczył. — Ze zwycięstwa Indian szamani czerpali moc, która pomogła im w reinkarnacji. Trudno to dokładnie wytłumaczyć, ale użyli masakry pod Las Posadas jako punktu zaczepienia dla swego odrodzenia, mniej więcej tak, jak polityk, który próbuje wrócić na scenę przypominając ludziom o swych dawnych zasługach. To tę masakrę miał na myśli Misquamacus, kiedy mówił o bramie. Nie chciał, byś zakłócił historyczne wibracje, które wykorzystywał pod kierunkiem Allena Fennera. Miałeś większe możliwości niż inni, ponieważ sam jesteś Fennerem.

— Ale dlaczego pojawił się Dunbar? — nie rozumiał Neil. — Misquamacus na pewno nie życzyłby sobie jego obecności.

Śpiewająca Skała wolno pokręcił głową.

— Nie jestem zupełnie pewien. Najprawdopodobniej cała ta duchowa aktywność związana z incydentem, w którym zginął, wystarczyła, by zaniepokoić jego manitou i skłonić je do pojawienia się w naszym świecie. Musisz pamiętać, że mamy do czynienia z najpoważniejszym zdarzeniem sfery duchowej w całej współczesnej historii Ameryki. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jakie zaburzenia eteru ono

wywołuje. Jak myślisz, dlaczego wyczuwasz napięcie? W spirytystycznych przestrzeniach panują chaos i zamieszanie. Nic dziwnego, że niektóre cienie przeszłości przewracają się w grobach.

— To, czego nam potrzeba, to duchy całej Siódmej Brygady Kawalerii — wtrącił Harry. — Jak sądzisz, potrafiłbyś je wywołać?

— Żałowałbyś, gdyby mi się udało. Siódma Kawaleryjska była zwykle o wiele gorsza od Indian.

Neil spojrzął przez ramię szamana na rysunki dzieci.

— Czy te słowa coś oznaczają? — zapytał. — Ja nic nie zrozumiałem.

Śpiewająca Skała podniósł kilka kartek.

— Pochodzą z różnych dialektów — odparł. — Wszystkie jednak, w ten czy inny sposób, odnoszą się do dnia ciemnych gwiazd. Ta-La-Ha-Lu-Si to nazwa, jakiej używali Patwinowie dla określenia Napa Valley. Oznacza po prostu „piękną ziemię”. Kaimus — tak nazywali Wapposowie miasteczko Yountville leżące, jak pewnie wiesz, głębiej w dolinie. Natomiast sokwet, oweaoo i pados pochodzą z narzecza Algonkinów.

— Jak poznać sokwet, kiedy się go już znajdzie? — spytał Harry. — Brzmi to jak podstawowy warunek złapania grypy

— W języku Algonkinów sokwet znaczy „zaćmienie”. Tutaj występuje obok słowa wata, czyli „gwiazda”. Możemy chyba przyjąć, że dzieciom chodziło o dzień ciemnych gwiazd. Oweaoo to „krąg”, apados znaczy „łódź”. Jednak są to pojedyncze słowa i dlatego niewiele można się z nich dowiedzieć. Ale sądzę, że wkrótce poznamy ich znaczenie.

— Pewno — mruknął Harry. — I nie będzie to przyjemne.

— Te rysunki same w sobie są niezwykle interesujące — stwierdził Śpiewająca Skała. — Na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że ich autorami są dzieci.

— Oczywiście, że można — rzekł Neil. — Przecież ich autorami są dzieci.

Śpiewająca Skała pokręcił głową.

— Ich styl jest pod niektórymi względami prymitywny, ale nie dziecinny. Spójrzcie na ten. Podobne rzeźby i rysunki można znaleźć w sztuce Etchemisów i

Wabanaki. Ten ukazuje Indian w strojach Arapahów. Ten natomiast to styl Irokezów.

Marszcząc czoło Neil przerzucił kilka kartek.

— Chcesz powiedzieć, że to szamani w umysłach dzieci stworzyli te rysunki? Nie same dzieci?

— Niezupełnie — odparł Indianin. — To było kilka dni temu, kiedy szamani nie opanowali jeszcze w pełni umysłów swych ofiar. Ale cechy charakterystyczne dla ich plemion są wyraźnie widoczne. Oprócz tych, które trzymasz w ręku, można tu łatwo zidentyfikować Siuksów, Micmaków, Hopi, Apaczów, Szoszonów i Modoków.

— Czy to się na coś przyda?

— Nawet bardzo. Oznacza, że potrafię odgadnąć, kim są niektórzy z tych szamanów. Każdy szczep miał swojego legendarnego czarownika. U Wabanaki, na przykład, był nim Neem sprowadzający grom. Apacze czczą pamięć człowieka zwanego Bezimiennym. Podobno nosił na głowie żywego grzechotnika. Misquamacus z pewnością powołał najlepszych szamanów poszczególnych plemion, więc bez większych trudności możemy poznać skład zespołu, z którym mamy się zmierzyć.

— Śpiewająca Skala traktuje odwieczną walkę między czerwonoskórymi i białymi jako coś w rodzaju okultystycznego meczu piłkarskiego — wyjaśnił Harry.

Neil usiadł.

— Nie rozumiem tylko, czym są te demony, te istoty, które oni chcą wezwać — stwierdził. — To znaczy, jakie one są?

W tej właśnie chwili, jakby tajemnym zrzędzeniem losu, zadzwieczał dzwonek telefonu.

— Przepraszam — powiedział Neil i wyszedł, by go odebrać.

Harry i Śpiewająca Skala czekali, aż wróci. Harry zgniótł niedopałek papierosa i wypił resztkę piwa. Zaraz potem zjawił się Neil, wyraźnie poruszony rozmową.

— Co się stało? — spytał Harry. — Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

— Dzwonił pan Saperstein, ze szkoły. Słyszał twoją rozmowę z panią Novato i pomyślał, że pewnie będziesz chciał wiedzieć.

— Wiedzieć? O czym?

Neil spojrzał na niego. Widać było, że jest bliski załamania.

— Może usiądź — poradził Śpiewająca Skała. Neil pokręcił głową.

— Saperstein prosił, żebyśmy natychmiast przyjechali. Zrobił niedawno parę fotografii dzieci z klasy Toby'ego, jak tańczą na podwórzu. Właśnie je wywołał i mówi, że wyszło na nich coś, co omal nie przyprawiło go o utratę zmysłów.

ROZDZIAŁ 7

Saperstein czekał na nich w swoim gabinecie, którego okna wychodziły na tyły szkolnego budynku. Pokój był zavalony stosami nut i książek o kompozytorach, wszędzie stały jakieś instrumenty z pozrywanymi strunami, tak że goście ledwie zdołali wcisnąć się do środka. Zanim Harry mógł usiąść, nauczyciel musiał przesunąć podniszczony futerał trąbki i popiersie Beethovena z ukruszonym nosem.

— Przykro mi, że podsłuchałem pańską rozmowę z panią Novato — powiedział przeproszającym tonem. — Przechodziłem akurat obok i nie mogłem się powstrzymać. Obawiam się, że zawsze byłem za bardzo wścibski.

— I bardzo dobrze — stwierdził spokojnie Śpiewająca Skala. — Sytuacja jest rozpacзлиwa.

Saperstein otworzył szufladę biurka i wyjął tekturową teczkę.

— Powinienem wyjaśnić, że pasjonuję się fotografią — zaczął. — Prawie zawsze noszę ze sobą aparat. Natychmiast więc zrobiłem zdjęcia dzieci na podwórzu. W zeszłym roku miałem w Sonomie skromną wystawę fotografii szkolnych i mogę powiedzieć, że cieszyła się sporym zainteresowaniem.

— Może byśmy obejrżeli te zdjęcia — przerwał niecierpliwie Harry.

Saperstein uniósł rękę.

— Musicie zrozumieć, że wszedłem wtedy do klasy, a pani Novato powiedziała, że dzieci dziwnie się zachowują i chyba tańczą. Wyjrzałem więc i okazało się, że rzeczywiście. Dzieci stapały w koło trzymając się za ramiona. Pomyślałem, że może to jakiś grecki taniec, wicie, panowie, taki jak w „Greku Zorbie”. Harry westchnął.

— Co ze zdjęciami, panie Saperstein?

— Oczywiście — odparł pospiesznie nauczyciel. — Jednak zanim je obejrzycie, musicie, panowie, pamiętać, że wtedy na podwórzu widzieliśmy tylko dzieci. Nic więcej.

Jedną po drugiej, Saperstein podawał im duże, czarno-białe fotografie. Było ich

pięć i każda ukazywała szkolne podwórze tak, jak widać je z okien klasy pani Novato. Na każdej były dzieci tworzące koło. Neil rozpoznał na pierwszym zdjęciu Toby'ego, Andy'ego, Daniela Soscola i Debbie Spurr. Zobaczył jednak coś jeszcze. W środku kręgu, częściowo zasłaniana przez dzieci, formowała się chmura białej mgły, niby skręcony słup dymu.

Na kolejnym zdjęciu chmura rozszerzyła się i sięgała wyżej, ponad głowy dzieci. Kształtowała podobne do macek zwoje, które na trzeciej fotografii wiły się już niemal na poziomie najniższych gałęzi rosnącego w rogu podwórza klonu.

Czwarte i piąte zdjęcie okazały się najbardziej niepokojące. Ukazywały wielkiego stwora podobnego do mglistej ośmiornicy z dziesiątkami wijących się ramion. Wznosił się wysoko nad dziećmi. Choć bezkształtny, bez twarzy, emanował grozę i zło, jak gdyby stworzony był z samej esencji pradawnej wrogości. Zdawał się jadowity, zepsuty, przeżarty wszystkimi znanymi chorobami ciała i duszy.

— Co to jest? — zapytał Neil. — Jakaś fotograficzna sztuczka?

— Żadna sztuczka, panie Fenner — zaprotestował Saperstein. — Te zdjęcia wywołał dla mnie Charlie Keynes z redakcji gazety. Zawsze robi mi odbitki. Przysięga, że tak właśnie wyszedł negatyw.

— Może przeświecił pan film i stąd to zamglenie — nie ustępował Neil.

Nauczyciel pokręcił głową.

— To nie zamglenie, panie Fenner. Każdy amator to panu powie.

— Ma pan rację, panie Saperstein — odezwał się cicho Śpiewająca Skała. — Te zdjęcia są prawdziwe.

— Skąd możesz wiedzieć? — Neil nie dawał się przekonać. — Nietrudno przecież wziąć aerograf i...

Śpiewająca Skała uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Żaden aerograf nie stworzy portretu tego, co widzisz na tych zdjęciach, ponieważ żaden malarz nie wie, jak wygląda i czym jest ta istota. To jeden z bezkształtnych stworów, strzegących progu pomiędzy naszym i zewnętrznym światem. Są posłańcami z eteru, który zamieszkują pradawni przez więcej stuleci, niż potrafię zliczyć. Ta istota jest heroldem, jeśli można tak ją nazwać, dla Pa-La-Kai,

demona krwi, Nashuny, demona ciemności i Quula, demona szaleństwa. Ta trójka z kolei to sługi Rhenauza, demona zła, i Coyote, demona zepsucia. Nad nimi wszystkimi jednak, w otoczeniu stada stworów Zabijających Spojrzeniem, stoi Ossadagowah, syn Sadogowah, demon, którego można przywołać, lecz nie można odesłać, chyba że wróci z własnej woli.

— Więc co to jest? — spytał Harry. — Jakaś drugorzędna oferta?

— W porównaniu z innymi, tak. Nazywa się Sak, co oznacza po prostu „przeszły”. Istnieje na tej planecie od niezliczonych milionów lat. Tak przynajmniej twierdzą Algonkinowie. Jego zadaniem było zawsze zachęcanie ludzi, by przyzywali najstarszych bogów, tak żeby ci bogowie mogli ich potem pochłonąć jako dary ofiarne, Saka zaś wynagrodzić tym, czego zapragnie.

— Na przykład złotym długopisem? — podrzucił Harry. — Nigdy nie wiadomo, czego będzie sobie życzył taki demon.

Neil stwierdził, że nie potrafi nawet się roześmiać. Wpatrywał się w twarze Toby'ego na fotografiach i w każdej z nich widział wyraźnie wrogie oblicze Misquamacusa. Śpiewająca Skała podniósł się z krzesła.

— Sak zapragnie czegoś więcej i na nasze nieszczęście otrzyma to już niedługo. Starsi mojego plemienia twierdzili, gdy ich o to pytałem, że zanim wszędzie dzień ciemnych gwiazd, trzeba dopełnić kilku niezbędnych rytuałów. Przedostatnim z nich jest wezwanie Saka, który przygotowuje drogę dla Ossadagowah. Potem dwudziestu dwu szamanom pozostaje tylko połączyć swe siły w imię takich duchów, jakie sobie wybiorą: drzew, wody lub skał. O ile znam Misquamacusa, będą to raczej duchy drzew.

— Myślisz, że już to zrobili? — zapytał Harry. Śpiewająca Skała pokiwał głową.

— Prawie na pewno. Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że dokonali tego w piątek, zanim wszyscy rozeszli się do domów na weekend. Kiedy dziś rano wyjeżdżali na wycieczkę, byli gotowi na rozpoczęcie dnia. Dnia ciemnych gwiazd albo dnia, kiedy paszcza pojawi się na niebie.

— Chcesz powiedzieć, że to już dzisiaj? Śpiewająca Skała spojrzął na zegarek.

— Jest prawie dwunasta. Dzień ciemnych gwiazd rozpoczyna się w południe i

trwa aż do południa następnego dnia. Mają to być dwadzieścia cztery godziny chaosu, rzezi i tortur, a Indianie w jednej wielkiej masakrze zemszczą się za stulecia zdrady, morderstw oraz gwałtów.

Saperstein raz jeszcze podniósł ze stołu fotografie i przyjrzał się im z niedowierzaniem.

— Czy to prawda, co pan mówi?—zwrócił się do Śpiewającej Skały. — Czy tylko fantazja?

Szaman wskazał mglistą, niewyraźną sylwetkę Saka.

— A czy to jest prawda? — spytał. — Czy tylko fantazja? Nauczyciel zdjął okulary.

— To niesamowite — stwierdził. — Nie rozumiem tylko, dlaczego wtedy nic nie zobaczyłem. Jest przecież olbrzymi.

— To jedna z rzeczy, o których zdążyliśmy się przekonać — wyjaśnił Harry. — Demony i duchy mogą być widziane przez obiektywy fotograficzne nawet wtedy, gdy dla nieuzbrojonego oka pozostają niemal niewidoczne. To się już zdarzało.

— Myślałem, że zwariowałem — rzekł Saperstein. — Oglądałem te zdjęcia i byłem pewien, że tracę rozum.

— Też tak sądziłem o sobie — odezwał się cicho Neil. Wyciągnął rękę. — Witamy w naszym klubie.

— Mamy mniej czasu, niż myślałem — oznajmił Śpiewająca Skała. — Jeżeli dzień ciemnych gwiazd ma się zacząć dzisiaj w południe, to Ossadagowah i pozostałe demony zostaną wezwane, kiedy pojawi się Nepauz-had, bogini księżyca.

Saperstein otworzył szufladę biurka, przez chwilę przerzucał papiery, wreszcie wyjął kalendarzyk w brązowej okładce. Polizał palec i przewracał strony, aż znalazł tę, której szukał.

— Wschód księżyca nastąpi dzisiaj o dwudziestej drugiej dwie — oznajmił. — O to chyba panu chodziło.

— Tak, właśnie o to. Oznacza to, że na przygotowania pozostało nam niecałe dziesięć godzin. W dodatku nie mamy pojęcia, gdzie właśnie są dzieci.

— Pojechały nad jezioro Beryessa — poinformował nauczyciel. — To ich szkolna

wycieczka.

— Miały pojechać nad Beryessa — sprostował Indianin. — I pamiętacie. Legenda mówi o dwudziestu dwóch szamanach.

— Co to ma do rzeczy? — nie zrozumiał Harry.

— Być może wszystko. W klasie jest tylko dwudziestu jeden uczniów, a zatem dwudziesty drugi szaman musi pojawić się w którymś z jadących autobusem dorosłych.

— Jest tam tylko pani Novato i kierowca — Saperstein był wstrząśnięty. — Nie myślicie chyba, że pani Novato...?

— Ja tak nie uważam — oświadczył Harry. — Jest zbyt skromna, nawet jak na przeciętnego szamana z tysiąc osiemset trzydziestego roku.

— Kto jest kierowcą? — spytał Śpiewająca Skała.

— Zwykle prowadzi Jack Billets z Valley Ford — odparł Saperstein. — Ale wydaje mi się, że ostatnio był chory. Nie wiem, kogo wzięli na dzisiaj. Nie widziałem go.

Neil przysunął sobie telefon i wykręcił numer centrali.

— Amy? — odezwał się, gdy uzyskał połączenie. — Czy to ty? Posłuchaj, to bardzo pilne. Czy masz numer Jacka Billetsa w Valley Ford? Naturalnie. Mogłabyś mnie z nim połączyć?

Po chwili usłyszeli w słuchawce telefonu czyjś daleki głos.

— Jack? — spytał Neil. — Mówi Neil Fenner. Tak. Cześć. Słyszałem, że jesteś chory. Zgadza się. Mam nadzieję, i że to nic poważnego. Posłuchaj, Jack, nie wiesz przypadkiem, kto prowadzi dzisiaj autobus nad Beryessa? To ważne.

Cichy głos odpowiedział coś i Neil zakończył rozmowę:

— Dziękuję, Jack. Masz u mnie za to drinka. Dobra, świetnie. Jeszcze raz dzięki.

Odłożył słuchawkę, spojrzął na Harry'ego i Śpiewającą Skałę, po czym odetchnął głęboko.

— Kierowcą jest stary marynarz, który kręci się po przystani w Bodega Bay. Nazywa się Doughty. Kiedy spotkałem go w piątek, zrobił wszystko, żeby mnie przekonać do całej tej afery z dziećmi. Powiedział, że to Susan kazała mu ze mną

porozmawiać. Teraz wiem, że to ktoś inny niż Susan. To był Misquamacus — Neil stuknął się palcem w czoło. — Misquamacus, kryjący się tutaj.

Podszedł do okna i ponad szkolnym ogrodzeniem spojrzął Ina zielone, zaokrąglone pagórki oraz szarą mgłę nad odległym oceanem.

— Teraz wszystko nabiera sensu — rzekł cicho. — To Doughty zasugerował mi odwiedzić u Billy’ego Ritchie, od którego pierwszy raz usłyszałem o Misquamacusie. Gdyby nie to, nigdy bym nie uwierzył w dzień ciemnych gwiazd i nie wezwał na pomoc ani ciebie, Harry, ani Śpiewającej Skały. Siedzący na krześle w rogu szaman uśmiechnął się i skinął głową.

— Zaczynasz pojmować przebiegłość Misquamacusa, prawda? Chciał nas mieć obu tutaj, w Kalifornii, tak żeby mógł się zemścić jeszcze przed zemstą na innych białych czy służących im Indianach. Na sprowadzenie nas tutaj metodami magicznymi zużyłby zbyt wiele energii i czarów. Tymczasem po prostu kazał Doughty’emu opowiedzieć o Billym Ritchie, jedynej osobie, która mogła udzielić ci jakichś wskazówek.

Neil oparł czoło na szybie. Czuł coraz większe zmęczenie.

— A kiedy już było po wszystkim, zabił Billy’ego.

— Harry opowiadał mi o tym. To była jego ulubiona metoda szybkiego zadawania śmierci, błyskawica-która-widzi. Ona uderza jak okultystyczny pocisk kierowany. Misquamacus użył jej kiedyś przeciwko parze najbliższych przyjaciół Harry’ego.

— To wyjaśnia jeszcze jedną sprawę — pojawienia się ducha Dunbara na wodach zatoki. Zjawił się dlatego, że w pobliżu był Doughty. Ostrzegał mnie tak, jak próbował mnie ostrzec jeszcze wiele razy.

Śpiewająca Skała znów spojrzął na zegarek.

— Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, gdzie jest szkolny autobus — oznajmił. — Potem, zanim jeszcze się ściemni, musimy zebrać jakoś te dzieci, bym mógł nakreślić wokół nich magiczny krąg. Jeden ze starszych szczepu dał mi zaklęcie, które podobno nie pozwalało Coyote zbliżyć się do córek Orlego Nosa. Powinno trochę ograniczyć zasięg ich działania. Nie jest idealne, ale to zawsze lepsze, niż odpierać pełną moc ich ataku.

— Czy mógłbym w czymś pomóc? — spytał Saperstein. — Chciałbym się na coś przydać. Nie całkiem rozumiem, o co tu chodzi, ale zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

— Może zatelefonuje pan na policję — zaproponował Harry. — Powie im pan, że pański syn pojechał autobusem na wycieczkę nad Beryessa, a przed chwilą żona zawiadomiła pana, że chłopak zamiast cukierków zabrał ze sobą tabletki librium.

Śpiewająca Skała wstał z krzesła.

— To powinno wystarczyć — stwierdził. — Gdyby nas pan potrzebował, będziemy w domu Neila Fennera.

Nauczyciel uśmiechnął się nerwowo.

— Bardzo mi było miło. To wielka ulga dowiedzieć się, że jednak człowiek nie zwariował.

— Panie Saperstein — szaman położył swą muskularną rękę na ramieniu nauczyciela — w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin mogą się zdarzyć chwile, gdy będzie pan tego żałował.

Śpiewająca Skała zamknął się w kuchni i pracował aż do popołudnia, zasłoniwszy przedtem okna, by światło go nie rozpraszało. Stołowa lampa oświetlała papiery oraz magiczne rekwizyty. Harry i Neil spacerowali po werandzie czekając, aż Saperstein da znać, co osiągnął na policji, szaman zaś pracowicie przygotowywał listę wrogów, szykując zaklęcia, które mogłyby tym wrogom przeszkodzić i powstrzymać ich działania. Z walizki wyjmował kości, kosmyki włosów i gliniane garnuszki pełne różnych proszków.

Okolo trzeciej, gdy szare, metaliczne chmury zwisały nisko nad ziemią, Indianin wyszedł z kuchni i przeciągnął się.

— Jesteś gotowy? — spytał Harry.

— Bardziej już nie będę — Śpiewająca Skała wzruszył ramionami.

— Nie wiedziałem, że Indianie są takimi pesymistami. Nic dziwnego, że straciliście Zachód.

— Byliśmy pesymistami, bo straciliśmy już Wschód — przypomniał mu

Śpiewająca Skała.

Harry zapalił kolejnego papierosa i odkaslnął.

— Wiesz, zastanawiam się czasem, czy walczysz po właściwej stronie. Przy twoim nastawieniu tworzyłbyś z Misquamacusem dobraną parę.

Indianin uniósł lekko głowę, spoglądając na przyjaciela jasnym, przenikliwym wzrokiem.

— Pewnego dnia, w jednym z moich wcieleń, mam nadzieję daleko prześcignąć Misquamacusa.

Harry uniósł brew.

— Chcesz powiedzieć, że ty także żyłeś już przedtem?

Śpiewająca Skała uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Zanim zdali sobie sprawę z ich gruboskórności, Indian zawsze bawiło, że biali tyle wiedzą o tym, jak żyć, a tak mało rozumieją życie.

— Widzę, że jesteś w filozoficznym nastroju. Szaman przysunął sobie zbieleń od słońca krzesło i usiadł, opierając nogę o poręcz werandy.

— Być może — zgodził się. — Wierzę jednak, że jeszcze dziś zmierzymy się z Misquamacusem i tym razem będzie on przygotowany na to spotkanie.

Harry oparł się o balustradę. Był nieprzyjemnie zgrzany i spocony. Zdawało się, że nie ma czym oddychać. Nawet tutaj, na dworze, czuł się tak, jakby został zamknięty w szafie. Dym z papierosa unosił się leniwie błękitną smużką.

— No cóż — mruknął. — Przypuszczam, że to wielki zaszczyt być na pierwszym miejscu listy do odstrzału największego indiańskiego szamana w historii. Pomyśl tylko, może już nigdy nie pójdę na lunch do „Czekolady z orzechami”.

— Czy wiesz, kim są ci wszyscy szamani? — chciał się dowiedzieć Neil.

— Tak — potwierdził Śpiewająca Skała. — Pochodzą z czasów, zanim jeszcze biali ludzie przybili do naszych brzegów, z owych dni, gdy indiańska magia była najpotężniejsza. Podobno bogowie chodzili wtedy po amerykańskiej ziemi, a ci szamani i czarownicy mogli pobierać nauki bezpośrednio od nich. Nie da się przecenić ich mocy. Razem, pod przewodnictwem Misquamacusa, dysponują straszliwą potęgą.

— Masz jakiś plan?

— Jasne — wtrącił Harry. — Obiecamy im paciorki oraz wodę ognistą, jak za dawnych lat. Potem, kiedy będą te paciorki przymierzać i pić ognistą wodę, ukradniemy ich święty magiczny krąg i postawimy na nim centrum handlowe.

Śpiewająca Skała wyjął z kieszeni paczkę tytoniu do żucia.

— Przykro mi, Harry — uśmiechnął się. — Drugi raz to się nie uda.

Neil przygryzł wargę.

— Posłuchajcie — odezwał się zatroskany. — Tam jest mój syn. Mój syn i wszyscy jego koledzy. Co się z nimi stanie?

Szaman odgryzł wymierzoną porcję tytoniu i przez chwilę przeżuwał go w milczeniu. Potem splunął na ziemię.

— Miałem porozmawiać z tobą o tej sprawie — oświadczył z głęboką powagą. — Musisz zrozumieć, że jeśli Misquamacus wyodrębni się z umysłu Toby'ego i przyjmie fizyczną postać, odbierze dziecku tyle energii, że rezultat prawie na pewno okaże się fatalny.

Neil poczuł się tak, jakby ktoś trafił go kamieniem w głowę.

— Co powiedziałaś? — spytał słabym głosem. Śpiewająca Skała uspokajającym gestem podniósł obie ręce.

— Mówię ci to, ponieważ powinieneś być przygotowany na najgorsze. Istnieje pewna szansa, że kiedy szamani wykorzystają już dzieci dla własnej reinkarnacji, pozostawią je przy życiu.

— Więc po co to wszystko? — spytał Neil. Zbladł jak ściana. — Po co w ogóle staramy się je ratować?

— Nie chodzi tylko o dzieci — wtrącił Harry. — Staramy się ocalić przed potworną masakrą cały stan. Jest jednak jeszcze coś, prawda?

Śpiewająca Skała z wahaniem pokiwał głową.

— Myślę, że masz prawo, by wiedzieć o tym, co dobre, nie tylko o tym, co złe. Otóż, jeśli zupełnym przypadkiem uda nam się pokonać szamanów i odesłać ich do zewnątrz, dzieci powrócą całe i zdrowe. Trudno to wytłumaczyć białemu, ale w indiańskiej magii obowiązuje odwieczna reguła równowagi i odtworzenia. Coś w rodzaju okultystycznej zasady Newtona.

Neil odwrócił się i podszedł na skraj werandy. Harry spojrzął na przyjaciela. Wyraz jego twarzy wskazywał jasno, że chętnie podszedłby do Fennera i spróbował go pocieszyć. Śpiewająca Skała jednak pokręcił głową.

— Zostaw go. Jeżeli ma nam pomóc, musi spojrzeć w twarz faktom.

Neil słyszał go, nie odwrócił się jednak. Patrzył na to, co do zeszłego tygodnia było skromnym, ale szczęśliwym domem. Poczuł łyzy w oczach widząc pozostawiony obok szopy buldożer Toby'ego. Normalnie by się zdenerwował — mogło zacząć padać i zabawka by zardzewiała. Teraz nie miało to znaczenia. Toby już nigdy nie będzie się nią bawił. Może sobie tam leżeć.

Z wnętrza domu odezwał się dzwonek. Pomyślał, że to pewnie Saperstein, lecz nie mógł zebrać dość sił, by się ruszyć. Słyszał, jak Harry idzie odebrać telefon, jak trzaska kuchennymi drzwiami. Czuł się otępiały, pragnął jedynie położyć się w jakimś spokojnym miejscu i zasnąć.

Kątem oka dostrzegł za płotem jakiś niewyraźny kształt. Spojrzął uważniej, osłaniając oczy przed przymglonym, lecz ostrym blaskiem słońca, sączącym się przez warstwę chmur. Coś tam było, zmienne i ruchome niby przejrzysta flaga. Potem stawało się wyraźniejsze, jak fotografia z polaroida ukazująca się stopniowo na białym papierze. Wreszcie rozpoznał postać Dunbara, w jego szerokoskrzydłym kapeluszu, długim białym płaszczu i z wiszącym nisko na biodrach pasem z rewolwerem.

— Śpiewająca Skała! — szepnął bez tchu.

Indianin podniósł głowę i szybko spojrzął w miejsce, które wskazywał Neil.

— To Dunbar! To on, ten człowiek w długim, białym prochowcu.

Szaman zerwał się z krzesła. Dunbar zdjął kapelusz, machnął nim szerokim gestem, po czym stopniowo rozwiął się niby poranna mgła.

— Widziałeś go? — upewnił się rozgorączkowany Neil. — Widziałeś, jak tam stał?

— Tak — potwierdził Śpiewająca Skała. — Widziałem.

— Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Już myślałem, że to tylko moja wyobraźnia.

— Nie wiem, czy on może nam w czymś pomóc — stwierdził powątpiewająco Indianin. — Sądzę, że to tylko duch, manifestujący się na skraju swej astralnej

egzystencji, zakłóconej ostatnimi wydarzeniami.

Neil nie odrywał spojrzenia od kępy trawy, gdzie zniknął Dunbar.

— Nie byłbym taki pewny — oświadczył. — Wierzę, że to on mi pomógł, kiedy drewniany człowiek próbował mnie zabić, i uważam, że teraz także próbuje mi pomóc. Czuję się spokojniejszy, kiedy się pojawi.

Śpiewająca Skała spojrzał przelotnie na okoliczne wzgórza.

— Nie polegaj zbyt na duchach—powiedział. — Niektóre z nich bywają zdradliwe. W Dakocie Południowej znamy opowieści o demonach, przybierających postacie psów i prowadzących łowców do rzek lub do przepaści.

— Dunbar jest inny — oświadczył Neil z przekonaniem. Na werandę wyszedł Harry. W ręku trzymał zabazgrany skrawek brązowej koperty.

— Znaleźli ich?—spytał Neil.—Powiedzieli, co z Tobym? Harry rzucił okiem na nagryzmołone notatki.

— Znaleźli — odparł. — Autobus dotarł nad jezioro Beryessa tak, jak powinien. Stoi zaparkowany na moście nad Pope Creek.

— Zaparkowany na moście? Co on tam robi? Nie mówili, co z dziećmi?

— Dzieci są w autobusie. Kiedy policjanci próbowali podjechać bliżej i sprawdzić, co się stało, ich radiowóz zapalił się i wybuchł. Jeden z policjantów jest ciężko poparzony.

— O Boże! —jęknął Neil. — Zaczęło się.

— Masz cholerną rację: zaczęło się. To musi być sprawka Mistrza Andy'ego Beavera, podpalacza samochodów.

— W umyśle chłopca zwanego Andym Beaver przebywa szaman Pajutów o imieniu Złamany Płomień. Tak mi się przynajmniej wydaje. To jedyne dziecko, które wspomniało o paszczy na niebie. Tylko Pajutowie używali tego określenia. No i, naturalnie, posiada on te same umiejętności co Złamany Płomień, w szczególności podpalania przedmiotów na odległość.

— Złamany Płomień? — zainteresował się Harry. — Czy był potężny?

— Obawiam się, że był jednym z najpotężniejszych. Jego jedynym słabym punktem była nieumiejętność poskromienia demonów cholery i innych chorób, a także

to, że nie potrafił ocalić dusz tych ze swego ludu, którzy umarli pijąc za dużo whisky albo wpadając pod żelaznego konia. Innymi słowy, był mistrzem we wszelkich dziedzinach magii z wyjątkiem tych, które pochodziły z umiejętności białego człowieka, takich jak zarażanie chorobami, budowanie kolei czy destylacja alkoholu.

— Na rany Chrystusa! — zawołał Neil. — Nie stójmy tu dyskutując o sytuacji, tylko jedźmy tam!

— Neil ma rację — poparł go Harry. — Jeżeli policjanci zaczną się denerwować, sięgną po broń, a to już nie będzie zabawne. Zwłaszcza dla nich samych.

— Dobrze — skinął głową Śpiewająca Skała. — Harry, możesz przynieść moją walizkę? Neil, jeśli masz jakieś piwo czy soki, herbatniki albo krakersy, zabierz je ze sobą. To będzie ciężka noc, najcięższa z tych, jakie dotąd przeżyliście.

— Miejmy nadzieję, że nie okaże się najtrudniejsza i ostatnia — mruknął Harry otwierając drzwi.

Z dala od brzegu oceanu dzień był duszny i gorący. Jechali przez Dolinę Księżyca, wjeżdżając na wznoszące się pomiędzy regionami Napa i Sonoma wzgórza pokryte polami uprawnymi, mijali farmy oraz stada bydła. Potem zsuwali się w dół, na szerokie równiny południowej Napa Valley. Przed nimi, błękitne na tle przymglonego nieba, wyrastały pokryte lasem góry Vaca. Za ich szczytami leżało jezioro Beryessa — prostokątny obszar rozfalowanych wód długości prawie dwudziestu i szerokości trzech kilometrów.

— W niektórych częściach Nowej Anglii — zauważył Śpiewająca Skała, ciągle żując tytoń — Indianie nazywają takie zaokrąglone góry uncanoonucks, co tłumaczy się po prostu jako „kobiece piersi”.

Harry podskoczył na siedzeniu, gdy Neil przyspieszył mijając szczyt.

— A jak nazywają szamanów, którzy próbują zabawić ludzi opowiadając im o trywialnych indiańskich ciekawostkach? — zapytał.

— Tak samo jak irytujących białych jasnowidzów — wyjaśnił Śpiewająca Skała, nonszalancko opierając łokcie o ramę okna samochodu.

Neil pochylił się, włączając radio. Pokręcił gałką, przebiegając przez muzykę

country, fragmenty kazań i wybuchy śmiechu.

— Może dowiemy się czegoś o autobusie — powiedział. — Wiadomość już się pewnie rozeszła.

— Jak długo potrwa, zanim dojedziemy do jeziora? — spytał Śpiewająca Skała.

— Najwyżej dwadzieścia minut — zapewnił Neil. Pędzili teraz szosą przez Napa. Zmienili pas ruchu, by zjechać z głównej drogi i skręcić na wschód, przez miasto w stronę gór. — Mam nadzieję, że nie dojedziemy za późno — dodał. — Jeśli coś się stanie Toby'emu, to mówię wam...

— Słyszałeś, co powiedział Śpiewająca Skała — pocieszył go Harry. — Nic się nie zacznie, dopóki nie pojawi się bogini księżyca. To znaczy... teraz jest czwarta, więc zostało nam jeszcze sześć godzin.

Wjechali na przedmieścia Napa, w aleję Lincolna. Ruch był spory. Samochody poruszały się powoli i dostojnie, z szacowną prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Neil nie mógł nic na to poradzić, mógł tylko przyhamować i czekać, aż wyjadą z miasta. Przy każdym czerwonym świetle przygryzał wargi, bębniąc palcami po kierownicy.

— Ruszaj! No szybciej, ty draniu! — mruknął pod nosem, gdy wreszcie minęli granice Napa, tuż za mocno podrdzewiałym matadorem. Przycisnął pedał gazu. Samochód z rykiem skoczył w otoczoną eukaliptusami aleję prowadzącą w stronę gór.

Kilka kilometrów na wschód od miasta droga zaczęła się wznosić, wijąc się i skręcając wśród skał oraz kolczastych krzewów. Opony piszczały głośno, gdy Neil pokonywał kolejne zakręty, cały czas dociskając stopę do podłogi. Mijali porośnięte suchą trawą, ogrodzone płotami pola i zakurzone przydrożne parkingi. Przejeżdżali przez mosty i przepusty, a nad ich głowami ciemniało niebo, okrywając się atramentowo-czarnymi chmurami. W dali zajaśniała na moment błyskawica, suche liście przeleciały nad jezdnią, pędzone pierwszym podmuchem nadchodzącej burzy.

— Samo niebo wygląda dostatecznie ponuro — zauważył Harry. — Nie mówiąc już o sytuacji.

Śpiewająca Skała uniósł rękę, by go uciszyć.

— Jesteśmy już coraz bliżej. Bardzo blisko. Muszę się skoncentrować.

Zjechali krętą drogą po zboczu i wreszcie zobaczyli jezioro. Jego wody były niemal czarne, ciemniejsze nawet od kłębiących się w górze chmur. Wiatr podnosił fale z białymi grzbietami piany, podobne do rozrzuconych piór spadającego ptaka. Wyglądały złowieszczo, przetaczając się nad nie-odgadnionymi głębiami, oczekującymi na martwych i tonących.

— Most nad Pope Creek jest tam, za zakrętem — wyjaśnił Neil jadąc wzdłuż skalistych brzegów jeziora. — Hardin, Burton i Maxwell Creek łączą się tutaj, tworząc sporą zatoczkę.

Minęli ostatni zakręt przed mostem i trafili na blokadę drogi: pół tuzina błyskających światłami radiowozów, oddział policji z Napa oraz barykadę czerwono-białych barierek.

Policjant w przeciwsłonecznych okularach skinął, by Neil zjechał na bok.

— Przykro mi, chłopie — powiedział. — Będziesz musiał zawrócić. Przez dłuższy czas droga będzie zamknięta.

— Mój chłopak jest w tym autobusie — wyjaśnił Neil. — Jestem Neil Fenner. Mój syn to Toby Fenner.

— Możesz to jakoś udowodnić?

Neil podał mu prawo jazdy. Policjant przyjrzał się uważnie, pokiwał głową i oddał je z powrotem. Potem wskazał miejsce tuż przed mostem.

— Tam pan zaparkuje, tylko proszę zostawić wóz na poboczu. Przejdzie pan przez drogę i zgłosi się do oficera z głośnikiem.

— Nic się na razie nie stało? — spytał Neil. — Co z dziećmi?

Policjant podrapał się w głowę.

— O ile wiemy, nic im nie jest. Tyle, że nikt nie potrafi podejść do tego autobusu bliżej niż na dwadzieścia metrów. Nie odpowiadają na wezwania przez głośnik. Mamy paru rannych.

— Słyszałem.

Wysiedli, zostawiając samochód we wskazanym miejscu i rozejrzeli się w okolicy, którą Misquamacus wybrał sobie na pole bitwy. Rzeka rozlewała się tu szeroko, most miał prawie sto metrów długości. Był całkiem zwyczajny, z dwupasmową jezdnią oraz

metalowymi poręczami. Ustawiona przy drodze tablica informowała, że obowiązuje zakaz skakania do wody. Neil pamiętał jednak, że dzieciaki często urządzały sobie zabawę polegającą na skakaniu z poręczy. Do lustra wody było ponad piętnaście metrów, lecz jeśli jej poziom był dostatecznie wysoki, nie groziło im żadne poważniejsze niebezpieczeństwo.

Na drugim końcu mostu był spory plac, wykorzystywany przez turystów jako parking dla przyczep kempingowych. Policja opróżniła go i ogrodziła. Właśnie wylądował tam helikopter. Neil dostrzegł, że wysiada z niego jakiś wyższy oficer.

Na samym środku mostu stał żółty szkolny autobus. Zatrzymał się niemal w poprzek, tak że jedynie motocykl mógł przejechać przed nim lub za nim. Okna autobusu były ciemne, a wszystkie drzwi pozamykane. Co najdziwniejsze, wszystkie szyby pokryte były czymś białym, tak że nie dało się zobaczyć, co się dzieje wewnątrz.

— Co jest z tymi oknami? — zdziwił się Neil. — Nic nie widać.

Śpiewająca Skała osłonił dłonią oczy, spojrzął i kiwnął głową.

— Tak, jak myślałem — stwierdził. — To lód.

— Lód? W tym upale?

— Prawie na pewno. W autobusie otworzono bramę na zewnątrz, a zewnątrz jest zimniejsze niż cokolwiek, co mógłbyś sobie wyobrazić.

— Jeśli bardziej niż moje mieszkanie nocą w lutym, to rzeczywiście jest zimne — oświadczył z przekonaniem Harry.

Neil także osłonił oczy i przyjrzał się autobusowi dokładniej. Poza naroślami szronu na szybach lód pokrywał także wyloty wentylatorów na dachu. Nawet jezdnia na kilka metrów dookoła połyskiwała lodowymi kryształkami.

— Oni są martwi — szepnął. — Żadna ludzka istota nie wytrzyma takiego zimna.

— Nie, nie są martwi — sprostował Śpiewająca Skała. — Zapadli w rodzaj transu, gdyż szykują przejście dla swoich bogów i demonów. Gdybyś mógł teraz zajrzeć do środka, zobaczyłbyś pewnie, jak siedzą cicho, spokojnie na swoich miejscach, a cały autobus jest absolutnie ciemny i zimny. Pomyślałbyś, że nie żyją, ale to nieprawda. Tak właśnie muszą postępować, póki nie zjawi się Nepauz-had, by umożliwić

wezwanie Nashuny, Pa-La-Kai i Ossadagowah.

— Może powinniśmy porozmawiać z dowodzącym akcją? — zaproponował Neil.
— Powiedzieć mu, co wiemy?

Harry wzruszył ramionami.

— Nie sędzę, żeby choć przez chwilę nam uwierzył — mruknął zapalając papierosa. — Moim zdaniem powinniśmy robić swoje nie informując nikogo.

— Nie możemy. Oni mogą zacząć strzelać i co się wtedy stanie?

Śpiewająca Skała oparł dłoń na ramieniu Harry'ego.

— Neil ma rację — stwierdził. — Jeżeli policja zdecyduje się użyć broni, konsekwencje mogą być straszne. W tej chwili oni jeszcze nie wiedzą, z czym mają do czynienia. Tajemniczy, pełen dzieci autobus z zamarzniętymi oknami i spalony radiowóz. Będą się posuwać ostrożnie. Ale kiedy szamani sprowadzą pierwsze demony, rozpęta się piekło. Możemy tu zginąć tak samo łatwo jak ktokolwiek inny. Kule, jak mi kiedyś powiedział nowojorski taksówkarz, nie mają oczu.

Harry wypuścił z ust smużkę dymu. Zdawało się, że wisi nieruchomo w wilgotnym powietrzu. Na drugim brzegu jeziora było już całkiem ciemno, nawet wzgórza stały się niewidoczne. Woda zdawała się wydymać i pienić w niezdrowym podnieceniu.

— No, dobra — zgodził się Harry. — Ale jeśli uda ci się przekonać policję, że w autobusie siedzi dwudziestu dwóch szamanów, to jesteś jeszcze lepszy ode mnie.

Wszyscy trzej przekroczyli szosę, podeszli do siedmiu czy ośmiu policjantów, którzy obserwowali autobus, rozmawiając między sobą. Jeden z nich studiował rozłożoną na dachu radiowozu mapę i, jak się zdawało, dyskutował nad możliwością sprowadzenia helikoptera ciężarowego, który mógłby usunąć autobus z mostu.

— Problem w tym, że występuje nie wyjaśniony czynnik zimna — mówił. — W dodatku nie mamy pojęcia, co się dzieje w środku. Nie możemy sobie pozwolić na nieumyślne zranienie któregokolwiek z dzieci.

Neil przedstawił się. Dowódca, kapitan policji, był oficerem ze starej szkoły, w mundurze, który wyglądał, jakby właśnie wrócił z pralni, i butach wypolerowanych do

połysku świeżo wylanej smoły. Miał czerstwą, piegowatą i pokrytą plamami wątrobowymi twarz, małe, lecz przenikliwe oczy oraz równy, spiczasty wąsik.

— Jestem kapitan Myers z patrolu drogowego — przedstawił się wyciągając rękę.
— Czy ci dwaj panowie także są rodzicami?

— Chciałbym być, ale wie pan, jak to jest—odpowiedział Harry. — Narzeczona zachorowała na ospę.

Kapitan spojrział na niego z niechęcią.

— Staramy się nie wpuszczać na ten teren osób postronnych. Mamy do czynienia z poważnym i delikatnym problemem. Chodzi o życie dzieci. Wolelibyśmy uniknąć obecności cywilów.

— Kapitanie Myers — zaczął Śpiewająca Skała swym spokojnym i pełnym godności głosem. — Uważamy, że wiemy, co się tu dzieje. Wierzimy też, że jeśli pozwoli nam pan spróbować, uda się nam odwrócić katastrofę.

— Kim pan jest?

— Nazywam się John Śpiewająca Skała. Jestem szamanem z rezerwatu Pine Ridge w Dakocie Południowej. Plemię Siuksów.

— Jest pan indiańskim szamanem? — nie dowierzał kapitan.

— Zgadza się.

— No cóż — policjant z trudem skrywał uśmiech. — Otrzymałem już propozycje pomocy od najróżniejszych ludzi: strażaków, zapaśników, cyrkowców, kogo tylko pan zechce. Jest pan jednak pierwszym indiańskim szamanem.

— Kapitanie — wtrącił Harry. — On mówi poważnie. Aktualna sytuacja jest bezpośrednio związana z magią Indian. Jeśli chce pan wyciągnąć stamtąd dzieci żywe, musi go pan wysłuchać.

— A pan co, jego adwokat?

— Nie. Po prostu tak się złożyło, że jestem jednym z bardzo nielicznych ludzi, jacy widzieli piekło, które ma pan w tym autobusie.

— Jest pan jednym z nielicznych ludzi, którzy widzieli dzieci? Co pan wygaduje?

— Nie dzieci — przerwał mu Śpiewająca Skała. — Wcale nie dzieci. To dwudziestu dwóch odrodzonych szamanów z dawnych dni.

Kapitan Myers na chwilę zaniemówił. Patrzył tylko w oszołomieniu na Harry'ego i na Śpiewającą Skałę.

— Sierzancie — powiedział wreszcie zimno. — Proszę wyprowadzić tych ludzi. Chcę, żeby się stąd wynieśli. Niech pan zanotuje ich nazwiska i adresy, żebym mógł ich oskarżyć o utrudnianie pracy policji w krytycznej sytuacji.

Spojrzał groźnie na Śpiewającą Skałę.

— Nie wiem, coście za jedni i co to za sztuczki, ale obiecuję, że się dowiem, a wtedy pożałujecie. Dwudziestu dwóch indiańskich szamanów! Nawet w domu wariatów nie plotą takich bzdur.

— Rozumiem, co pan czuje, kapitanie — przekonywał go Śpiewająca Skała. — Z początku istotnie wydaje się to szaleństwem. Niemniej jednak jest to absolutna prawda. Zdarzyło się to już raz w Nowym Jorku, tutaj dzieje się znowu. Duchy, manitou dawnych czarowników przeniknęły do umysłów dzieci. W tej chwili przygotowują się, by wezwać najpotężniejszych z ich pradawnych bogów.

Myers przyglądał mu się przez chwilę, po czym odwrócił się bez słowa i znowu zaczął studiować mapę.

— Jest pan durniem? Czy jest pan po prostu durniem? — krzyknął Harry. — Nie słyszał pan, co mówił ten człowiek?

— Tak! — warknął kapitan odwracając głowę. — Słyszałem! I rzygać mi się chce od tego! Za każdym razem, gdy zdarzy się morderstwo, porwanie albo policjant zostanie ranny na służbie, z rynsztoków wpełzają tacy ludzie jak pan! Tacy, którzy próbują zrobić karierę na ludzkim nieszczęściu i sensacji! A teraz wynoście się stąd, zanim każę was zamknąć! Marnujecie mój czas!

Harry spojrzał na przyjaciela i wzruszył ramionami, co miało oznaczać: no cóż, próbowaliśmy. Zaraz potem zbliżył się sierżant, potężny mężczyzna o owłosionych, czerwonych rękach i brzuchu rozmiarów małego hipopotama.

— Zbierać się! — rzucił. — Wsiadać do wozu i odjazd. Pod eskortą ruszyli w stronę furgonetki. Zrobiło się tak ciemno, że kapitan Myers polecił rozstawić reflektory. Od zachodu nadleciał jeszcze jeden helikopter. W powietrzu unosił się ostry, metaliczny zapach, a błyskawice przebiegały po odległych szczytach gór Vaca.

Co chwila głębokie, wyraźne drzenie wstrząsało gruntem, jakby miało nadejść trzęsienie ziemi.

— Kapitanie! — krzyknął nagle któryś z policjantów. — Niech pan spojrzy na autobus!

Dotarli już niemal do samochodu, lecz teraz odwrócili się i wybiegli na środek jezdnii. Za policyjnymi barierami, oddalony o pięćdziesiąt metrów, stojący w połowie mostu autobus jarzył się słabą, zielonkawą poświatą. Miała ten sam upiorny poblask, co wymalowana w Pałacu Duchów czaszka, niewyraźny i pulsujący. Koła, karoseria, okna, wszystko promieniowało światłem.

Rozległ się także coraz głośniejszy dźwięk, tak wysoki, że niemal niesłyszalny, lecz zgrzytliwy oraz jęczący. Sprawiał, że czuli świdrowanie w zębach i mieli wrażenie, że wprawia w wibrację wszystkie kości.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy i bardziej ostry, aż Harry i Neil zatkali uszy rękoma. Jedyne Śpiewająca Skała pozostał nieporuszony, ze stoickim spokojem, w skupieniu, obserwując rozjarzony autobus. Policjanci kulili się za radiowozami wyjmując rewolwery, a kapitan Myers wołał, by sprowadzić strzelca wyborowego.

W krótkim czasie dokuczliwy dźwięk zmienił się w nieskończone, niemożliwe do zniesienia wycie, tłumiące każdą sensowną myśl. Harry ledwie słyszał krzyki i tupot biegnących nóg, a odgłos zdawał się zakłócać nawet działanie wzroku.

— Patrzcie! — krzyknął inny policjant. — Drzwi się otwierają.

Natychmiast odwrócono reflektor tak, by oświetlał przednie drzwi autobusu. Wśród ciągłego jękliwego wycia rozsunęły się z niemal niesłyszalnym sykiem, a policjanci starannie wymierzili broń w ciemny otwór.

— Nie strzelać! — krzyknął któryś z nich i wtedy zobaczyli, kto wychodzi na zewnątrz. Błada w świetle reflektorów, potykając się, zeszła po schodkach pani Novato.

Kapitan Myers wyprostował się i podniósł głośnik.

— Pani Novato? Pani Novato, proszę tu podejść! Proszę iść i nie oglądać się za siebie! Przy barierce czekają na panią moi ludzie!

Nie wiedział, czy słyszy go wśród nieznośnego jęku, więc powtórzył wiadomość

jeszcze raz, powoli i wyraźnie. Pani Novato w białej, plisowanej spódnicy, zielonej bluzce oraz wygodnych butach stała chwiejąc się i nie reagując na wezwania.

— Niech pani tu podejdzie! — krzyczał kapitan. — Proszę tu podejść!

Gdy nadal nie ruszała się z miejsca, odwrócił się i zawołał:

— Potrzebuję dwóch ochotników, żeby tam poszli i sprowadzili ją! Natychmiast!

Dwóch policjantów wybiegło zza radiowozów, a kapitan udzielił im krótkich instrukcji. Nim jednak skończył, przerwał nagle, podnosząc głowę. Pani Novato postąpiła niepewnie krok do przodu, potem jeszcze krok i jeszcze jeden. Potem pochyliła się i upadła na twarz.

— Biegiem! — rozkazał kapitan. Obaj policjanci ruszyli przed siebie z rewolwerami gotowymi do strzału. Ominęli samochody i pędem rzucili się w stronę autobusu. Biegli zygzakiem, nisko pochylając głowy. Po chwili byli już przy nauczycielce, chwycili ją pod pachy i pobiegli z powrotem. Obcasy wygodnych butów pani Novato wlokły się po asfalcie. Wkrótce dotarli do grupy radiowozów. Pasażerowie rozjarzonego, zimnego autobusu nie wykazywali śladu zainteresowania ani wrogości.

Funkcjonariusze ułożyli panią Novato na kocu. Policyjny lekarz przykucnął obok i szybko zbadał puls, ciśnienie oraz reakcję źrenic. Po krótkiej chwili wstał.

— Nie żyje — oznajmił.

— Od czego zginęła? — chciał się dowiedzieć Myers. — Możesz to wyjaśnić?

Lekarzem był młody człowiek o bladej cerze, z ciemną szczeciną na policzkach i spiczastym nosem.

— Sam pomacaj — powiedział. — Brzuch.

Kapitan przykucnął, delikatnie przytykając do brzucha nauczycielki rozłożoną dłoń.

— Wydaje się całkiem zimna — stwierdził. — Ale to naturalne, skoro zamarznął cały ten cholerny autobus.

— Przyciśnij mocniej — poradził obojętnie lekarz. Kapitan spojrzał na niego lekko poirytowany. Nie lubił ludzi, którzy dziwnie się zachowują. Spróbował chwycić palcami skórę brzucha, ale nie mógł. Raz jeszcze spojrzał na lekarza.

— Ona jest twarda jak skała — oznajmił. — Na dotyk przypomina kawał zamrożonego mięsa.

Lekarz schylił się i podwinął białą, plisowaną spódnicę pani Novato. Nogi nauczycielki, od kolan w górę, miały barwę bladoniebieską, były sztywne, twarde jak kość. Szron pokrywał owłosienie łonowe, lecz najgorsze wrażenie sprawiała pochwa, rozwarta obscenicznie i tak zlodowaciała, odsłaniająca prążkowane błękitno wnętrze.

Ciało pani Novato, od kolan do piersi, zostało wystawione na tak intensywne zimno, że uległo całkowitemu zamrożeniu.

Zafascynowany kapitan Myers nie mógł się powstrzymać, by jeszcze raz nie dotknąć ciała, które powinno być miękkie i uginać się pod naciskiem, a tymczasem zmieniło się w coś zimnego, twardego jak marmurowa kolumna.

— Potraktujemy to jak zabójstwo — oświadczył suchym, drżącym lekko głosem. — Zabierzcie ciało na sekcję i powiedzcie tam, że mają wykryć, jak tego dokonano, choćby zajęło im to całą noc, dzień i jeszcze jedną noc. Jasne?

— Tak jest, kapitanie.

W pobliżu, zapomniani przez sierżanta, który miał odprowadzić ich do furgonetki, obserwowali rozwój wydarzeń Neil, Harry i Śpiewająca Skała.

Neil odwrócił się od upiornej sceny.

— Boże — szepnął. — O Boże!

— Jak to się stało? — spytał cicho Harry.

Indianin przyglądał się, jak nadbiega sanitariusz z noszami i okrywa ciało pani Novato czerwonym kocem.

— Dali ją Sakowi—wyjaśnił. —Pradawnemu strażnikowi bramy. To ten mglisty demon, którego widzieliśmy na zdjęciach Sapersteina. Przypuszczam, że jedną z nagród, jakich zażądał, była właśnie kobieta ludzkiej rasy. Zgwałcił ją, jak pewnie zauważyliście. Jedyna różnica między tym a jakimkolwiek innym gwałtem polega na tym, że pani Novato cierpiała niewyobrażalne tortury psychiczne. No i, naturalnie, ciało Saka ma temperaturę jakichś dwustu stopni poniżej zera.

ROZDZIAŁ 8

Lekarz oraz policjanci wracali powoli na stanowiska, a sierżant, blady wprawdzie i wstrząśnięty, zjawił się znowu, by zaprowadzić całą trójkę do samochodu.

— Co pan o tym myśli, sierzancie? — zapytał Harry. — Widział pan już coś podobnego?

Policjant otworzył drzwi furgonetki, dając znak, by wsiedli do środka.

— W mojej robocie widuje się setki sztywniaków — odparł. — Jeden więcej nie robi różnicy.

Śpiewająca Skała zmierzył go uważnym spojrzeniem.

— Wiem, jak łatwo stać się obojętnym, sierzancie — stwierdził. — Pozwoli pan jednak, że postaram się go ostrzec. Tej nocy, ten jeden raz, niech pan nie będzie obojętny. Niech się pan przygotuje na niespodziewane ataki. Niech pan będzie bardzo ostrożny.

Sierżant otarł ramieniem pot z czoła.

— Mówisz, jakbyś wiedział, co się tu dzieje.

— Bo wiem.

— To najlepszy dowód, żeście czubki. Każdy, kto myśli, że wie, dlaczego autobus zaczyna świecić jak gnijąca makrela i w jaki sposób kobieta może zamarznąć na kość w samym środku września, musi być szurnięty.

— Do diabła! — zawołał rozgniewany Neil. — Czy wy nie...

— Neil! — przerwał mu Harry. Po czym dodał, już ciszej: — To nic nie pomoże.

Neil raz jeszcze spojrział na autobus, ciągle stojący pośrodku mostu z pokrytymi szronem oknami. To nie do wiary, że był tam Toby, brał udział w jakimś potwornym obrzędzie, że to Toby wezwał tego podobnego do ośmiornicy demona i oddał mu panią Novato. Lecz w tę mroczną, straszną noc, siedząc w furgonetce nad jeziorem Beryessa, obok Indianina i sarkastycznego jasnowidza z Nowego Jorku Neil wiedział, że to wszystko musi być prawdą.

Uruchomił silnik i odjechali.

Śpiewająca Skała przesuwał palcami po amuletach na szyi.

— Moim zdaniem powinniśmy poczekać, aż się porządnie ściemni — oświadczył.
— Wtedy wrócimy i zobaczymy, czy uda się nakreślić magiczny krąg.

— Jak chcesz tego dokonać, kiedy autobus stoi na moście?

— Rzecz będzie niezwykle trudna. To jeden z powodów, dla których Misquamacus wybrał właśnie to miejsce. Nikt nie może zbliżyć się niepostrzeżenie i nikt nie zdoła otoczyć autobusu wszystkimi magicznymi substancjami, koniecznymi, by go tam uwięzić.

— Więc co się teraz stanie? — spytał Neil. Śpiewająca Skała potarł palcami powieki.

— Nie wiem. Będziemy postępować zależnie od rozwoju sytuacji.

Przez długą chwilę jechali w milczeniu słabo widoczną w mroku szosą.

— Jest pewien drobiazg, który chodzi mi po głowie — odezwał się po kilku minutach Harry. — Coś, czego nie sprawdziliśmy. Myślałem o tym zeszłej nocy, ale rano jakoś zapomniałem. Mamy, zdaje się, parę godzin, więc moglibyśmy popatrzeć.

— O co chodzi?

— O to, co powiedział Neilowi Toby, kiedy Misquamacus pojawił się po raz pierwszy. Mówił wtedy o pogrzebanym w ziemi prorocztwie na wielkiej, kamiennej sekwoi. Nie sprawdziliśmy, co mówi to prorocztwo ani gdzie można je znaleźć, ani nic.

Neil wjechał na skrzyżowanie z trasą 128 i skręcił ostro w prawo, w kierunku Ciles Valley.

— Domyślam się, że Misquamacus miał na myśli któreś z drzew w Skamieniałym Lesie w Calistodze — zauważył. — Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem, że jest tam wielka sekwoja zagrzebana częściowo w zboczu wzgórza.

— Chcesz ją obejrzeć? — zwrócił się Harry do Śpiewającej Skały. — Uważam, że powinniśmy. Jeżeli jest tam coś, o czym nie wiemy, a Misquamacus przyszykuje nam jakąś paskudną niespodziankę, będziemy żałować do końca życia. Czyli jakieś pięć, dziesięć minut, o ile będziemy mieli szczęście.

— Jak stoimy z benzyną? — zapytał Śpiewająca Skała.

— Wystarczy — zapewnił Neil. — Jedźmy tam. Nawet jeśli niczego nie znajdziemy, nie będę ciągle myślał o Tobym.

Kiedy dotarli na miejsce, wejście do Skamieniałego Lasu było zamknięte. Wprawdzie zbliżała się dopiero piąta, lecz niebo pociemniało groźnie, a grzmoty nadchodzącej burzy stawały się coraz głośniejsze. Zaparkowali furgonetkę przed bramą, a Harry wysiadł i obszedł niewielki barak, gdzie mieściło się biuro oraz sklep z pamiątkami. Zastukał w okno.

— Proszę nas wpuścić.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich śliczna brunetka w brązowym kombinezonie.

— Przykro mi — powiedziała. — Już zamknięte. Otwieramy jutro rano, jeśli miałby pan ochotę wpaść. To miejsce jest naprawdę warte obejrzenia.

— Chwileczkę — przerwał jej Harry. — Czy zastałem kierownika?

— Nie. — Dziewczyna pokręciła głową. — Dzisiaj go nie będzie.

— A czy jest ktoś, kto wie coś więcej o Skamieniałym Lesie? Poza panią, oczywiście.

— Tylko profesor Thoren. Ale on nie jest specjalistą od drzew. Na pańskim miejscu wróciłabym tu rano.

— Kto to jest profesor Thoren? Czym się zajmuje? Wzruszyła ramionami.

— Nie jestem pewna. Ja tu tylko pilnuję, kiedy szef wyjedzie. Profesor jest teraz przy Tunelowym Drzewie.

— Tunelowym Drzewie? Co to jest? Uśmiechnęła się.

— Nie rozumiem, czemu nie przyjechał pan wcześniej. Sam by je pan obejrzał. Naprawdę robi wrażenie. To skamieniała sekwoja, długości ponad stu metrów, leżąca na boku, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Była zagrzebana w ziemi, mniej więcej od początku wieku kopią wzdłuż niej, żeby ludzie mogli przechodzić tunelem i oglądać. Jest wspaniała.

— I tam właśnie jest teraz profesor Thoren?

Dziewczyna skinęła głową.

— Pracuje tam już ponad rok. Próbuje odczytać indiański napis.

Harry spojrział na nią z niedowierzaniem.

— Nieprawdopodobne! Na tym drzewie jest indiański napis?

— No pewnie. Pisali o tym w miejscowych gazetach. Znaleźli go jakieś dwa lata temu, kiedy kopali tunel dalej. To tylko jakieś nacięcia. Nazywają je pismem obrazkowym.

— No jasne —mruknął Harry. — W czasach Misquamacusa ten napis musiał być jeszcze pod ziemią.

— Przepraszam, nie dosłyszałam.

— Nie ma za co—powiedział Harry. Czuł ogarniające go podniecenie. Po raz pierwszy, odkąd przyleciał Neilowi na pomoc, robił jakieś postępy. Niewielkie wprawdzie, ale zawsze. Przestali wreszcie cofać się rozpaczliwie przed Misquamacusem.

— Chcę panią prosić o przysługę — oświadczył.—Wiem, że już zamknięte i w ogóle, ale naprawdę muszę porozmawiać z profesorem Thorenem.

Jakoś nie mógł wzbudzić w dziewczynie zaufania.

— Czy zna go pan osobiście? To znaczy, jest pan jego znajomym czy co?

— Nie, nie znam go. Ale muszę, ja i moi przyjaciele, zobaczyć ten napis, który on bada.

— Cóż, przykro mi, ale musicie przyjechać rano.

Harry obdarzył dziewczynę swym najbardziej efektownym, szczerym spojrzeniem, zarezerwowanym dla starszych pań, które usiłowały posrebrzyć mu rękę niedostatecznie grubą warstwą.

— Musi mi pani uwierzyć — rzekł. — To najważniejsza sprawa w całym moim życiu. Od dziesięciu lat szukam takiego pisma. Na Alasce. W Arizonie. Wszędzie. Dziesięć lat trudów i zmagañ. A pani mi każe wrócić rano.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zrozumieniem, lecz i odrobiną zakłopotania.

— No dobrze, może pan chyba rzucić okiem. Ale musi pan zapłacić za wstęp.

— Naturalnie. Zapłacę też za moich kolegów.

— Kolegów? — spytała niepewnie, lecz Harry podsuwał jej już sześć dolarów.

Gdy tylko z oporami podała mu trzy bilety, wrócił szybko do samochodu i

zastukał w szybę. Neil i Śpiewająca Skała słuchali wiadomości radiowych. Dali mu tylko znak, żeby nie przeszkadzał.

— Próbowali wysłać do autobusu sześciu ludzi z grupy specjalnej — zrelacjonował Śpiewająca Skała, gdy dziennik się skończył. — Mówią, że wszyscy zostali trafieni i zginęli. Leżą teraz na szosie.

— To beznadziejne — stwierdził Neil. — Jak możemy walczyć z czymś tak potężnym?

— Chyba coś znalazłem — oznajmił Harry. — Tam jest jakiś profesor Thoren. Pracuje nad tłumaczeniem napisu, który odkryli na pniu skamieniałego drzewa ze dwa lata temu. Podobno pisały o tym gazety, ale chyba ich nie czytałem. To było, zanim pierwszy raz spotkałem Misquamacusa. Wtedy nie interesowałem się specjalnie Indianami.

— Przecież Misquamacus powiedział, że prorocstwo ciągle jest ukryte — przypomniał Neil.

— A skąd miał wiedzieć? — spytał Harry. — Nie sądzę, by w wielkim zewnątrz dostawali „San Francisco Examiner”. A ten Skamieniały Las odkryto dopiero koło tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku, po jego ostatniej reinkarnacji.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Śpiewająca Skała. Harry odwrócił się i wskazał ręką.

— Tak jest napisane na tej tablicy na drzewie. Sądziłem, że Indianie mają doskonały wzrok.

Szaman mruknął coś rozbawiony, potem wysiadł. Wszyscy trzej przeszli przez kołowrotek pod gałęziami wielkiego dębu i znaleźli się w parku.

Aby dotrzeć do Tunelowego Drzewa, musieli wspiąć się na stromą ścieżkę, a potem przejść wzdłuż łąki pod grzbietem wzgórza. W lesie panowała cisza, zakłócana jedynie szumem liści, szuraniem wiewiórczych pazurków po gałęziach oraz odgłosem ich własnych kroków, wyraźnie słyszalnych na suchym, zasypianym liśćmi gruncie. Neil zabrał z samochodu latarkę, lecz mimo to las pod zachmurzonym niebem wydawał się mroczny i pełen tajemniczych cieni.

W połowie zbrocza natknęli się na gigantyczną, powaloną sekwoję otoczoną

łańcuchem. Drewno załśniło i roziskrzyło się, gdy Neil oświetlił je latarką. Jak wszystkie drzewa tego lasu, przesycone było pochodzącymi z lawy wulkanicznej krzemianami, które powoli zmieniły je w kamień. Potężny pień średnicy prawie półtora metra krył się w kamienistym zboczu. Równoległe do niego wykopano wąski tunel, oszalowany deskami.

W głębi dostrzegli jakieś światło.

— Lepiej pójdę pierwszy — oznajmił Harry.

Pochyliwszy głowy weszli do środka. Posuwając się ostrożnie dotarli do ślepej ściany. Na turystycznym krzeselku siedział tam mężczyzna w średnim wieku, ubrany w dżinsy i flanelową koszulę, otoczony całą baterią lamp, aparatów fotograficznych oraz przyrządów kreślarskich. Przez okulary ze szklami powiększającymi przyglądał się uważnie skamieniałemu pniu.

Harry stanął za nim i czekał. Profesor jednak był tak pochłonięty pracą, że nie zwrócił na niego uwagi. Pochylił głowę. Jego ściągnięte brwi przypominały włochatą gąsienicę, a dłoń zawisała nad papierem, gotowa do rysowania.

W tunelu było ciepło i wilgotno. Harry poluzował kołnierzyk koszuli.

— Przepraszam — odezwał się. — Czy profesor Thoren? Mężczyzna drgnął. Potem, bardzo wolno, wyprostował się i obejrzał. Za powiększającymi szklami jego oczy zdawały się tak ogromne, że Harry poczuł się trochę nieswojo. Profesor jednak zdjął szkła, zastępując je zwykłymi okularami.

— Czy macie pojęcie, ile koncentracji wymaga zrozumienie tych hieroglifów? — zapytał z wyraźnym akcentem Nowej Anglii.

Harry uśmiechnął się niepewnie i wzruszył ramionami.

— Nie wiecie, bo i skąd — stwierdził profesor. — Ale mogę was zapewnić, że przerwaliście mi dwugodzinny proces analizy.

— Nie przeszkadzalibyśmy panu, profesorze — zapewnił Śpiewająca Skala. — Ale sytuacja jest poważna i wymaga pośpiechu. Chodzi o życie wielu ludzi.

— Pośpiechu? — spytał z ironią profesor. — Jak może wymagać pośpiechu cokolwiek, co ma związek z tym napisem? Był tu od dwóch tysięcy lat, może nawet dłużej. To drzewo leży tutaj od sześciu milionów lat. W takich sprawach nic nie

wymaga pośpiechu. Niemożliwe.

— Trudno mi to wyjaśnić, panie profesorze, a nawet gdyby mi się udało, pewnie i tak by mi pan nie uwierzył. Chcę jednak pana zapewnić, że nie żartujemy, nie jesteśmy wariatami i że koniecznie, szybko musimy się dowiedzieć, co głosi to proroctwo. Thoren spojrział na niego uważnie.

— Jest pan Indianinem, prawda? Mam nadzieję, że nie chodzi o sprawę indiańskich praw i tę historię z Wounded Knee?

— Byłem pod Wounded Knee, doradzałem i pomagałem — odparł Śpiewająca Skała. — Problem, którym się zajmujemy, nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o magię Indian.

Thoren wstał, składając krzeselko. Był wysokim mężczyzną o szczerej, szerokiej twarzy. W niskim tunelu nie mógł się wyprostować.

— Czemu pan sądzi, że ta inskrypcja jest proroctwem? Widział pan kiedyś podobną?

— Nigdy. Ale wspominają o niej pewne indiańskie legendy.

— Zaskakuje mnie pan — oświadczył naukowiec. — Myślałem, że znam wszystkie indiańskie legendy, jakie można poznać. Żadna jednak nie wspomina, że mogłoby to być proroctwo. Ja sam dopiero niedawno doszedłem do wniosku, że istotnie jest to rodzaj mistycznej przepowiedni. Albo więc wiecie coś, o czym ja nie wiem, albo jesteście lepsi ode mnie w czytaniu hieroglifów.

— Powiedzmy, że otrzymaliśmy pewną poufną informację — wyjaśnił Harry. Nie czuł się najlepiej. W tunelach cierpiał na klaustrofobię; teraz modlił się, by profesor szybko powiedział to co ma do powiedzenia i żeby mogli już wyjść.

Thoren spojrział na niego pytająco.

— Poufną informację? Powiedział pan to w taki sposób, jakby pochodziła od samego Gitche Manitou.

— Niezupełnie — przyznał Harry. — Ale prawie. Wie pan, jak te manitou lubią plotkować.

— Panie profesorze — odezwał się Neil. — Mam ośmioletniego syna. Znalazł się w strasznym niebezpieczeństwie, a ci ludzie starają się ocalić mu życie. Gdyby

zechciał pan im pomóc, byłbym dozgonnie wdzięczny.

Thoren przyglądał się im uważnie w jaskrawym świetle lampy.

— Słyszałem już w życiu rzeczy bardziej nieprawdopodobne. Co chcecie wiedzieć?

Harry wskazał palcem na hieroglify wyryte w twardej jak kamień powierzchni pnia gigantycznej sekwoi.

— Czy wie pan, w ogólnych zarysach, co to znaczy?—zapytał.

Thoren przesunął palcami po liniach tekstu. Tworzyły trójkąty, krzywizny, figury podobne do sylwetek ptaków, kółka oraz punkty.

— W ogólnych zarysach, chyba tak — odparł. — Przetłumaczyłem to dosłownie na angielski. Te hieroglify są zadziwiająco podobne do inskrypcji znalezionych na kamieniach w Nowej Anglii i w Ameryce Środkowej. Nie wiem, kto je tu wyrył, po co, ani nawet w jaki sposób, gdyż to skamieniałe drzewo jest niesamowicie twarde. Musi to jednak być ważna wiadomość, ponieważ ten ktoś zadał sobie wiele trudu, aby ją zachować. Być może zapisano ją dwa tysiące lat temu, może o wiele dawniej. Pochodzi z pradawnych czasów, kiedy ta ziemia, od wschodniego do zachodniego wybrzeża, należała do Indian.

Spojrzał na Śpiewającą Skalę.

— Nie popieram Indian, próbujących zmienić obecną sytuację i powrócić do dawnych układów — oświadczył. — Ale rozumiem, co pan czuje. Gdyby ten kraj należał kiedyś do mnie, odczuwałbym to samo.

Harry otarł chusteczką czoło i kark. Tunel zdawał się coraz węższy i bardziej gorący, a w dodatku była już szósta trzydzieści. Do przybycia bogini księżycy pozostało bardzo niewiele czasu.

— Tłumaczenie, profesorze — przynaglił.

— Cóż, nie wiem, w czym może ono wam pomóc — naukowiec wzruszył ramionami. — Ale proszę bardzo. Pierwszy hieroglif, tutaj, jest czymś w rodzaju zagajnika. Można by powiedzieć, że oznacza: „Słuchajcie!” Reszta natomiast znaczy tyle: „Po dniach, kiedy odejdą najwięksi z wodzów i dniach, gdy ziemia i zwierzęta biegające po nich zostaną stracone, magowie w zewnątrz czekać będą przez

dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć księżyców, aż do dnia niewidzialnych gwiazd, kiedy zjednoczą się, by wezwać Pa-la-kai, i Nashunę, i Coyote, strasznego niszczyciela, a także przywołać Ossadagowah, syna Sadogowah i tych z zewnątrz, którzy nie mają ludzkiej postaci”.

Thoren przerwał na moment.

— Nie sądzę, żebyście wiedzieli, o co w tym chodzi — stwierdził. — Ale jeśli chcecie, mogę wytłumaczyć.

Harry, blady i zlany potem, pokręcił głową.

— Wiemy, co to znaczy, profesorze. Niech pan mówi dalej.

Naukowiec chciał coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie i ze zrezygnowaną miną wrócił do napisu.

— Jak pan chce. Tutaj, w szóstej linii, mamy: „Czarownicy odpłacą za kradzież ich ziem i zwierząt biegających po nich” i tak dalej, a w tym celu „wezwą także tego-który-śpi-pod-powierzchnią-wód i który czeka od najdawniejszych dni”.

Obejrzał się.

— W angielskim nie ma odpowiednika słowa na określenie „tego-który-śpi-pod-powierzchnią-wód”, choć tutaj reprezentuje tę nazwę pojedynczy glif. Nie chodzi tu o rybę, prehistorycznego potwora i nic w tym rodzaju. Gdyby przełożyć wszystkie niuanse tego znaku, znaczy on „wielki i straszny bóg z pradawnych czasów, który został wygnany pod fale i który od tego dnia śni o swym powrocie na brzegi ziemi”.

— Czy jest tam jeszcze coś? — zapytał Śpiewająca Skała z napięciem w głosie.

Thoren zmarszczył brwi.

— Pan to bierze na serio, prawda? Nie żartuje pan sobie?

— Profesorze — nalegał szaman. — Proszę mi powiedzieć, czy jest tam coś jeszcze.

— Jest jeszcze jedna linia. Mówi coś takiego: „ten-któ-ry-śpi-pod-powierzchnią-wód powstanie tego dnia na wezwanie Ossadagowah i rozpocznie się masakra tysięcy”. Słowo, które przetłumaczyłem jako „masakrę” może oznaczać także „rzeź” albo „mordowanie”. To bardzo stary glif, często używany dla opisu rytuałów ofiarnych.

Śpiewająca Skała nie odezwał się przez chwilę. Zdawało się, że szuka w pamięci czegoś, co usłyszał wiele lat temu, kiedy był jeszcze młody, od szamana, który go nauczał. Thoren spojrział pytająco na Harry'ego, lecz ten tylko wzruszył ramionami.

— Profesorze — odezwał się wreszcie Śpiewająca Skała. — Musimy pana zostawić. Cieszę się, że pana spotkaliśmy, i przepraszam za te wszystkie żądania oraz pośpiech. Bardzo nam pan pomógł.

— Chwileczkę — przerwał mu naukowiec. — Nie możecie tak sobie przyjść, wykorzystać moją całoroczną pracę, a potem wyjść nie dając nic w zamian.

— Och, przepraszam — Indianin sięgnął do kieszeni płaszcza. — Czy wystarczy uncja tytoniu do żucia?

— Drogi panie—Thoren był zniecierpliwiony. — Mówię o wzajemnym oddziaływaniu kultur. Wiem, co oznaczają te hieroglify, ale nie wiem, o czym mówią. Nigdy nic takiego nie słyszałem. Nie możecie mnie zostawić nie wyjaśniając, co wiecie na ten temat.

— Profesorze — odparł poważnym tonem Śpiewająca Skała. — Powód, dla którego nie zna pan znaczenia tego napisu jest taki, że ze wszystkich indiańskich legend ta budzi największy lęk i jest trzymana w najgłębszej tajemnicy. To legenda o najgroźniejszym z dawnych bogów. Przez wieki ukrywano ją przed białymi bojąc się tego, co mogliby wywołać, gdyby nieświadomie wymówili święte zaklęcia.

— Pan w to wierzy? — spytał Thoren. — Naprawdę pan wierzy, że gdyby rzucono zaklęcie, wywołano by jakiegoś dawnego boga?

Szaman spojrział na niego wyzywająco.

— Tak, profesorze, wierzę — powiedział wolno głębokim, pełnym godności głosem. — Wierzę w bogów, gdyż wiele razy przychodzili mi z pomocą, kiedy byłem słaby i pełen zwątpienia. Wierzę w bogów, ponieważ oni nadal żyją, oddychają i przemawiają do mnie z ziemi, która kiedyś należała do mego ludu. Wierzę w bogów, gdyż zaopiekują się moim manitou, kiedy odejdę w wielkie zewnątrz.

— Rozumiem — Thoren był nieco zmieszany. — Więc co to za bóg, który śpi pod falami?

— Wiele jest opowieści o nim. Ma być bezkształtny niby chmura i czasem tak

olbrzymi, że może wznosić się ponad całą ziemię. Jego twarz to piekielna płatanina węży, a paszcza jest jak otchłań. Tak przynajmniej mówią legendy.

— Brzmi to dość groźnie. Kto zdołał go wypędzić pod powierzchnię wód? Musiał to być ktoś z prawdziwym magicznym talentem.

— Był — przyznał Śpiewająca Skała. — W tamtych dniach jednak niemal każdy szaman był niewiarygodnie potężny. Mówiono, że niektórzy potrafili zonglować małymi słońcami albo przekraczać wodę bez kanoe. Lecz czarownik, który wypędził tego właśnie boga, był najpotężniejszy ze wszystkich. To Misquamacus, znany też jako Quamis albo Quanquus. Legenda głosi, że Misquamacus wpędził boga pod powierzchnię ziemskich wód i zabezpieczył je zaklęciem tak, by bóg już nigdy nie zdołał wynurzyć się ponownie i przejść przez wodny portal do świata ludzi. Nie mógł go odesłać do wielkiego zewnątrz, gdyż bogowie tak potężni wracają tam jedynie z własnej woli. To co uczynił wystarczyło jednak, by jego lud rozrastał się i rozkwitał, nie molestowany o ludzkie ofiary i nie mordowany we śnie.

— Ale ten napis mówi, że bóg zostanie uwolniony — zauważył profesor. — Jeśli jego ofiarami byli czerwonoskórzy, nie biali, to czemu szamani mieliby go wzywać?

— Uwolniony z zaklęcia bóg ma dług wdzięczności wobec tego, kto go uwolnił — wyjaśnił szaman. — To część zasady równowagi indiańskiej magii.

— Nawet jeśli uwalniający jest tą samą osobą, która go wcześniej uwięziła? — zainteresował się Harry.

— To bez różnicy — odparł Śpiewająca Skała. — Rozumiesz, takiego boga nikt by nie zaklinał, gdyby on sam nie wyniszczał albo nie przerażał ludu czarownika. W ten sposób równowaga nie ulega naruszeniu.

— Czy ten dawny bóg miał jakieś imię? — chciał się dowiedzieć Thoren. — Może je już słyszałem.

— Większość dawnych bogów miała setki imion. Tego konkretnego Indianie Natick z Bostonu nazywali Paukunnawaw, Wielki Niedźwiedź, ponieważ przychodził nocą jak niedźwiedź i zostawiał po sobie straszliwie okaleczone ciała. Kiedy Cotton Mather w siedemnastym wieku rozmawiał z Natickami, zapytał ich, co wiedzą o gwiazdach, a oni wskazali niebo i powiedzieli: Paukunnawaw. Mather był

zachwycony, gdyż uznał, że Indianie w jakiś cudowny sposób poznali europejską nazwę gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy. Nie rozumiał, że mówią o pradawnym bogu, który przybył z gwiazd, by ich pożerać. Inne plemiona nadawały mu długie, trudne do wymówienia imię, oznaczające Bezkształtną Istotę z Zatok. Najpowszechniej jednak stosowane imię brzmiało Ka-tua-la-hu. Trudno wyjaśnić, co to znaczy, tak jak te hieroglify trudne są do przetłumaczenia. Siuksowie uważają, że oznacza to tego-który-czai-się-w-naj-głębszych-jeziorach.

— Pójdę odetchnąć świeżym powietrzem — przerwał Harry. — Czuję się jak na seminarium zorganizowanym w metrze.

— Masz rację — zgodził się Neil, ruszając za nim. — Idę z tobą.

Śpiewająca Skała uścisnął profesorowi rękę.

— Ja także muszę już pana opuścić. Znaleźliśmy się dzisiaj w krytycznej sytuacji. Proszę jednak pamiętać, że bardzo nam pan pomógł. Kiedy to wszystko się skończy, wrócimy tu, o ile będziemy mogli, i opowiem panu wszystko, co wiem o Ka-tua-la-hu. Zasluguje pan na tę wiedzę. Profesor Thoren uśmiechnął się niepewnie.

— Po tym, co usłyszałem, nie jestem przekonany, czy chciałbym dowiedzieć się więcej.

Pożegnali się i Śpiewająca Skała ruszył oświetlonym tunelem do wyjścia, w ciemność Skamieniałego Lasu.

— I co? — spytał Harry, gdy tylko go zobaczył.

— Jest gorzej, niż myślałem. Ka-tua-la-hu był zawsze najpotworniejszym i najbardziej żądnym krwi ze wszystkich bogów. Budził lęk tak wielki, że jego imię przetrwało jego religię. Na wybrzeżu Indianie kogoś, kogo się boją, ciągle nazywają „Katua”.

— Nie bardzo rozumiem — odezwał się Neil. — Chcesz powiedzieć, że Misquamacus ma zamiar wezwać tego boga?

Śpiewająca Skała skinął głową.

— To jest drugi powód, dla którego wybrał tę okolicę, oprócz siły, jaką może czerpać z dawnego zwycięstwa Wapposów nad białymi osadnikami. Jezioro Beryessa jest duże i głębokie, idealne dla wywołania Ka-tua-lu-hu. Rozumiesz, to że

Misquamacus wygnał go pod powierzchnię wód, oznacza powierzchnię wszystkich wód, nie żadne konkretne miejsce, może więc przywołać go z dowolnego jeziora, zbiornika lub zatoki. Akwen musi być tylko odpowiednio duży, by nadawał się do wezwania najokropniejszego i największego z demonów.

Harry pociągnął nosem. W tym ciemnym lesie było coś, co wywoływało u niego alergię.

— A co z Nashuną, tym Ossobucco i całą resztą? — zapytał.

— Demony i bogów należy przywoływać zgodnie z ich hierarchią — wyjaśnił Śpiewająca Skała. — Najpierw wezwali Saka, strażnika bramy, i z jego pomocą wywołają pomniejszych demony. Potem sprowadzą Ossadagowah. Moim zdaniem Ossadagowah aż nadto wystarczy dla każdej zemsty, ale Misquamacus najwyraźniej postanowił wykorzystać go do przywołania Ka-tua-la-hu, a wtedy naprawdę rozpęta się piekło.

— Słuchajcie, może powinniśmy tam wrócić?—zaproponował nieśmiało Neil. — Do autobusu? Wiem, że to wszystko jest ważne, ale tam jest Toby...

Harry objął go ramieniem.

— Zrobimy co tylko możliwe, Neil — zapewnił. — I jeszcze trochę więcej.

Ruszyli mroczną ścieżką przez Skamieniały Las, wspięli się na kilka drewnianych stopni i dotarli do furtki oraz sklepu z pamiątkami. Dziewczyna czekała na nich z niepokojem, powitała ich z wyraźną ulgą widząc, że nie próbują wynieść pod pachą jakiegoś skamieniałego drzewa.

— Spotkaliście profesora? — spytała.

— Tak — odparł Harry. — Wszystko w porządku.

— Czy las się podobał?

— Nie — Harry pokręcił głową. — Jest cały skamieniały.

Neil ostrożnie prowadził furgonetkę w stronę jeziora Beryessa. Okazało się jednak, że nie musieli się obawiać policyjnych patroli. Most nad Pope Creek oraz jego najbliższa okolica pogrążone były w chaosie. Reflektory świeciły ze wszystkich stron, a przy drodze stały radiowozy, samochody prasy i opancerzone transportery Gwardii

Narodowej. W górze krążyły helikoptery, dostarczając ekipy telewizyjne i wyższych oficerów policji. Ogłuszał ryk megafonów, bez przerwy podających informacje lub rozkazy.

Noc była nadal ciepła, choć niezwykle ciemna, a w powietrzu czuło się nadchodzącą burzę. Wśród wzgórz na drugim brzegu jeziora i nad jego wzburzonymi wodami, niby języki jadowitych węży, jaśniały błyskawice.

Wolno zbliżali się do mostu, dopóki nie zatrzymał ich policjant.

— Jestem ojcem jednego z dzieci — oznajmił Neil, raz jeszcze pokazując swoje prawo jazdy.

— Dobra, dobra — odparł policjant. — Zaparkujcie gdzieś tutaj i siedźcie spokojnie. Damy znać, gdyby coś się zmieniło.

Neil zatrzymał furgonetkę. Wysiedli. Tym razem Śpiewająca Skała zabrał ze sobą walizkę. Szli wzdłuż szosy, aż dotarli do brzegu. Tam zatrzymali się i oparci o barierkę próbowali się domyślić, co zaszło, odkąd policja kazała im odjechać.

Stojący na środku mostu autobus lśnił własnym blaskiem, silniejszym niż światło policyjnych reflektorów. Nadal słychać było wysoki jęk, od którego czuli mrowienie w zębach.

— Co się dzieje? — zapytał Neil. Śpiewająca Skała postawił walizkę na ziemi.

— Brama jest już prawie gotowa — wyjaśnił. — Gdy tylko pojawi się bogini księżycy, wyjdą w swych własnych postaciach.

— Jak stoimy z czasem? — chciał wiedzieć Harry. — Mój zegarek padł chyba na klaustrofobię w tym tunelu.

— Zostało jeszcze jakieś pół godziny — odparł Neil.

Śpiewająca Skała otworzył walizkę. Wyjął z niej niewielką, kulistą klatkę wykonaną z zakrzywionych kości powiązanych ludzkimi włosami. Starannie umieścił ją na słupku barierki, po czym rozwiesił wokół tasiemki i sznury paciorków.

— Czy będzie niegrzecznie, jeśli spytam, co to jest? — zainteresował się Neil.

— Ależ skąd — uśmiechnął się Indianin. — To uwięziony duch, niezwykle czuły na obecność innych duchów. Coś takiego jak kanarek, którego górnicy zabierają na dół do kopalni, by wyczuwał metan. Kiedy klatka zacznie grzechotać, będziemy

wiedzieć, że pierwsze demony zbliżają się do mostu.

Neil spoglądał na klatkę z wyraźnym niepokojem.

— Duch? Jaki duch? Ludzki? Śpiewająca Skała roześmiał się.

— Nie. To duch wilka. Pożyczyłem go od jednego ze starszych plemienia.

— Co z magicznym kręgiem? — spytał Harry. — Czy możesz coś zrobić, żeby zatrzymać szamanów w autobusie? Tak jak przy pierwszym spotkaniu z Misquamacusem?

— Nie sądzę, żebym miał jakieś szansę. Przede wszystkim fizycznie ciężko jest się tam dostać i nakreślić krąg, a poza tym poliŋanci będą się starali mnie zatrzymać. Misquamacus zresztą też. Lepiej zachowam siły na bezpośrednie starcie.

Do wschodu księżyca pozostało jeszcze dziesięć minut. Niedaleko, zaraz za grupą reporterów i kamerzystów NBC, kapitan Myers założył stanowisko łączności radiowej. Najwyraźniej musiał oddać dowództwo w ręce dwóch świeżo przybyłych, wyższych rangą inspektorów i pułkownika z Gwardii Narodowej. Nie tracił jednak kontroli nad przebiegiem oblężenia i ciągle wysyłał swych ludzi po informacje o działaniach wojska i FBI.

Noc była ciepła, naładowana elektrycznością. Z głośnika radiostacji dobiegały głosy żołnierzy — to Gwardia Narodowa zajmowała stanowiska na pobliskich wzgórzach. Od czasu do czasu gwardziści wymieniali między sobą uwagi na temat stanu autobusu.

— Dalej świeci. Nie, nie jaśniej. Ale świeci ciągle.

— Jeśli tak się jarzy, to nie wiem, czemu nie wybucha ten cholerny zbiornik paliwa?

— Nie wybucha, bo tam jest zimno. Wiesz, chłopie, jak zimno? Na poręczy mostu jest szron. Widzisz? To szron.

— Grosby i Margolies na pozycji. Mamy dobry widok na drzwi autobusu.

— Gdzie jest transporter? Ma natychmiast zablokować drogę. Nie chcę, żeby ktoś tu wjeżdżał albo wyjeżdżał bez naszego pozwolenia.

— Jak myślisz, czy dzieciaki jeszcze żyją?

— Kto wie? Kto wie, co tu się w ogóle dzieje? Śpiewająca Skała podniósł głowę i

spojrzał na zachmurzone niebo.

— Nie zobaczymy Nepauz-had, gdy się pojawi — stwierdził spokojnie. — Ile jeszcze?

— Dwie minuty — poinformował Neil.

Z południowego wschodu nadleciał śmigłowiec piechoty morskiej. Zatrzymał się na chwilę ponad autobusem, by zrobić zdjęcia i może spróbować zajrzeć w zaszczytne okna. Podmuch wirnika sprawiał, że tasiemki i paciorki Śpiewającej Skały trzepotały niby skrzydła drapieżnych ptaków. Chmury kurzu wznosiły się z łożyska strumienia, po czym opadły powoli, gdy helikopter poderwał się wyżej i ruszył z powrotem na południowy wschód, znikając po chwili z oczu patrzących.

— Koło minuty — oznajmił Neil.

— Więc to teraz — szepnął Śpiewająca Skała. — Chwila nadeszła.

Ostry dźwięk ucichł nagle. Policjanci i żołnierze z początku niczego nie zauważyli, lecz wkrótce gwar po obu stronach mostu zaczął stopniowo zamierać, aż zaległa cisza. Zgromadzeni ludzie patrzyli w napięciu na autobus. Wszystko znieruchomiało w świetle reflektorów, jak gdyby w oczekiwaniu na pierwszą scenę filmu.

— Co się stało? — dopytywał się ktoś przez radio. — Ni stąd, ni zowąd cisza jak na cmentarzu.

Nagle autobus eksplodował bezgłośnie. Jaskrawa kula ognia pojawiła się na moście, a metalowe odłamki poleciały w mrok, by spaść na drogę po obu stronach rzeki.

— Zabili je! — jęknął reporter NBC. — Przed chwilą autobus wybuchł na naszych oczach. Dzieci musiały zginąć!

Na moście płonął ognisty krąg, a kłęby dymu zasłaniały widok. Śpiewająca Skała dotknął ramienia Harry'ego.

— Patrz — szepnął.

Wśród płomieni stało kręgiem dwudziestu dwóch najpotężniejszych szamanów w historii Ameryki. Ubrani w ceremonialne stroje ze skór, futer bizonów oraz misternie tkanych materiałów, na głowach nosili rogi, pióra i ogony kuguarów.

Między nimi, w połyskującej złotymi i srebrnymi nićmi szacie o barwach czerwieni i czerni, z rozpostartymi skrzydłami orła na głowie oraz magiczną laską w dłoni, stał największy z największych, czarnoksiężnik, którego imię powtarzają szeptem trawy i drzewa całego kontynentu. Na policzkach miał niebieskie, białe i żółte barwy wojenne Irokezów, a jego głęboko osadzone oczy płonęły dumą i pragnieniem słusznej zemsty.

Neil poczuł, że brakuje mu tchu. Wiedział, że oto stoi przed nim istota, która opanowała jego syna; która ożyła jako drewniany człowiek i próbowała go zabić. To był Misquamacus.

— Gitche Manitou, ochroń nas — zaczął recytować Śpiewająca Skała. — Gitche Manitou, pomóż nam. Gitche Manitou, wesprzyj nasze pragnienie pokoju i poprowadź nasze ręce.

Miał właśnie sypnąć przed siebie magicznym proszkiem dającym ochronę, gdy Harry szarpnął go za rękaw.

— Śpiewająca Skała, na rany Chrystusa! Popatrz, co oni robią!

Zza barykady radiowozów i transporterów opancerzonych wysunęło się dziesięciu żołnierzy Gwardii Narodowej. Byli młodzi, a ich różowe twarze kontrastowały ostro z maskującym kolorem hełmów. Stanęli szeregiem w poprzek drogi, po czym przyklękli i wymierzili broń w krąg szamanów.

— Nie wolno! — krzyknął zdesperowany Śpiewająca Skała. — Nie pozwólcie im strzelać! Nie można!

Lecz głośnik radiostacji warknął:

— Cel... pal!

ROZDZIAŁ 9

Trzasnęły strzały. Tylko dlatego, że wiedzieli, czego się mają spodziewać, Harry, Neil i Śpiewająca Skała potrafili dostrzec, co się działo w ciągu następnego ułamka sekundy. Misquamacus machnął dłonią, uwalniając tym gestem manitou pocisków i odesłał je tam, skąd przybyły.

Nie przygotowani, odsłonięci gwardziści zginęli na miejscu, zabici własną bronią. Leżeli we krwi, skuleni i pozwijani niby śpiące dzieci. Wszyscy zgromadzeni po obu stronach mostu zamilkli w oszołomieniu, nawet reporterzy patrzyli bez słowa.

Śpiewająca Skała ze smutkiem pochylił głowę.

— Nigdy nie słuchają — rzekł cicho. — Nigdy, nigdy nie chcą słuchać. Chrońcie nas, dawni bogowie.

Kolejna grupa żołnierzy gwardii wybiegła do przodu z karabinami i granatnikami, omijając ciała poległych kolegów. Za nimi zbliżyli się sanitariusze z noszami.

Na moście Misquamacus rozpostarł szeroko ramiona. Zaczął recytować słowa wezwania Nashuny, Pa-la-kai i Coyote. Mówił głębokim głosem, drżącym tymi samymi wibracjami, co wiatr oraz dochodzące z jeziora odgłosy burzy. Pozostali szamani ustawili się twarzami do siebie i także rozłożyli ramiona. Nie zwracali uwagi na szereg celujących w nich żołnierzy.

— Wybierzcie sobie cele — wydał instrukcje pułkownik. — Potem strzelajcie, dopóki nie traficie.

Przez chwilę panowało napięte milczenie. Potem:

— Ognia!

Druga salwa okazała się jeszcze gorsza. Neil i Harry padli aa drogę, a wyjące pociski przelatowały nad nimi we wszystkich kierunkach. Stojący obok reporter NBC został trafiony w twarz. Bryznęła krew, dziennikarz zachwiał się i padł na plecy. Żołnierze, policjanci i przypadkowi widzowie przewracali się, ranni lub zabici; kule rozbijały szyby w samochodach, przebijały zbiorniki paliwa. Cztery radiowozy stanęły

w ogniu, pomarańczowe płomienie rozświetliły ciemność, a w powietrzu rozszedł się ostry zapach płonącej benzyny.

Pułkownik nadal nie potrafił pojąć, że to kule jego żołnierzy zostały obrócone przeciw nim. Wezwał kolejną grupę strzelców wyborowych.

— Na miłość boską, Śpiewająca Skała, musisz im wytłumaczyć! — jęknął skulony na ziemi Harry.

— Mogę uczynić tylko jedno — odparł Indianin. — Widziałem, jak to robią najmędrsi ze starszych mego plemienia. Podobno Szalony Koń także to potrafił.

— Nie ryzykuj! Po prostu idź, powiedz tym gwardzistom, że jeśli nie przestaną strzelać, wybiją nas do nogi.

Znów rozległ się rozkaz otwarcia ognia, a po nim suchy trzask wystrzałów. Śpiewająca Skała odchylił głowę, rozpościerając szeroko ramiona.

Wszystko nastąpiło tak szybko, że Harry nie mógł dostrzec, co się właściwie dzieje. Cała salwa wykręciła szerokim łukiem przed Misquamacusem i pomknęła ku Śpiewającej Skale. Ten rozłożył palce i pociski spłynęły po nich fontannami ognia oraz gorącego ołowiu. Słyszeć było jedynie echa wystrzałów, potem i one ucichły.

Harry wstał. Indianin był blady, milczący, na jego czole ukazały się krople potu.

— Ściągnąłeś na siebie te kule — rzekł szorstko Harry. — Ty durny Indiańcu! Co by się stało, gdyby zaklęcie Szalonego Konia nie zadziało? Rozniosłoby cię na strzępy. Trafiałbyś prosto do krainy szczęśliwych łowów, bez żadnej przerwy na lunch po drodze.

Śpiewająca Skała unikał jego wzroku.

— Muszę ufać swoim czarom — odparł spokojnie. — Co by mi pozostało, gdybym utracił wiarę?

Harry westchnął ciężko.

— No, dobra. Ale następnym razem po prostu schowaj się za czymś, kiedy zaczną latać kule. Zgoda?

Śpiewająca Skała kiwnął głową. Nie mieli czasu na dłuższe rozmowy. Promienie reflektorów rozcięły ciemność, a poprzez wycie syren słyszeć było głos Misquamacusa, wypowiadającego ostatnie słowa wezwania demonów. Zagrzmiało,

ziemia zadrżała pod stopami patrzących, a błyskawice jaśniejące ponad dalekimi wzgórzami zaczęły uderzać bliżej.

— Posłuchajcie — odezwał się Śpiewająca Skała. — Szamani wzywają Nashunę, Pa-la-kai i Coyote. Razem są zbyt silni, by demony potrafiły się oprzeć wezwaniu.

Neil wytarł z twarzy smugę kurzu.

— I co się stanie, jeśli te demony przybędą? Jak możemy z nimi walczyć?

Indianin spojrział na wiszącą na barierce klatkę. Jak dotąd była nieruchoma i nie zdradzała żadnej aktywności. Indianin ułożył na nowo tasiemki i paciorki, po czym rozrzucił w powietrzu jakieś proszki.

— Musisz pamiętać, że każdego demona można zaspokoić — wyjaśnił. — Niektóre z nich pożądamy krwi, inne chcą manitou. Jeśli ofiarujesz mu coś, czego potrzebuje, by przeżyć i zachować siły w wielkim zewnątrz, zwykle uda ci się go odesłać.

— Zwykle? — spytał Harry. — To znaczy jak często?

— Częściej niż nigdy — odparł szaman. — Ale teraz musimy korzystać z każdej szansy.

Ogłuszająco huknął grom; wszyscy spojrzeli niespokojnie na niebo. Na całej długości jeziora rozbłyskiwały jaskrawe zygzaki błyskawic, a powietrze zapachniało ozonem. Potem znowu zapadła ciemność. Nadciągnęły chmury, przesłaniając gwiazdy i księżyc. Misquamacus krzyknął pełnym głosem:

— Przyzywamy cię, Nashuno! Rozkazujemy ci, przybądź! Nashuno, demonie ciemności, wzywamy cię!

Pięćdziesiąt metrów ponad kręgiem szamanów pojawił się wirujący kłęb mroku, ciemniejszy jeszcze od chmur. W groźnej, bezkształtnej postaci Harry rozróżniał dziesiątki jarzących się czerwienią punktów, niby błyszczących, wrogich i drapieżnych oczu. Mgliste macki wyciągały się ku ziemi. Klatka z duchem zagrzechotała, jakby atakowana przez wściekłego psa.

Policjanci i żołnierze po obu stronach mostu otworzyli ogień, kolejne ofiary padły trafione odbitymi pociskami. W głośniku radiostacji rozległ się głos pułkownika, nakazującego przerwać ogień i próbującego nawiązać kontakt z bazą lotniczą w

Travis.

Śpiewająca Skała wpatrywał się skupiony w Misquamacusa i olbrzymie cielsko Nashuny, demona ciemności. Ruszył przed siebie, wyminął linię radiowozów i wszedł na most. Harry był pewien, że ze swego miejsca widzi, jak Misquamacus odsłania zęby w mściwym uśmiechu. Promień reflektora oświetlił Śpiewającą Skałę, stojącego samotnie naprzeciw dwudziestu dwóch szamanów, przeciw straszliwej potędze dawnych bogów. Misquamacus miał wreszcie dopełnić swej zemsty.

Podniósł rękę, Śpiewająca Skała zatrzymał się, nie dalej niż piętnaście metrów od kręgu czarowników.

— Czemu ze mną walczysz, mały bracie? — zawołał Misquamacus swym głuchym, dalekim głosem. — Dlaczego mi się przeciwstawiasz?

Śpiewająca Skała nie odpowiedział. Uniósł nad głową magiczne kości i uderzył nimi o siebie, wybijając złożony rytm. Potem jedną z nich wyciągnął w górę, ku mrocznej postaci Nashuny, drugą zaś obrócił w dłoń.

Misquamacus pojął nagle, do czego zmierza jego przeciwnik, i sam wyciągnął rękę. Spóźnił się o sekundę. Śpiewająca Skała skończył rzucanie czaru i wskazał kością Neema sprowadzającego gromy, jednego z naj słynniejszych szamanów wszystkich czasów.

Rozległ się ogłuszający trzask, zgrzyt i huk, jakby runęło urwisko. Neem, muskularny Indianin w czapce z rogami bizona, skrzyżował przed sobą ramiona, próbując powstrzymać zakłęcie Śpiewającej Skały. Przez ponad minutę obaj szamani zmagali się ze sobą, a Misquamacus patrzył, niezdolny włączyć się do walki. Błyskawice uderzały wokół nich, iskry żarzyły się na asfalcie. Ze swego miejsca Harry widział, że Śpiewająca Skała pochylił się do przodu, a wzniesione w górę ramię drży z wysiłku.

Nagle Neem sprowadzający gromy krzyknął straszliwie i osunął się na kolana. Śpiewająca Skała stał nad nim, wyciągając przed siebie magiczną kość. Druga ciągle wskazywała Nashunę. Grzmot był ogłuszający i Harry był pewien, że za chwilę cały most zwali się do rzeki.

— Nashuno, demonie mroku, ofiarowuję ci ciemność tej istoty, byś ją dołączył do

twoich zapasów nocy — zawołał Śpiewająca Skała wysokim, pełnym napięcia głosem. — Weź jego ciemność jako ofiarę i wracaj do wielkiego zewnątrz!

Neem upadł. Raz jeszcze spróbował podczołgać się do przeciwnika, lecz wiedział już, że został pokonany. Śpiewająca Skała okazał się zbyt szybki, użył przy tym jednego z najpotężniejszych zaklęć ofiarnych. Sprowadzający grom jęknął w agonii. Jego skóra zaczęła oddzielać się od ciała kolejnymi przezroczystymi warstwami, odsłaniając błony, mięśnie i kości. Rozpadał się na części, a jego ciemność, tajemne cienie duszy, płynęły przez wyciągniętą ku niemu kość, kierowane drugą kością wprost w czarny wir paszczy demona.

Raz jeszcze rozległ się grom i Nashuna rozwiął się w nicość. Śpiewająca Skała odstąpił od szczątków Neema, ani na chwilę nie spuszczał z oka swego głównego przeciwnika. Twarz Misquamacusa nie zdradzała żadnych emocji, nie opuszczał jednak rąk, wzniesionych jako ochrona przed nią Śpiewającej Skały.

— Sprzeciwiłeś mi się — powiedział. — Nie po raz pierwszy, lecz po raz drugi. Zginiesz za to, a twój manitou przez wieczność będzie się błakał po wielkim zewnątrz, cierpiąc męki ciała i ducha. Ja, Misquamacus, przyrzekam ci to.

Śpiewająca Skała nie odpowiedział. Odwrócił się plecami do Misquamacusa, po czym spokojnie zszedł z mostu. Wrócił do czekających Neila oraz Harry'ego i z profesjonalną niedbałością wrzucił magiczne kości do walizki. Dopiero gdy spojrzął na Harry'ego, ten dostrzegł jego wyczerpanie. Był blady z wysiłku, a jego oczy zdawały się utracić wszelki wyraz.

— Jak możesz odwracać się do niego plecami? — zdziwił się Neil. — I dlaczego on cię nie zaatakował?

Śpiewająca Skała otarł czoło chusteczką.

— Pozwolił mi odejść, gdyż zdecydowaliśmy się na coś w rodzaju pojedynku. Każdy pojedynek ma swoje reguły a w tym przypadku stanowią one, że nie można rzucać czarów na kogoś, kto stoi plecami do ciebie.

Za radiowozu wysunął się kapitan Myers i podszedł do nich.

— Zdawało mi się, że kazałem wam się wynieść — powie działo ostro. — A szczególnie tobie.

— Ma pan szczęście, że nie posłuchaliśmy — odparł Harry. — Wszyscy byście tu leżeli jak porozpruwane żaby.

— Chcę wiedzieć, co tu się dzieje. Śpiewająca Skała szukał czegoś w walizce.

— Dzieje się to, że ratuję wam życie — odpowiedział. - A teraz jeśli pan wie, co dla pana dobre, to nie będzie mi pai wchodził w drogę i pozwoli robić to, co mam do zrobienia.

— Ale coś pan tam właściwie robił, do diabła? — chciał wiedzieć Myers. — O co chodziło z tymi kośćmi?

— To proste — wyjaśnił Śpiewająca Skała, wyjmując dwa skórzane woreczki z proszkiem. — Nashuna jest demonem ciemności. Ciemność jest dla niego jak dla pana transfuzja krwi. Każdy posiada swą wewnętrzną ciemność, fizyczną i psychiczną. Ofiarowałem Nashunie wewnętrzną ciemność Neema, tego szamana, a on ją przyjął i odszedł. Musi pan zrozumieć, że ciemność wielkiego szamana jest warta dla demona o wiele więcej niż ciemność kapitana z patrolu drogowego. Musiałby pokrajać kilkuset policjantów, by osiągnąć podobny efekt.

— Posłuchaj, ty zbiegu z wędrownego cyrku — warknął Myers. — Rozkazuję ci natychmiast opuścić teren. Jeżeli spróbujesz wrócić, osobiście dopilnuję, żebyś został zastrzelony.

— Jeśli mnie pan stąd wyrzuci, to nikt nie pozostanie żywy, by do mnie strzelić.

Wisząca na płocie klatka z duchem znowu zadrżała i zaczęła grzechotać. Śpiewająca Skała nasłuchiwał przez chwilę.

— To Pa-la-kai — oznajmił. — Misquamacus wezwał demona krwi.

— Demona krwi? Gadasz pan, jak w komiksie grozy. Huknął grom, zajaśniała oślepiająco błyskawica i przez

kilka sekund sylwetki Misquamacusa oraz jego szamanów rysowały się ostro w blasku czegoś w rodzaju unoszących się w powietrzu nad ich głowami świetlanych kul, jaskrawych jak słońca. Oslaniając oczy Harry dostrzegął wśród tych światel niewyraźny błękitnobiały kształt czegoś, co trwało tylko przez moment, dopóki most i rzeka znowu nie pogrzyżyły się w ciemności. Wtedy widział już tylko czerwone i zielone plamy przed oczyma.

Śpiewająca Skała znowu ruszył naprzód. Zatrzymał się na brzegu mostu, twarzą w kierunku kręgu szamanów.

— Duchy wiatru, wzywam was teraz na pomoc — zawołał. — Duchy burzy, dajcie mi swoją siłę. Przyzywam was, huragany i tornada, byście ofiarowały mi swą potęgę.

— Co ten idiota tam robi? — zirytował się kapitan Myers. — Nie wie, że może zginąć?

— Niech go pan zostawi — powstrzymał go Harry. — Proszę mu dać szansę. Lepiej od pana wie, co ryzykuje.

Lekki powiew przygiął trawy wokół nich. Potem zmienił się w wietrzyk, pogwizdujący na słupkach barierki i kościach klatki z duchem. Po kilku sekundach wiatr dmuchnął mocniej, podnosząc z obu stron szosy chmury kurzu. Po minucie stał się huraganem wyjąłym tak, że z trudem słyszeli własne głosy.

Za plecami Misquamacusa, w centrum kręgu szamanów, rozbłysły znowu kule Pa-la-kai, demona krwi. Były jaśniejsze niż słońce, jaśniejsze niż wszystko, co Harry w życiu widział. W końcu stały się zbyt jaskrawe, by na nie patrzeć. Kołysząc się lekko spływały w ten sam punkt, by utworzyć jeden, oślepiający kształt.

Oślaniając oczy przed blaskiem Harry przyglądał się z niepokojem, jak sobie radzi Śpiewająca Skała. Indianin był już mocno zmęczony magiczną walką z Misquamacusem i dwudziestu szamanami, z których każdy był potężniejszy od niego i miał więcej doświadczenia, niż on mógłby zdobyć, choćby nawet żył trzy razy dłużej. A gdy demon promieniował coraz mocniejszym blaskiem i z wolna skupiał się w jedną, niewyobrażalnie wrogą i pozornie niemożliwą do pokonania postać, Śpiewająca Skała opuścił głowę na pierś, a jego ramiona powoli opadły.

Wicher, który dmuchnął tak niespodziewanie, zaczął wolno przycichać.

— No dalej, do diabła — szeptał Harry. — Nie pozwól, żeby teraz cię pokonał. Dalej!

Ale Śpiewająca Skała był zmęczony. Przyklęknął na jedno kolano i przycisnął dłonie do skroni, by skoncentrować się na zaklęciu, którego próbował użyć. Tymczasem Pa-la-kai, w całym swym złowrogim majestacie, rósł i jaśniał coraz

bardziej. Z jego jaskrawej paszczy dobywały się posepne wycia i wrzaski. Wzniósł się nad Śpiewającą Skałą, gotów do zabrania ofiary.

Szaman podniósł głowę. Harry widział, że jest prawie oślepiony blaskiem Pa-la-kai.

— Już po nim, Harry — powiedział Neil. — Nie może z tym walczyć. Jest skończony.

Śpiewająca Skała rozłożył ramiona. O kilka metrów od niego stał w swej ozdobionej orlimi skrzydłami czapce Misquamacus, wysoki, tryumfujący i mściwy. Z tyłu stali milczącym półkolem najwięksi z indiańskich czarowników.

— Pa-la-kai! — zawył Misquamacus. — Daję ci krew tego zdrajcy! Ofiaruję ci każdą kroplę, która płynie w jego żyłach, każdą uncję jego serca! Oto twoja ofiara i nagroda, Pa-la-kai, demonie krwi!

Lecz Śpiewająca Skała nie upadł. Chwiejąc się powstał i sygnął przed sobą magicznym proszkiem. Oczy błysnęły mu dziko, twarz wykrzywiła się z wysiłku.

— Ossadagowah! — zawołał chrapliwie. — Przez rozkazy dawnych bogów, przez zakazane słowa Sadogowah, przez tysiąckrotną śmierć i tysiąckrotne życie, przybywaj!

Misquamacus przerwał, całkowicie zaskoczony. Ze zdumieniem patrzył na Śpiewającą Skałę, który ośmielił się przywołać demona, jakiego nie ważył się jeszcze wezwać żaden indiański szaman, bestię nie mającą ludzkiego kształtu, którą sam Misquamacus zamierzał wykorzystać dla uwolnienia Ka-tua-la-hu, który śpi pod falami.

Wprawdzie Ossadagowah był niebezpieczny dla każdego człowieka, nieważne, ile składało się ofiar, zawsze jednak miał skłonność do faworyzowania tego, kto przywołał go z wielkiego zewnątrz. Spełniał jego polecenia, przynajmniej przez pewien czas. W tym szczególnym przypadku oznaczało to polecenia Śpiewającej Skały.

Szaman nie skończył jeszcze inkantacji, gdy nad mostem zaczęła się formować lodowata chmura. Rozrastała się i opadała coraz niżej, przesłaniając jaskrawe kule Pa-la-kai, lśniące teraz niewyraźnie. Po kilku minutach przygały, a nad jezdnią

pozostawał tylko chłodny, biały opar nienawiści.

— Ossadagowah, najszacowniejszy z synów Sadogowah, wygłodniały po pobycie na zewnątrz, ofiarowuję ci tych czarowników — zawołał Śpiewająca Skała. Jeszcze raz rozsypał przed sobą proszek. — Daruję ci ich krew, ich umysły, ich dusze, byś miażdżył je swymi zębami. Daruję ci ich istotę, byś chłonał ją w swoją jaźń. Wszystko to daruję ci i ofiarowuję modlitwę.

Biała chmura zwinęła się i skręciła jak kłęb tłustych, przezroczystych robaków. Wydała też z siebie głos, niepodobny do niczego, co Harry w życiu słyszał — żaloszny, jękliwy dźwięk, od którego całe ciało ogarniał chłód. Głos istoty nie mającej litości ani emocji, nie posiadającej duszy. Harry rozumiał, co ryzykował Śpiewająca Skała wzywając Ossadagowah. Postawił na szalę siebie i wszystkich wokół, może także tysiące innych. Jedyne wielki czarownik mógłby teraz odesłać demona na zewnątrz: Misquamacus i — może — Śpiewająca Skała, gdyby był w szczytowej formie. Lecz nie był.

Misquamacus także o tym wiedział. Rozumiał, że Śpiewająca Skała go przechytrył. Przez chwilę stał nieruchomo patrząc na zimne, wijące się macki Ossadagowah, po czym wyjął spod bluzy niewielką, szarą, kamienną tabliczkę. Wyciągnął ją ku demonowi. Jednocześnie zaintonował jakieś zaklęcie, głośno, wyraźnie i — jak zdawało się Harry'emu — niemal z desperacją.

Ossadagowah jęknął znowu, a od jego jęku zadrżała ziemia. Chmura rozrosła się szerzej; macki smagały powietrze. Potem, bardzo powoli, bezkształtne zwoje zaczęły zapadać się w siebie i znikać, aż po kilku minutach złowroga istota rozplynęła się bez śladu.

Przed Misquamacusem pozostał samotny Śpiewająca Skała. Ale potężny czarownik odwrócił się z pogardą i uniósł ramiona, by przemówić do innych szamanów. Przez chwilę rozmawiali, posępni i żądni zemsty, a kiedy podjęli już decyzję, stanęli znowu twarzami do Śpiewającej Skały.

Dwaj przeciwnicy rozmawiali przez chwilę. Harry starał się coś usłyszeć, lecz mówili cicho i bez emocji. Pojedyncze słowa, które do niego docierały, pochodziły wyraźnie z jakiegoś indiańskiego narzecza. Być może było to wyzwanie jednego

szamana przez drugiego. Może Misquamacus żądał, by Śpiewająca Skała opuścił blade twarze i podjął walkę u boku swych braci. Cokolwiek to było, Śpiewająca Skała pokręcił głową, odwrócił się i ruszył z powrotem, wymijając wozy.

— Co się dzieje? — chciał wiedzieć kapitan Myers. — Co się tam stało?

Śpiewająca Skała przyklęknął obok walizki, odłożył swe amulety i proszki, po czym wstał i zmierzył całą trójkę poważnym spojrzeniem.

— To, co widzieliście, to była tylko potyczka — oświadczył. — Udało mi się zaskoczyć Misquamacusa i zapobiec uwolnieniu tych demonów. Ale on jest prawie nie zmęczony, a ja ledwie żyję. Jego wspomaga dwudziestu szamanów. Dwudziestu szamanów może wzywać najstraszniejszych bogów dawnych dni. Powiedział, że nawet bez Ossadagowah przywoła spod wody Ka-tua-la-hu, a to oznacza koniec nas wszystkich.

Kapitan Myers nie posiadał się z wściekłości.

— Co to ma znaczyć? — warknął. — Kupa chmur, złudzenia optyczne i podobne bzdury, a pan chce mnie przekonać, że to niebezpieczne? Jedyna niebezpieczna rzecz, chłopie, to ta banda terrorystów na moście.

— Terrorystów? — zdumiał się Śpiewająca Skała. — Naprawdę pan myśli, że to terroryści?

— Porwali szkolną wycieczkę, wysadzili autobus, zastrzelili trzydziestu ludzi. Jak jeszcze można ich nazwać?

— Kapitanie — przerwał Śpiewająca Skała. — Jeśli to prawda, to gdzie są ciała dzieci?

— Pewnie rozerwane na kawałki — burknął Myers.

— A gdzie ci terroryści mają broń? Czy którykolwiek z nich ma pistolet?

— Broń jest ukryta. Mają ukrytą broń rosyjskiej produkcji.

— Gdzie ukryta? — spytał sucho Harry. — Pod czapkami?

Kapitan nie odpowiedział.

— Próbowałem to panu wyjaśnić, ale nie chciał pan słuchać — rzekł Śpiewająca Skała. — Ci ludzie to odrodzeni szamani z dawnych wieków. Wkrótce przywołają z wód jeziora Beryessa boga znanego jako Ka-tua-la-hu, a Ka-tua-la-hu zabije nas

wszystkich. Kapitan Myers podrapał się za uchem.

— Ka-tua-la-hu, tak?

— Zgadza się. Bestia, nie mająca ludzkiego kształtu. Najstraszniejszy z dawnych bogów. Pomiot samego Wielkiego Starucha.

Kapitan milczał. Odszedł o kilka kroków, po czym wrócił i powtórzył:

— Ka-tua-la-hu? Śpiewająca Skała kiwnął głową.

— Jeśli spojrzy pan na most, zobaczy pan, że przystępują już do rytuału wezwania.

Myers osłonił oczy przed blaskiem reflektorów. Przez chwilę przyglądał się Misquamacusowi i jego szamanom, po czym odszedł złożyć meldunek przez radio.

Śpiewająca Skała przycisnął palcami powieki. Harry spoglądał na niego z niepokojem.

— Mogę ci w czymś pomóc? — zapytał. Indianin pokręcił głową.

— To jest jak pojedynek. Problem w tym, że ich jest dwudziestu dwóch — no, teraz tylko dwudziestu jeden, o ile to robi jakąś różnicę — a ja sam. Nie dam rady długo im się opierać.

— A co z Ka-tua-la-hu? Jak możemy sobie z nim poradzić?

— Nie mam pojęcia — Śpiewająca Skała wzruszył ramionami. — Zresztą, gdybym nawet wiedział, pewnie i tak nie miałbym dość siły.

— Nie możesz się teraz poddać — odezwał się Neil. — Jeśli zwyciężysz, odzyskam Toby'ego. Proszę.

— Neil, zrobię, co mogę. Obiecuję. Ale nie miej wielkiej nadziei.

— Zawsze miałem nadzieję. Do licha, miałem nadzieję nawet wtedy, gdy nie pozostało już nic innego. Kiedy wszyscy uznali mnie za wariata.

— Ale, Neil...

— Żadne ale. Rzecz w tym, że biali ludzie już raz pokonali Indian, nie wyłączając szamanów. A jeśli dokonali tego raz, to mogą to powtórzyć. Jeśli Misquamacus był tak potężny, to dlaczego na preriach są teraz farmy, dlaczego nie ma już bizonów, a o dawnych bogach nikt nie pamięta? Dlaczego wszyscy Indianie żyją w rezerwach?

Śpiewająca Skała ze znużeniem przeczesał palcami włosy.

— Indianie przegrali, gdyż utracili wiarę w swoją magię — wyjaśnił. — To nie ma nic wspólnego z potęgą takich szamanów jak Misquamacus. Oni po prostu nic nie mogli zrobić, nie mając wsparcia u swych ludów.

— Nie wierzę — burknął Neil. — Uważam, że biali zdobyli Zachód, ponieważ pracowali ciężiej, walczyli bardziej zażarcie i nigdy się nie poddawali.

— Neil — Harry starał się go uspokoić.

— Nie wierzę, że Indianie utracili wiarę — powtórzył Neil. — Biali byli po prostu silniejsi i tyle.

Znad jeziora dobiegł głuchy huk. Na chwilę zbudził się wiatr, by zaraz ucichnąć. Pozostawił po sobie dziwny zapach, jakby ryb i zimnej mgły. Na brzegach Beryessa woda zaczęła burzyć się oraz pienić. Niewielka fala dotarła nawet pod most nad Pope Creek, wznosząc się wirami błotnistej piany.

Śpiewająca Skała odwrócił się i spojrzał na most. Misquamacus kołysał się lekko w świetle policyjnych reflektorów, recytując coś przenikliwym, wysokim głosem.

— Rytuał wezwania dobiega końca — stwierdził Indianin. — Kiedy dwudziestu jeden szamanów wypowie równocześnie zakłęcie, wody rozstąpią się i zobaczymy Ka-tua—la-hu. Zresztą, mam nadzieję, że wy nie zobaczycie. Neil, Harry, idźcie do samochodu i odjeżdżajcie stąd jak najprędzej. Nasze szansę są teraz znikome.

— John — powiedział poważnie Harry. — Nie zostawię cię tutaj.

— Musisz — nie ustępował Śpiewająca Skała. — Do cholery, i tak mi się nie przydasz.

— John, nie jadę i koniec.

Szaman spojrzał na przyjaciela z powagą, po czym uściśnął mu rękę.

— Dobrze — powiedział cicho. — Doceniam twoją decyzję i jestem wdzięczny. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Z jeziora wstawała ściana białej mgły, woda wrzała i pieniała się, ziemia drżała pod stopami, a temperatura spadała z każdą upływającą minutą. Policjanci i dziennikarze biegali wkoło w zamieszaniu. Jedynie na moście, jak w oku cyklonu, nadal panował spokój. Misquamacus wolno poruszał ramionami, przywracając z jeziora Ka-tua-la-hu, straszliwego boga z dawnych wieków.

— Mamy teraz ostatnią szansę — stwierdził Śpiewająca Skała. — Misquamacus jest pochłonięty rytuałem. Wezwanie Ka-tua-la-hu bez pomocy Ossadagowah wymaga wszystkich jego sił, tak samo jak sił jego przyjaciół. Idę tam.

Otworzył walizkę i wyjął dwa tomahawki, oba przybrane skalpami i piórami. Raz jeszcze spojrzął na Harry'ego, po czym wymijając bariery ruszył w stronę mostu.

— Uważaj na siebie! — zawołał za nim Harry, lecz nie był pewien, czy Śpiewająca Skała go usłyszała.

Dziesiątki metrów ponad wzburzoną powierzchnią jeziora Beryessa uniosła się szara mgła, tworząc niewyraźną, przerażającą postać dawnego boga. Mrok był tak gęsty, że sylwetka Ka-tua-la-hu pozostawała niemal niewidoczna, lecz wyteżając wzrok Harry dostrzegwał coś, co wyglądało jak gniazdo splątanych, ohydnych węży; coś, co w niezwykle sposób przywodziło na myśl wszelkie koszmary, jakie śnił w swoim życiu. Było jak czysta esencja lęku i odrazy, obrzydliwy stwór pełzający na obrzeżach nocy. Było niby niewyraźne wspomnienie sprawiające, że ludzie nadal boją się tego, co pełza i tego, co oślizłe, choćby świadomie dawno już zapomnieli dlaczego. To był Ka-tua-la-hu, pomiot Wielkiego Starucha, najpotworniejszy z bogów szaleństwa i grozy.

Szamani na moście zaintonowali obco brzmiącą pieśń i unieśli ramiona oddając bogu hołd. Stali w swym oweaoo, swym kręgu, przywołując ogromną masę chmur coraz bliżej.

Śpiewająca Skała dotarł do mostu i stanął tam samotny, kołysząc w rękach dwa bojowe toporki. Potem krzyknął głośno, rzucając wyzwanie, drwiące i obraźliwe dla Misquamacusa oraz wszystkich szamanów, wyzwanie, którego nie mógł zignorować żaden Indianin, mający choćby odrobinę dumy.

Harry widział, jak Misquamacus waha się, lecz podejmuje decyzję i odchodzi z kręgu czarowników, nadal przyzywających Ka-tua-la-hu. Bóg unosił się teraz wysoko nad wodą, niby ogromna, kipiąca masa chmur. Misquamacus stanął przed Śpiewającą Skałą z miną człowieka, którego cierpliwość się wyczerpała i który nie ma zamiaru dłużej odkładać swej zemsty.

Śpiewająca Skała postąpił dwa kroki do przodu. Zakręcił tomahawkiem, coraz

prędeż i prędeż, aż jego ostrze stało się tylko świetlistą smugą. Misquamacus pochylił się lekko w oczekiwaniu, nie odrywając wzroku od twarzy przeciwnika. Patrzył spokojnie i z pogardą. Harry przyglądał się temu zza barierki i aż do bólu wbijał paznokcie w dłonie.

Śpiewająca Skala cisnął toporkiem, który wirując pomknął ku Misquamacusowi. Nim jednak pokonał połowę drogi, czarownik machnął dłonią przed sobą. Tomahawk rozbłysnął, zmieniając się w czarną sowę, która zaskrzeczała głośno i odleciała w ciemność.

Śpiewająca Skala zakręcił drugim tomahawkiem, szybciej i szybciej, wreszcie rzucił go z chrapliwym krzykiem. Misquamacus jednak był szybszy i silniejszy. Raz jeszcze przesunął dłoń na wysokości piersi, a topór zawrócił w locie i pomknął ku Śpiewającej Skale. Harry patrzył przerażony, jak jego przyjaciel próbuje się uchylić, lecz szybkość i moc czaru Misquamacusa sprawiły, że nie mógł uniknąć ciosu. Z tęnym stukiem, słyszalnym na wiele metrów dookoła, ostrze trafiło w ciało i głowa Śpiewającej Skali spadła na ziemię.

Przez sekundę, która zdawała się wiecznością, bezgłowe ciało szamana stało jeszcze, a fontanna krwi tryskała z rozciętej szyi. Potem okręciło się wolno i runęło na drogę, tuż obok własnej głowy.

Harry odwrócił wzrok czując, że robi mu się niedobrze. Był oszołomiony i wstrząśnięty; nie zauważył nawet, że osunął się na kolana i pozostał w tej pozycji, gdy Misquamacus wracał w tryumfie do kręgu szamanów, by wspomóc ich swą magią w przyzywaniu Ka-tua-la-hu.

— Harry... — odezwał się Neil. — Co my teraz zrobimy? Harry!

Harry podniósł głowę. Wymiotował i oczy lśniły mu od łez.

— Niech mnie diabli, jeśli wiem — odpowiedział. — To Śpiewająca Skala był ekspertem.

— Harry, musimy coś zrobić. Spójrz!

Chmura Ka-tua-la-hu znalazła się niemal nad mostem, a jego blade, oślizłe macki sięgały brzegów jeziora. Bóg grzmiał nienawiścią, głodem i tryumfem, a jego głos był jak jęki tuzina umęczonych wielorybów. Za mostem Harry dostrzegł trzech żołnierzy,

uciekających przed wyciągającą się ku nim macką. Pochwyciła ich jednak i wrzeszczących wciągnęła do jeziora.

— Musimy się stąd wynieść! — krzyknął. — To paskudztwo pozabija wszystkich!

— Nie możemy! — upierał się Neil. — Co z dziećmi? Co z ludźmi, którzy zginą?

— Nie jestem cholernym męczennikiem! — wrzasnął Harry. — Jestem cholernym jasnowidzem!

Policjanci i żołnierze przebiegali obok, próbując się wspinać na osypujące zbocze pobliskiego wzgórza. Dmuchał zimny, cuchnący wiatr, niosąc ohydny zapach srebrzystych rybich łusek oraz gnijących ciał. Z kłębowiska macek wystrzeliła jedna, pochwyciła któregoś z policjantów, zmiażdżyła go w swym uścisku i cisnęła w wodę.

Nagle rozległ się przeciągły huk i nad jeziorem pojawiło się pięć myśliwców lecących w ciasnym szyku. Przemknęły nad chmurą Ka-tua-la-hu, a Harry dostrzegł wydobywające się z dysz gorące, błękitno-czerwone płomienie — piloci używali dopalaczy, by wznieść się wyżej i zawrócić.

Ka-tua-la-hu jęknął i zawył. W górnej części chmury wyrósł jeszcze jeden kłąb splątanych macek.

Słuchając dobiegających z głośnika porzuconej radiostacji rozmów, Harry i Neil wiedzieli, co się dzieje. Gwardia Narodowa cofnęła się o kilkaset metrów i pułkownik starał się pokierować atakami gdzieś znad Dyer Creek.

— Eskadra do ziemi. Co mamy dla was rozwalić?

— Most nad Pope Creek. To tam, gdzie widać taką szarą mgłę.

— Zawracamy do kolejnego przelotu. Nie widać tego mostu zbyt dobrze.

— Tam, gdzie ta szara mgła. Taka chmura, wygląda jak ośmiornica z mackami.

— Ośmiornica? O co chodzi? Nie widzimy żadnej ośmiornicy.

Harry i Neil słyszeli dobiegający znad wzgórz huk silników. Potem samoloty pojawiły się znowu, wciąż blisko siebie, wykręciły nad mostem i zniknęły w chmurach na południu. Chwilę później rozległ się grzmot przekraczanej bariery dźwięku.

— Widzimy most i masę chmur. Mamy go skasować?

— Tak. Rozwalcie most i sprawdźcie, co się stanie, jeśli pošlecie parę rakiet w te

chmury.

— W porządku, ziemia. Schodzimy do przelotu próbnego, potem atakujemy.

Znów zahuczały silniki. Gdy jednak myśliwce wyleciały znad wzgórz, w głośniku rozległ się zgrzytliwy dźwięk, a potem krzyk, od którego dreszcz przechodził po grzbiecie.

— Co się stało? Nie widzę! Niczego nie widzę!

— Chryste, moje oczy! Oślepiłem!

Pięć myśliwców przemknęło w górze, lecz tym razem leciały nierówno, nie trzymając szyku. Dwa zderzyły się niemal nad brzegiem rzeki, gdzie kulili się Harry i Neil. Rozległ się ogłuszający wybuch, a kula ognia przeleciała nad drogą i uderzyła w zbocze wzgórza. Potem jeszcze w dali rozległy się trzy głuchoe wstrząsy — to eksplodowały pozostałe samoloty.

Harry otarł pot z czoła i spojrzął na olbrzymią maskę Ka-tua-la-hu, białą, drżącą i nieskończenie wrogą, kłęb wijących się macek z potwornej mgły.

— No cóż, Neil, chyba zostaliśmy sami. Neil wolno pokręcił głową.

— Nie jesteśmy sami. Nigdy nie byliśmy. Indianie przywołali na pomoc wszystkie dawne duchy, demony i upiory. Dlaczego, do diabła, my nie wezwiemy swoich?

— O czym ty mówisz? — nie zrozumiał Harry.—Zwariowałeś?

— Nie, nie zwariowałem. Byłem głupi i tyle. Dunbar pomógł mi już raz i robi to jeszcze. Indianie wybili białych osadników nad Conn Creek, ale popełnili błąd, próbując wykorzystać tę masakrę jako punkt zaczepienia. Zakłócili spokój duchów osadników, zgadza się? Zakłócili spokój ducha Dunbara. A to, co mówiłem o zwycięstwie białych nad czerwonoskórymi to prawda. Indianie przegrali, bo my byliśmy silniejsi, lepiej uzbrojeni i zorganizowani, bardziej zdeterminowani.

— Bardziej chciwi też — mruknął Harry.

— Pewnie, biali byli chciwi. Ale ta chciwość tylko wzmacniała ich determinację. I oni nie tylko są bardziej zdeterminowani, oni są tutaj! Muszą być. Czekają tylko, byśmy ich wezwali, tak jak ten potwór czekał, aż wezwą go Indianie

— I ty chcesz ich wezwać? Teraz wiem, że straciłeś rozum

— Pewnie, że chcę — Neil wyprostował się. — Zwycięży my, Harry. Wygraliśmy

za dawnych dni i wygramy teraz Mój przodek rozpoczął tę historię, więc ja powinienem zakończyć.

Harry próbował przytrzymać go za rękę, lecz Neil pobiegł pochylony, klucząc pomiędzy porzuconymi radiowozami Drapieżna chmura Ka-tua-la-hu unosiła się niemal nad ich głowami, macki szukały ślepo ludzkiego ciała. Harry dostrzegł, że jedna z nich pochwyciła błyskawicznym ruchem jakiegoś królika, natychmiast zmiażdżyła mu czaszkę i rozdarła go na strzępy.

Neil dotarł do mostu. Dwudziestu jeden szamanów stało nadal w magicznym kręgu, używając wszystkich swych sił, by ostatecznie uwolnić Ka-tua-la-hu z jeziora, aby ruszył przez kraj niszcząc i pożerając — mszcząc się na wszystkich białych. Misquamacus stał w środku kręgu z głową odchyloną do tyłu, zamkniętymi oczami i przyciśniętymi do piersi rękami. Z jego ust dobiegała nieustająca, głośna melodia, dźwięki tak dawne, jak czasy, gdy człowiek po raz pierwszy wezwał demony, by sprowadzić śmierć na swych wrogów.

— Dunbar! Dunbar! — zawołał Neil. — Potrzebuję cię! Jego głos brzmiał żałośnie słabo na tle pieśni szamanów i niezziemskiego wycia Ka-tua-la-hu. Nie ustępował jednak i krzyczał raz za razem:

— Dunbar! Dunbar! Dunbar!

— Neil! — wrzasnął Harry. — To na nic! Uciekaj stamtąd!

— Dunbar! — ryknął Neil. — Dunbar, na miłość boską, pomóż mi!

Harry przetarł oczy. Nie był pewien, czy dobrze widzi, czy tylko sobie wyobraża, ale nagle wydało mu się, że na moście znalazło się więcej ludzi. Postacie były z początku blade, niemal niewidoczne, lecz gdy Neil powtarzał swe wołanie, cienie stały się wyraźniejsze.

Nie były do końca materialne. Harry wciąż widział przez ich ciała poręcz mostu. Potrafił je jednak rozpoznać. Dwudziestu chudych, obszarpanych mężczyzn z długimi wąsami, w sukiennych lub skórzanych ubraniach, w długich białych prochowcach, starych kapeluszach. Dwudziestu twardych osadników uzbrojonych w strzelby i rewolwery. Nieco z tyłu za nimi, stało dwadzieścia kobiet w czepkach i pelerynach, a przy nich grupa nieruchomych dzieci.

To były duchy ofiar zabitych przez Wapposów pod Las Posadas w 1830 roku. Ludzie, których Krwawy Fenner poprowadził na śmierć i których teraz wzywał potomek, by mogli się odegrać, wyrzucić na Indianach zemstę białego człowieka.

Szamani opuścili ramiona. Spoglądali na duchy białych osadników zdumieni i czujni. Lecz biali nie ruszyli się z miejsca. Po prostu podnieśli broń, wymierzili i strzelili. Rozległ się głuchy, jakby nierzeczywisty trzask i smuga dymu popłynęła z wiatrem. Czarownicy osunęli się na ziemię.

Gdy tylko ucichła magiczna pieśń, Ka-tua-la-hu wydał z siebie głęboki, zgrzytliwy jęk. Znowu zadrżała ziemia, błyskawica rozcięła nocne niebo, ogłuszająco huknęła grom. Wśród grzmotów i wycia Ka-tua-la-hu zanurzył się na powrót we wzburzone wody jeziora Beryessa, znikając pod spienionymi falami. Pozostał po nim tylko zimny fetor mrocznych głębi.

Harry wbiegł na most i zbliżył się do stojącego samotnie Neila. Wszędzie leżały ciała Indian, ich pomalowane twarze dotykały asfaltu, ceremonialne stroje były poszarpane i poplamione krwią. Harry chodził między nimi ostrożnie, szukając Misquamacusa. Neil szedł tuż za nim.

Wtedy usłyszeli głos i spojrzeli przez płynący z wiatrem dym wystrzałów. Na krańcu mostu stali Misquamacus i Złamany Płomień, szaman plemienia Pajutów. Obaj byli poranieni przez niematerialne kule osadników Dunbara. Prawa ręka Misquamacusa zwisała bezwładnie, ociekając krwią; plama krwi rozlewała się także na spodniach Złamanego Płomienia. Lecz twarz Misquamacusa nadal wyrażała gniew i pragnienie zemsty, a jego wpatrzone w Harry'ego oczy płonęły nienawiścią.

— Myślisz, że mnie pokonałeś, biały człowieku, ale zniszczę cię tak, jak zniszczyłem twego przyjaciela zdrajcę. Najpierw jednak Złamany Płomień spali tego człowieka, Fen-nera, byś zobaczył, co czeka ciebie.

Złamany Płomień uniósł rękę, tak jak niedawno Andy Beaver, i wskazał palcem na Neila. Harry próbował postąpić do przodu, lecz Misquamacus skinął tylko lewą dłonią i Harry poczuł, jak ogarnia go paraliż. Nie mógł się ruszyć. Złamany Płomień wyrecytował sprowadzające ogień zaklęcie i krzyknął przenikliwie.

Wtedy jednak powietrze pomiędzy nim a Neilem zawirowało. Przez chwilę

Harry'emu zdawało się, że dostrzega sylwetkę młodego mężczyzny, który wzniesioną dłonią osłania Neila przed mocą płynącą z palców Złamanego Płomienia.

Z dłoni szamana buchnęła z rykiem struga ognia, odbiła się od niewyraźnej sylwetki i ogarnęła samego czarownika. Krzyknął w agonii, gdy żar palił mu twarz i nagą pierś. Po chwili, ogarnięty ogniem, osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Misquamacus spojrzął na Harry'ego.

— Twoim dziedzictwem, biały człowieku, zawsze była śmierć i zniszczenie. Mordowałeś naszych wojowników, gwałciłeś nasze kobiety, niszczyłeś prerie i lasy. Teraz odesłałeś w zaświaty naszych najpotężniejszych bogów. Chciałem się zemścić na tobie i tym, którego nazywasz Śpiewającą Skałą, na wszystkich białych i ich psach, zdrajcach, ale to mnie dosięgnęła zemsta. To moje ostatnie życie na ziemi, muszę odejść do wielkiego zewnątrz nie osiągnąwszy celu. Mógłbym cię teraz zabić, lecz nie uczynię tego. Chcę, żebyś pamiętał przez resztę księżyców swego życia, że walczyłeś z Misquamacusem, największym z szamanów. Chcę też, byś wiedział, że nawet w zewnątrz będę szukał sposobu, by się zemścić za to, co zrobiłeś, i że nigdy nie będziesz bezpieczny przed moim gniewem.

Szaman uniósł dłoń gestem, który oznaczał „niech tak będzie”. Odwrócił się, a Harry i Neil widzieli tylko, jak znika wśród dymu i ciemności.

Znów usłyszeli głosy, tym razem cienkie i niepewne. Obejrzelisi się równocześnie. Tam, gdzie niedawno leżały ciała czarowników, stały teraz dzieci ze szkoły w Bodega. Linus Hopland z rudą czupryną, Petra Delgada, Ben Nichelini, Debbie Spurr i Daniel Soscol. Był nawet stary Doughty.

Odwrócił się znowu i tam, gdzie spłonął Złamany Płomień, stał Andy Beaver, oszołomiony, ale żywy. A spośród dymu, w którym znikł Misquamacus, nieśmiało z początku, potem z wyraźną radością wybiegł Toby.

Neil przyklęknął, chwycił syna w ramiona i zapłakał. Harry przyglądał im się przez chwilę, potem podszedł do barierki i zapalił papierosa. Nie chciał patrzeć na ciało Śpiewającej Skały. Chciał zapamiętać przyjaciela takim, jakim był za życia — szlachetnego, mądrego, tolerancyjnego i skłonnego do żartów. W końcu to, co pozostało na drodze, było tylko jego ziemskimi szczątkami. Prawdziwy Śpiewająca

Skała, jego manitou, znalazł się teraz w zewnątrz, w krainie łowów, gdzie czarownicy przygotowują się do kolejnych reinkarnacji.

Zaciągnął się dymem i otarł łzy z oczu. Pomyślał, że chyba się starzeje. Za każdym razem, kiedy wiał wiatr, oczy mu łzawiły.

Siedzieli w kuchni w domu Neila i kończyli jeść dzieło Susan, zapiekankę na szynce ze świeżymi brokułami i ziemniakami. Potem Neil przyniósł z lodówki kilka puszek piwa. Wypili za zwycięstwo, a także za Dunbara.

— Niewiele brakowało — stwierdził Harry. — Nie chciałbym spotkać się jeszcze raz z Misquamacusem.

Susan uśmiechnęła się nieśmiało.

— Najlepiej będzie, jeśli spróbujecie teraz o wszystkim zapomnieć. To się już nie powtórzy, prawda?

— Chyba nie — odparł Harry. I zaraz dodał: — Nie, na pewno nie.

Neil pił piwo i milczał. Toby, siedząc na drugim końcu stołu, bawił się łydymi brokułów, ciął je na kawałki i puszczał jak łódki w serowym sosie.

— Ciągle nie rozumiem, co się stało ze Złamanym Płomieniem — odezwał się Harry. — Myślałem już, że usmaży cię jak hamburgera.

Neil spuścił wzrok.

— Ja też nie wiem. Ale chyba się domyślam. Nie wiem, czy zauważyłeś coś między mną a szamanem, ale przysiągłbym, że na chwilę zjawił się tam mój nieżyjący brat, Jimmy. Stał przede mną jak tarcza.

Neil odstawił szklanę.

— Pamiętasz, co mówił o Złamanym Płomieniu Śpiewająca Skała? Jego czary nie działały zbyt dobrze przeciwko duchom tych, którzy zostali zabici przez technikę białych. A tak właśnie zginął Jimmy. Naprawialiśmy razem samochód i ja przypadkiem zwolniłem podnośnik. Jimmy został zmiażdżony.

Susan, Harry i Toby patrzyli na niego w milczeniu.

— Na moście przekonałem się, że Jimmy nie wini mnie za wypadek. Chroni mnie, ocalił mi życie, tak jak duchy osadników ocaliły dziedzictwo Ameryki, które pomagali

oni stworzyć. Wierzę, że duchy przeszłości są z nami przez cały czas, dobre czy złe, złośliwe i przerażające czy przyjazne i pomocne. Wciąż tego nie rozumiem, ale dziękuję Bogu, że świat jest taki, jaki jest.

Harry Erskine dopił piwo, otarł usta i wstał.

— Muszę się zbierać — oświadczył. — Bo spóźnię się na samolot.

— Jak długo zostaniesz w Dakocie? — spytała Susan.

— Tylko tyle, żeby się upewnić, że Śpiewająca Skała zostanie pochowany jak przystało na wielkiego szamana. Potem ruszam do Nowego Jorku.

Susan uśmiechnęła się.

— Nie zapomnij, że masz zadzwonić i znowu nas odwiedzić.

Harry kiwnął głową.

— Dzięki za obiad. Był znakomity.

Wyszli z Neilem. Harry wrzucił walizkę do furgonetki. Susan i Toby stali w drzwiach, machali, gdy wsiadał do szoferki.

— Na razie — zawołał. — I trzymajcie się z daleka od indiańskich szamanów!

Toby uśmiechnął się i podniósł dłoń, która na chwilę ułożyła się w indiański znak „niech tak będzie”. Potem znak zniknął. Harry znów widział tylko małego chłopca, machającego mu na pożegnanie.

Spojrzał na Neila, starając się zachować pogodny wyraz twarzy.

— Masz świetnego chłopaka — stwierdził i sięgnął po papierosy.